

GUILLAUME
MUSSO

TA CHWILA



O książce

**Nie zapomnij, że mamy dwa życia.
Drugie zaczyna się, gdy uświadomisz sobie, że żyje się tylko raz.**

Lisa marzy, aby zostać aktorką. Ale smutna codzienność zmusza ją do pracy w barze na Manhattanie. Pewnego wieczoru poznaje młodego lekarza, Arthura Costello. Raz po raz los styka ich ze sobą, aż wreszcie zaczyna rodzić się między nimi uczucie. Ale Arthur nie jest taki jak wszyscy.

Za zamkniętymi drzwiami odziedziczonej przez niego latarni morskiej skrywa się straszliwy sekret. Łamiąc złożoną obietnicę, Arthur zdecydował się je otworzyć.. To, co za nimi, nie pozwala mu wieść normalnego życia.

Dla Lisy zrobi jednak wszystko. Aby przechytrzyć swoje przeznaczenie razem z ukochaną podejmie szaleńczy wyścig z bezlitosnym przeciwnikiem, którym jest... czas.

GUILLAUME MUSSO

TA CHWILA

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA



Wydanie elektroniczne

GUILLAUME MUSSO

Autor od lat utrzymujący się na pierwszym miejscu listy najpopularniejszych francuskich pisarzy, absolwent ekonomii, z zawodu nauczyciel. Debiutował w 2001 r. thrillerem *Skidamarink*, doskonale przyjętym przez krytykę. Jego druga powieść, **Potem...**, zainspirowana wypadkiem samochodowym, z którego cudem uszedł z życiem, sprzedała się we Francji w nakładzie pół miliona egzemplarzy. W 2008 r. miał premierę film nakręcony na jej podstawie, z Johnem Malkovichem, Evangeline Lilly i Romainem Durisem w rolach głównych. W planach są trzy następne ekranizacje prozy Musso. Pisarz robi światową karierę. Łączny nakład jego powieści – **Uratuj mnie, Będziesz tam?, Ponieważ cię kocham, Wrócę po ciebie, Kim byłbym bez ciebie?, Papierowa dziewczyna, Telefon od anioła, 7 lat później..., Jutro i Central Park** – przełożonych na 36 języków, przekroczył 20 milionów egzemplarzy.

www.guillaumemusso.com

Tego autora

POTEM...
URATUJ MNIE
BĘDZIESZ TAM?
PONIEWAŻ CIĘ KOCHAM
WRÓCĘ PO CIEBIE
KIM BYŁBYM BEZ CIEBIE?
PAPIEROWA DZIEWCZYNA
TELEFON OD ANIOŁA
7 LAT PÓŹNIEJ...
JUTRO
CENTRAL PARK
TA CHWILA

@kasiul

Spis treści

Historia naszych lęków

Część pierwsza. Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów

Latarnia

Dziedzictwo

Dwadzieścia cztery wiatry

Część druga. Nie wiadomo gdzie

1992. Światła miasta

1993. Sullivan

1994. Elizabeth

1995. Granat w miejscu serca

Część trzecia. Znikający człowiek

1996. Szekspir w parku

1997. Wyjątkowy dzień

1998. Znikający człowiek

1999. Statki widma

2000. Pokój rosyjski

2001. Dwie wieże

Część czwarta. Klan Costellów

2002. Trzeci oddech

2003–2010. Czas mija

2011. Pokonane serca

2012. Jedno bez drugiego

2013. Pora deszczowa

2014. Prawdziwa jest ta druga

2015. Dzień dwudziesty czwarty

Część piąta. Nieskończona powieść

Przegląd prasy (2012–2015)

Lekarstwo i choroba

Miłość jest jak latarnia morska

Podziękowania

*Mojemu synowi.
Mojemu ojcu.*

*Miłość ma ostre zęby,
a jej ukąszenia nie goją się nigdy.*

Stephen King

Historia naszych lęków

Historia naszego życia to historia naszych lęków.

Pablo de Santis

1971

– Nie bój się, Arthurze, skacz! Tata cię złapie!

– Złapiesz mnie? Na pewno?!

Mam pięć lat. Siedzę na piętrowym łóżku, które dzielę z bratem. Nogi wiszą mi w powietrzu. Ojciec z rozłożonymi ramionami patrzy na mnie zachęcająco.

– Skacz, synku!

– Boję się!

– Mówiłem, że cię złapię! Chyba mi ufasz, synku?

– No tak!

– Więc skacz, mistrzu!

Jeszcze przez kilka sekund kręcę niepewnie głową, po czym z szerokim uśmiechem rzucam się przed siebie, gotów zawisnąć na szyi człowieka, którego kocham. Jednak w ostatniej chwili ojciec – Frank Costello – celowo cofa się o krok, a ja rozpląszczam się na podłodze. Boleśnie uderzam w parkiet twarzą, nie czuję szczęki. Ogłuszyło mnie. Potrzebuję dłuższej chwili, żeby wstać. W głowie mi się kręci i mam wgniecioną kość policzkową. Zanim się rozplączę, słyszę lekcję, której udziela mi ojciec. Nigdy jej nie zapomnę.

– W życiu nie wolno nikomu ufać, słyszysz, Arthurze?!

Patrzę na niego przerażony.

– Nikomu! – powtarza ojciec z mieszaniną smutku i wściekłości skierowanymi do siebie samego. – Nawet własnemu ojcu!

Część pierwsza
Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów

Latarnia

Zastanawiam się, co też szykuje nam przeszłość...

Françoise Sagan

1

Boston

Wiosna 1991

W pierwszą sobotę czerwca ojciec zjawił się u mnie niespodziewanie o dziesiątej rano. Przyniósł biszkoptowe ciasto migdałowe i cannoli z kremem cytrynowym, które jego żona przygotowała specjalnie dla mnie.

– Słuchaj, Arthurze... Może spędzimy razem ten dzień? – zaproponował, włączając ekspres do kawy, jakby był u siebie w domu.

Nie widziałem się z nim od ostatniego Bożego Narodzenia. Oparty łokciami o stół kuchenny przyglądałem się swemu odbiciu w chromowanym tosterze. Nieogolona twarz, włosy potargane, sińce pod oczami (nadużyłem appletini i byłem niewyspany), miałem na sobie stary T-shirt z logo Blue Öyster Cult, który kupiłem jeszcze w liceum, i sprane bokserki z Bartem Simpsonem. Poprzedniego wieczoru, po czterdziestośmiogodzinnym dyżurze, wypłem kilka kieliszków za dużo w Zanzi Barze w towarzystwie Veroniki Jelenski, najseksowniejszej i najbardziej przystępnej pielęgniarki w Massachusetts General Hospital.

Piękna Polka spędziła ze mną część nocy, ale wpadła na świetny pomysł, żeby zniknąć dwie godziny wcześniej, zabierając z sobą działkę trawki i paczkę bibulek do skrętów, dzięki czemu uniknęła przykrego zderzenia z moim ojcem, szyczą oddziału chirurgii w szpitalu, w którym oboje pracowaliśmy.

– Podwójne espresso to najlepsza metoda, żeby z impetem zacząć dzień! – stwierdził Frank Costello, stawiając przede mną filiżankę mocnej kawy.

Otworzył okna, żeby przewietrzyć pokój, w którym zionęło marychą, ale jakoś się powstrzymał od komentarza. Ugryzłem kawałek ciasta, obserwując go kątem oka. Dwa miesiące wcześniej obchodził pięćdziesiąte urodziny, ale ponieważ osiwił i miał już zmarszczki, łatwo można byłoby mu dać dziesięć czy piętnaście lat więcej. Mimo wszystko prezentował się elegancko, był przystojny, a ze spojrzenia jasnoniebieskich oczu przypominał Paula Newmana. Tego ranka pogardził markowym garniturem i butami sztytami na miarę. Miał na sobie stare spodnie khaki, wytarty rozciągnięty sweter i ciężkie buciory z grubej skóry.

– Wędkę i przynęty są w pick-upie! – rzucił, wypijając jednym haustem kawę. – Jeśli wyruszymy od razu, będziemy pod latarnią jeszcze przed południem! Przegryziemy coś na szybko i resztę dnia będziemy mogli poświęcić rybkom! Jeśli połów się uda, wracając, wpadniemy do mnie. Upieczemy rybę w papilotach, z pomidorami, czosnkiem i oliwą.

Ojciec zachowywał się tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj. Mimo że brzmiało to ciut nieszczercze, nie było nieprzyjemne. Piłem kawę małymi łydkami i zastanawiałem się, skąd u niego ta nagła ochota na spędzenie czasu w moim towarzystwie.

Przez ostatnie lata nasze wzajemne stosunki prawie nie istniały. Niedługo miałem skończyć dwadzieścia pięć lat. Byłem najmłodszy z trójki dzieci, dwóch chłopców i dziewczyny. Z poparciem mego ojca brat i siostra przejęli rodzinną firmę, założoną przez dziadków skromną agencję reklamową na Manhattanie, i rozwinęli ją na tyle, żeby móc spodziewać się w najbliższych tygodniach jej korzystnej sprzedaży wielkiej grupie marketingowej.

Ja trzymałem się zawsze na dystans od ich spraw. Byłem członkiem rodziny, ale z daleka, trochę tak jak wuj obieżyświat, który wyniósł się za granicę i którego spotyka się teraz z przyjemnością na Święto Dziękczynienia. Prawda jest taka, że jak tylko nadarzyła się okazja, wyjechałem na studia jak najdalej od Bostonu. Medyczną szkołę przygotowawczą skończyłem na Uniwersytecie Duke'a w Karolinie Północnej, cztery kolejne lata studiów w Berkeley i rok interny w Chicago. Do Bostonu wróciłem dopiero kilka miesięcy temu, na drugi rok rezydentury na oddziale ratunkowym. Pracowałem niemal osiemdziesiąt godzin tygodniowo, ale uwielbiałem tę robotę i adrenalinę, jaką wywoływała w moim organizmie. Lubiałem zatrudnionych tam ludzi, dyżury na pogotowiu, stykanie się na co dzień z brutalną rzeczywistością. W rzadkich momentach wolnych od pracy obnosiłem swój spleen po barach North Endu, paliłem trawkę, jak również sypiałem z lekko stukniętymi i mało sentymentalnymi dziewczynami pokroju Veroniki Jelenski.

Przez długi czas ojciec potępiał mój sposób życia, ale nie zostawiłem mu żadnej możliwości ataku: nie wziąłem od niego ani grosza i sam zapłaciłem za studia. Kiedy skończyłem osiemnaście lat i umarła moja matka, znalazłem w sobie siłę, żeby opuścić dom i nie liczyć na nic ze strony ojca. To rozstanie nie bardzo mu ciążyło – wkrótce ożenił się z jedną ze swoich kochanek, kobietą uroczą i inteligentną, której główną zasługą było posiadanie umiejętności znoszenia go. Odwiedzałem ich dwa – trzy razy w roku i ten rytm satysfakcjonował wszystkich członków rodziny.

Tego ranka tym bardziej więc byłem zdziwiony. Ojciec niby diabełek wyskakujący na sprężynie z pudełka znów pojawił się w moim życiu, chwycił za rękaw i poprowadził na ścieżkę zgody, czego już nie oczekiwałem.

– No co, chcesz pojechać na te ryby, czy nie?! – spytał Frank Costello niecierpliwie, nie umiając dłużej maskować poirytowania wywołanego moim brakiem reakcji.

– Dobra, dobra, tato, pozwól mi tylko wziąć prysznic i się przebrać!

Zadowolony ojciec wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i przypalił jednego srebrną sztormową zapalniczką, którą zawsze z sobą nosił.

– Myślałem, że rzuciłeś palenie po tej historii z rakiem krtani? – spytałem zdziwiony. Ojciec spojrzał na mnie stalowym wzrokiem.

– Czekam na ciebie w pick-upie – odrzekł, wstając z krzesła i wydmuchując wielką chmurę błękitnego dymu.

2

Przejazd z Bostonu na wschodnią część Cape Cod zajął nam niecałe półtorej godziny. Kończyła się wiosna, był piękny ranek, niebo czyste i jasne, przez przednią szybę wpadały promienie słońca, oświetlając unoszący się w powietrzu nad tablicą rozdzielczą złoty pył. Jak zwykle ojciec nie wysiłał się zbytnio, by podtrzymać rozmowę, ale panująca cisza nie była męcząca. W weekendy lubił wsiadać do swojego chevroleta i w kółko puszczać te same kasety: *The Best of Sinatra*, płytę z koncertu Deana Martina i jakiś nieznany album country nagrany pod koniec kariery Everly Brothers. Na tylnej szybie samochodu naklejona była nalepka popierająca kandydaturę Teda Kennedy’ego podczas wyborów do Senatu w 1970 roku. Od czasu do czasu ojciec lubił odgrywać zacofanego wieśniaka, ale w rzeczywistości był jednym z bardziej znanych bostońskich chirurgów, a przede wszystkim miał udziały w firmie wartej kilkadziesiąt milionów dolarów. Jeśli chodzi o interesy, to wszyscy ci, którzy nabrali się na ten jego pokręcony styl, zapłacili frycowe.

Po przejechaniu przez Segamore Bridge pokonaliśmy jeszcze mniej więcej czterdzieści kilometrów i zatrzymaliśmy się w Sam’s Seafood, żeby kupić kanapki z homarem, frytki i karton jasnego piwa.

Kilka minut po dwunastej pick-up wjechał na zwirowaną alejkę, która prowadziła na północny kraniec Winchester Bay.

Był to skrawek ziemi dziki i skalisty, wystawiony na wiatr i otoczony oceanem. Tu, w tym samotnym miejscu, z dala od wszystkiego, stała Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów. Była to drewniana budowla o wysokości około dwunastu metrów, zbudowana na planie ośmiokąta. Obok niej wystawiono domek z białych desek ze stromym dachem pokrytym łupkiem. W słoneczne dni było to bardzo przyjemne wakacyjne miejsce, ale wystarczyło, że niebo zaciągnęło się chmurami lub zapadł wieczór, a sielski widoczek z kartki pocztowej zmieniał się w obraz jak z koszmaru godny Alberta Pinkhama Rydera. Budowla należała do naszej rodziny od trzech pokoleń. Mój dziadek, Sullivan Costello, kupił ją w roku 1954 od wdowy po pewnym inżynierze lotnictwa, który położył na niej łapę, jeśli można się tak wyrazić, podczas licytacji zorganizowanej przez rząd siedem lat wcześniej, kiedy to, cierpiąc na brak funduszy, państwo pozbywało się setek miejsc tracących znaczenie strategiczne. Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów stała się zabytkiem, gdyż na wzgórzu Langford, piętnaście kilometrów dalej na południe, wzniesiono latarnię dużo nowocześniejszą.

Dziadek, bardzo dumny ze swego nabytku, zabrał się do odrestaurowywania latarni i przyległego do niej domku, zamierzając urządzić tam wygodną siedzibę wakacyjną. I właśnie kiedy remontował tę posiadłość, w sposób tajemniczy zniknął. Stało się to w pierwszych dniach jesieni 1954 roku. Jego samochód, kabriolet Chevrolet Bel Air, stał zaparkowany przed domem ze ściągniętym dachem i kluczami leżącymi na tablicy rozdzielczej. Podczas południowej przerwy dziadek miał zwyczaj siadywania na

pobliskich skałach i zjadania tam kanapki. Szybko wyciągnięto wniosek, że musiał wpaść do wody i utonąć. Przy pływy nigdy nie wyrzuciły jego ciała na brzeg, mimo to jednak dziadek został uznany za zmarłego wskutek utonięcia na wybrzeżu Maine.

Nawet jeśli nie poznałem go osobiście, słyszałem, jak ci, którzy często przebywali w jego towarzystwie, opisywali go jako ekscentryka. Odziedziczyłem po nim drugie imię oraz, na skutek rezygnacji starszego brata, również zegarek Louisa Cartiera, model Tank z 1950 roku, w prostokątnej obudowie, ze wskazówkami z oksydowanej stali.

3

– Bierz tę papierową torbę i piwo, zjemy na świeżym powietrzu, jest słońce! – polecił mi ojciec, zatraskując drzwiczki pick-upa. Zauważyłem, że niósł pod pachą zniszczoną skórzaną teczkę, którą dostał od mamy z okazji rocznicy ślubu, kiedy byłem mały.

Postawiłem przenośną lodówkę na drewnianym stoliku koło murowanego grilla ustawionego jakieś dziesięć metrów od wejścia do domu. Od dwudziestu lat te ogrodowe meble i dwa fotele Adirondack opierały się, choć nie wiem, w jaki sposób, atakom niepogody. Słońce stało już wysoko, ale powietrze było rześkie. Podciągnąłem suwak w kurtce i zacząłem rozpakowywać kanapki z homarem. Ojciec wyjął z kieszeni scyzoryk, odkapslował dwa budweisery i usiadł na jednym z siedzisk ociosanych z czerwonego cedru.

– Twoje zdrowie! – rzucił, wyciągając w moim kierunku otwartą butelkę. Chwyciłem ją i usiadłem obok niego. Kiedy rozsmakowywałem się pierwszym haustem piwa, zobaczyłem w oczach ojca niespokojny błysk. Zapadła cisza, której jakoś nie chciał przerwać żaden z nas. Ojciec ledwo nadgryzł kanapkę i chwilę potem zapalił nowego papierosa. W powietrzu zawisło napięcie i wówczas zrozumiałem, że nie przywiózł mnie tu, by spędzić na luzie popołudnie, i że nie czekają nas ani połów, ani poklepywanie po ramieniu, ani dorada przygotowana na sposób włoski, w papilotach.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia... – odezwał się wreszcie, otwierając teczkę i wyjmując z niej pakiet dokumentów w sztywnych okładkach. Na każdej z nich dostrzegłem dyskretny znaczek kancelarii adwokackiej Wexler & Delamico, która od kilkudziesięciu lat zajmowała się interesami rodziny.

Ojciec, zanim się znów odezwał, zaciągnął się głęboko.

– Postanowiłem uporządkować swoje sprawy, zanim odejdę.

– A dokąd się wybierasz?

Ojcu niedostrzegalnie drgnęła dolna warga.

– Czy masz na myśli: zanim umrzesz? – prowokacyjnie brnąłem dalej.

– No właśnie. Ale nie ciesz się przedwcześnie. To nie nastąpi jutro, nawet jeśli koniec się zbliża. – Zmrużył oczy, starając się uchwycić mój wzrok, po czym oznajmił, akcentując każde słowo: – Przykro mi, Arthurze, ale nie dostaniesz ani dolara po spieniężeniu firmy, mojego ubezpieczenia na życie i nieruchomości.

Z trudnością ukryłem zdumienie, ale w natłoku sprzecznych uczuć, których padłem ofiarą, zaskoczenie przewyciężyło złość.

– Jeśli sprowadziłeś mnie tu specjalnie, żeby mi to powiedzieć, niepotrzebnie się trudziłeś. Chyba wiesz, że mam w dupie twoją forszę.

Ojciec, jakby mnie nie słyszał, wskazał głową kartonową teczkę leżącą na stole.

– Załatwiłem już wszystkie formalności prawne, żeby po mojej śmierci całość mojej spuścizny przeszła na twoją siostrę i brata...

Zacisnąłem pięści. Do czego zmierzała ta perwersyjna gra? Dobra, wydziedzicza mnie, ale po co ściągnął mnie aż tutaj, żeby mi to zakomunikować?

Ojciec znów zaciągnął się papierosem.

– Ty odziedziczysz po mnie wyłącznie... – Rozgniół niedopałek obcasem, a niedokończone zdanie przez chwilę zawisło w powietrzu, taki niezdrowy sposób na podtrzymanie napięcia. – Tak więc ty odziedziczysz Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów! – dopowiedział resztę, wskazując palcem latarnię morską. – Ten teren, domek i latarnię...

Zerwał się wiatr, który wzniósł nagle tumany kurzu. Byłem tak zaskoczony, że potrzebowałem kilku minut, żeby zareagować.

– A co ja niby z tym wszystkim mam zrobić?

Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie zatrzęsł nim atak gwałtownego kaszlu. Patrzyłem, jak wypluwa płuca. Żałowałem, że tu przyjechałem.

– Zgadzasz się albo nie, Arthurze? – rzucił, łapiąc oddech. – A jeśli się zgadzasz, to wyłącznie pod dwoma warunkami, które nie podlegają negocjacom.

Zrobiłem ruch, jakbym zamierzał wstać, ale ojciec mówił dalej:

– Po pierwsze, musisz się zobowiązać, że nigdy tego nie sprzedasz. Słyszysz, co mówię?! Nigdy! Latarnia ma na zawsze pozostać w rodzinie.

– A po drugie? – spytałem zirytowany.

Ojciec zaczął przecierać oczy, ciężko wzdychając.

– Chodź ze mną! – powiedział wreszcie, wstając z drewnianego fotela.

Niechętnie powlokłem się za nim. Zaprowadził mnie do dawnego mieszkania latarnika, małego wiejskiego domku, w którym najwyraźniej nikt niczego nie zmienił od lat, jak również od lat nie było wietrzone. Na ścianach rozwieszono w charakterze ozdób sieci na ryby, drewniany ster oraz różne knoty miejscowych malarzy przedstawiające okoliczne widoki. Kominek zdobiły stara lampa naftowa i miniaturowy żaglowiec uwięziony w środku butelki.

Ojciec otworzył drzwi prowadzące na korytarz – a tak naprawdę wyłożony polakierowanymi deskami dziesięciometrowy tunel łączący domek z latarnią – ale zamiast wdrapać się po schodach na wierzchołek latarni, mój stary podniósł drewnianą klapę prowadzącą do piwnicy.

– Chodź! – rozkazał, wyjmując z torby latarkę. Schyliłem się i zszedłem za nim po trzeszczących schodkach do pomieszczenia pod ziemią. Gdy ojciec przekreślił kontakt, oczom moim ukazał się prostokątny pokój z nisko zawieszonym sufitem i ścianami z rudobrazowej cegły. W rogu stały jedna na drugiej oblepione pajęczyną beczki i drewniane skrzynie. Pokrywała je gruba warstwa kurzu nietknięta od czasów Matuzalema. Pod sufitem biegły rzędy starych zniszczonych rur. Mimo że mieliśmy to surowo zakazane, pamiętam bardzo dobrze, jak kiedyś jako mali chłopcy wraz z bratem wkradliśmy się tutaj na zwiady. Ojciec wymierzył nam wówczas tak surową karę, że raz na zawsze odechciało nam się tam łączyć.

– Po co w ogóle tu przyszliśmy, tato?

Za całą odpowiedź ojciec wyciągnął z kieszeni koszuli kredę, narysował na ścianie wielki krzyż i wskazał na niego palcem.

– W tym miejscu za ścianą z cegieł znajdują się stalowe drzwi.

– Drzwi?

– To jest przejście, które zamurowałem ponad trzydzieści lat temu...

Zmarszczyłem brwi.

– Przejście? Dokąd?

Ojciec machnął ręką i znów dopadł go atak kaszlu.

– To jest właśnie drugi warunek, Arthurze – wysapał, kiedy wreszcie złapał oddech. – Nie wolno ci nigdy otworzyć tych drzwi.

Przez chwilę naprawdę miałem wrażenie, że ojciec na starość zwariował. Na usta cisnęły mi się pytania, ale on szybko zgasił światło i wyszedł z piwnicy.

Dziedzictwo

Przeszłość jest nieprzewidywalna.

Jean Grosjean

1

Bryza znad oceanu orzeźwiała, ale i ogłuszała zarazem.

Znów siedzieliśmy w ogrodzie przy drewnianym stole.

Ojciec wręczył mi stare pióro wieczne ze szczotkowanej stali.

– Teraz, Arthurze, znasz obydwa warunki. Wszystko jest zapisane w tym dokumencie. Możesz zaakceptować ten zapis lub go odrzucić, daję ci pięć minut na podjęcie decyzji i podpisanie papierów.

Otworzył kolejne piwo i jakby odzyskał wigor.

Długo patrzyłem na niego. Nigdy nie udało mi się go rozgryźć ani zrozumieć, nie wiedziałem, co tak naprawdę o mnie myśli. A przecież przez wiele lat na przekór wszystkiemu starałem się go pokochać.

Frank Costello nie był moim biologicznym ojcem. Nawet jeśli nigdy o tym nie rozmawialiśmy, było to jasne dla nas obu. On z pewnością wiedział o tym jeszcze przed moim urodzeniem. Ja zorientowałem się, kiedy zacząłem dorastać. Nazajutrz po moich czternastych urodzinach matka wyznała mi, że zimą 1965 roku miała romans z naszym lekarzem rodzinnym. Ten mężczyzna – Adrien Langlois – wrócił do Quebecu na krótko przed moimi narodzinami. Jak wiele tajemnic rodzinnych, i ta miała czas, by sobie pokątnie dojrzewać, więc gdy matka mi to wyznała, poczułem właściwie ulgę. Wyjaśniało to przynajmniej niektóre wredne zachowania ojca wobec mnie.

Może się to wydać dziwne, ale nigdy nie starałem się spotkać mojego prawdziwego ojca. Wrzuciłem tę informację do mózgu, a że nie była dla mnie ważna, wkrótce o niej zupełnie zapomniałem. To nie więzy krwi tworzą rodzinę i moje serce nazywało się Costello, a nie Langlois.

– No, zdecydujesz się w końcu, Arthurze?! – wykrzyknął ojciec. – Chcesz tę latarnię czy nie?

Kiwnąłem głową. Chciałem teraz tylko jednego: jak najszybciej skończyć tę maskaradę i wrócić do Bostonu. Zdjąłem skuwkę z pióra, ale w momencie składania podpisu w dole strony uczyniłem jeszcze jedną próbę nawiązania porozumienia z ojcem.

– Naprawdę musisz powiedzieć mi coś więcej o tym spadku, tato!

– Powiedziałem ci już wszystko, co było do powiedzenia! – zirytował się ojciec.

– Nie! Jeśli nie zwariowałaś, to dobrze wiesz, że nic tu nie trzyma się kupy! – zaparłem się.

– To wszystko po to, żeby cię ochronić! – wyrzucił z siebie ojciec.

Słowa te uderzyły we mnie z całą siłą, intrygujące, niespodziewane, najwyraźniej szczerze. Otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem, że ojcu trzęsą się ręce.

– Ochronić przed czym?

Zapalił kolejnego papierosa, żeby się uspokoić, i tama zaczęła puszczać.

– Zgoda... Muszę ci coś wyznać... – powiedział tonem, jakby zawierzał mi tajemnicę.

– Coś, czego nigdy dotąd nikomu nie mówiłem.

Zapadła cisza. Trwała prawie minutę. Teraz ja wyciągnąłem papierosa z jego paczki, żeby mu dać czas na zebranie myśli.

– W grudniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, cztery i pół roku po zniknięciu, zadzwonił do mnie mój ojciec.

– Żartujesz chyba?

Ojciec zaciągnął się ostatni raz i nerwowym gestem odrzucił niedopałek na zwirową ścieżkę.

– Powiedział, że jest w Nowym Jorku i że chce się ze mną jak najprędzej zobaczyć. Poprosił, żebym nikomu nie mówił o jego telefonie, i wyznaczył mi spotkanie następnego dnia w barze w terminalu lotniska JFK... – Ojciec gorączkowo splótł sękatę palce i kiedy opowiadał, widziałem, jak wbija paznokcie w skórę. – Wsiadłem do pociągu i pojechałem na lotnisko spotkać się z nim. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Była sobota, na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Padał śnieg. Dużo lotów było opóźnionych lub zostało odwołanych. Ojciec czekał na mnie przy stoliku, pijąc martini. Wydał mi się wycieńczony i wyglądał bardzo źle. Objęliśmy się i po raz pierwszy zobaczyłem go płaczącego.

– No i?

– Najpierw powiedział, że czeka na odlot i że ma mało czasu. Potem wyjaśnił, że opuścił nas, bo nie miał wyjścia. Zwierzył mi się, że ma wielkie kłopoty, nie sprecyzował jakie. Spytałem, czy mogę mu pomóc, ale odrzekł, że sam jest sobie winien i że sam musi znaleźć rozwiązanie.

Byłem jak ogłuszony.

– A potem?

– Kazał mi kilka razy przysięgać. Nie wolno mi było nikomu powiedzieć, że on żyje, zakazał sprzedaży Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów, przestrzegając, abym nigdy nie otwierał stalowych drzwi w piwnicy latarni i miałem je natychmiast zamurować. Oczywiście nie odpowiedział na żadne moje pytanie. Chciałem się dowiedzieć, kiedy znów go zobaczę. Położył rękę na moim ramieniu. „Może jutro, a może nigdy...”, odrzekł. Zabronił mi płakać i nakazał, żebym był silny i zachowywał się teraz, gdy jego już nie ma, jak głowa rodziny. Minęło pięć minut, wstał, wypił resztkę martini i powiedział mi, żebym wracał do domu i wykonał wszystkie jego polecenia. „To kwestia życia lub śmierci, Frank!”, takie były jego ostatnie słowa.

Zadziwiony tymi spóźnionymi zwierzeniami spytałem:

– I co zrobiłeś?

– Wykonałem jego polecenia co do joty. Wróciłem do Bostonu i jeszcze tego samego wieczoru przyjechałem tutaj i zamurowałem drzwi w piwnicy.

– I nigdy ich nie otworzyłeś?

– Nigdy! – powiedział ojciec i zamilkł. Ja również nic nie mówiłem.

– Nie mogę uwierzyć, że nie starałeś się dowiedzieć czegoś więcej... – rzuciłem w końcu.

Ojciec rozłożył bezradnie ramiona.

– Obiecałem mu, Arthurze... A poza tym, jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że za tymi drzwiami czekają nas same kłopoty.

– Co masz na myśli?

– Dałbym nie wiem co, żeby się tego dowiedzieć, ale dotrzymam obietnicy aż do śmierci.

Zacząłem się zastanawiać.

– Zaczekaj, jest coś, czego nie rozumiem... – odezwałem się w końcu. – Jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy dziadek tak nagle znikł, przeszukano latarnię, prawda?

– Tak, przeszukano wszystko z góry na dół. Najpierw twoja babka, potem ja, a potem szeryf i jego pomocnik.

– Więc musieliście otworzyć te drzwi?

– Tak. Pamiętam puste pomieszczenie mierzące najwyżej dziesięć metrów kwadratowych, z podłogą z ubitej ziemi.

– Nie było żadnej kłapy w podłodze ani ukrytego przejścia?

– Nie, zauważyłbym.

Podrapałem się w głowę. To wszystko nie miało sensu.

– Bądźmy realistami – powiedziałem w końcu. – W najgorszym razie co moglibyśmy tam znaleźć? Czyjeś zwłoki? Kilka zwłok?

– Oczywiście myślałem o tym...

– Tak czy inaczej, jeśli zamurowałeś te drzwi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, nawet jeśli chodziłoby o morderstwo, to od dawna byłoby przedawnione.

Ojciec milczał.

– Myślę, że za tymi drzwiami jest coś o wiele straszniejszego niż zwłoki – odparł w końcu.

2

Niebo ściemniało i usłyszeliśmy grzmot. Kilka kropel deszczu spadło na dokumenty. Wzięłem pióro, zrobiłem parafę na każdej stronie i na ostatniej złożyłem swój podpis.

– Myślę, że nic nie wyjdzie z naszego łowienia ryb – rzucił ojciec, chroniąc się przed deszczem. – Odwieźć cię do domu?

– Jestem w domu! – odrzekłem, wręczając mu jeden z podwójnych egzemplarzy podpisanego aktu własności.

Ojciec roześmiał się nerwowo i włożył papiery do teczki. W milczeniu odprowadziłem go do pick-upa. Usiadł za kierownicą, włożył kluczyk do stacyjki. Zanim

go przekreślił, zastukałem w szybę.

– Dlaczego mnie powierzasz to wszystko? Nie jestem najstarszym synem i w dodatku nie dogadujemy się z sobą najlepiej. Dlaczego ja? – spytałem.

Ojciec wzruszył ramionami, nie umiejąc mi odpowiedzieć na to pytanie.

– Chcesz ochronić pozostałych, prawda? Chcesz oszczędzić tego własnym dzieciom.

– Nie bądź głupi! – zdenerwował się ojciec i westchnął głośno. – Rzeczywiście najpierw znenawidziłem twoją matkę za to, że mnie zdradziła – przyznał. – Potem również znenawidziłem ciebie, bo cały czas przypominałeś mi o tej zdradzie. Ale z czasem ta nienawiść przeszła na mnie samego... – Wskazał brodą sylwetkę latarni rysującą się pod strugami deszczu i podniósł głos, żeby przekrzyczeć burzę. – Prawda jest taka, że od trzydziestu lat ta tajemnica jest moją obsesją, i uważam, że jesteś jedynym człowiekiem, który może ją odkryć.

– Jak według ciebie mam to zrobić, nie otwierając tych drzwi?

– To już teraz twój problem! – rzucił ojciec, włączając silnik i ruszając z miejsca na pełnym gazie. Żwir zaskrzypiał pod kołami pick-upa, który znikł w kilka sekund z moich oczu, jakby wciągnięty przez burzę.

3

Pobiegłem do domu. W pokoju dziennym, potem w kuchni bezskutecznie szukałem jakichś resztek whisky lub wódki, ale w tej cholerniej latarni nie było ani kropli alkoholu. W szafce ściennej znalazłem starą włoską kafetierę i resztkę zmielonej kawy. Nastawiłem wodę, wsypałem kawę do filtra i przygotowałem sobie dużą filiżankę napoju, który, jak miałem nadzieję, doda mi wigoru. W kilka minut miły zapach rozszedł się w całej kuchni. Kawa była gorzka i niespieniona na powierzchni, ale pomogła mi zebrać myśli. Siedziałem przy blacie z wybielonego drewna. Coraz bardziej lało, a ja przez godzinę czytałem z uwagą dokumenty, które zostawił mi ojciec. Fotokopie różnych aktów sprzedaży pozwalały prześledzić historię tej posesji.

Latarnię zbudowano w 1852 roku. Na początku był to domek z kamienia, na dachu którego skonstruowano małą kopułę, w której umieszczono źródło światła – dziesięć lamp olejowych, wkrótce zastąpionych soczewką Fresnela. Pod koniec XIX wieku teren się obsunął, wybuchł pożar i latarnia uległa zniszczeniu. Struktura obecna – drewniana wieża i przylegający do niej domek – została zbudowana w 1899 roku i dziesięć lat później wyposażono latarnię w bardziej nowoczesną lampę naftową. Elektryczność nadeszła w 1925 roku.

W 1947 roku rząd amerykański uznał, że latarnia nie jest już punktem strategicznym, i pozbył się jej podczas licytacji, na której sprzedano również wiele innych dawnych budynków wojskowych.

Według dokumentów, które miałem przed oczami, pierwszy właściciel nazywał się Marko Horowitz. Urodził się w 1906 roku na Brooklynie, zmarł zaś w 1949. Wdowa po nim, Martha, urodzona w 1920 roku, sprzedała latarnię memu dziadkowi, Sullivanowi Costellowi, w 1954.

Obliczyłem w myślach: owa Martha miałaby obecnie siedemdziesiąt jeden lat. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jeszcze żyje. Wzięłem pióro, które leżało na blacie, i podkreśliłem adres podany w papierach: 26 Preston Drive w Tallahassee, na Florydzie. Podniosłem słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie i zadzwoniłem do Ogólnokrajowego Biura Numerów. W Tallahassee nie było żadnej Marthy Horowitz, ale telefonistka znalazła Abigael o tym samym nazwisku. Poprosiłem ją, żeby mnie połączyła z tym numerem.

Abigael odebrała. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, czemu dzwonię. Abigael powiedziała, że jest córką Marka i Marthy Horowitzów. Jej matka żyje, ale po 1954 roku jeszcze dwa razy wyszła za mąż. Dziś nosi nazwisko swego obecnego męża i mieszka w Kalifornii. Kiedy zapytałem Abigael, czy pamięta Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów, odpowiedziała mi natychmiast:

– Oczywiście! Miałam dwanaście lat, kiedy mój ojciec zniknął!

Zniknął... Zmarszczyłem brwi i zajrzałem do papierów, które leżały przede mną.

– Według aktu sprzedaży, który mam przed oczami, pani ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, prawda?

– W roku czterdziestym dziewiątym mój ojciec został uznany za zmarłego, ale znikł dwa lata wcześniej.

– Jak to znikł?

– To było pod koniec czterdziestego siódmego roku, trzy miesiące po tym, jak kupił latarnię i przylegający do niej domek. Ojciec i matka uwielbiali ten region i zamierzali urządzić tam nasz wakacyjny dom. Wówczas mieszkaliśmy w Albany. Którejś soboty rano do ojca zadzwonił szeryf hrabstwa Barnstable, żeby go zawiadomić, że poprzedniej nocy w drzewo rosnące na terenie posesji ojca uderzył piorun, wywracając je na druty wysokiego napięcia. Według szeryfa burza zniszczyła również łupkowy dach domu. Ojciec wsiadł do samochodu i pojechał do Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów, żeby sprawdzić szkody. Nigdy stamtąd nie wrócił.

– Jak to?

– Dwa dni później znaleziono jego oldsmobila stojącego przed domem, ale po ojcu nie było ani śladu. Policja przeszukała każdy najmniejszy fragment latarni i całą okolicę, ale nie znaleziono żadnej wskazówki, która pomogłaby wyjaśnić zniknięcie mego ojca. Mama nie traciła nadziei i wciąż na niego czekała, dni, tygodnie, miesiące... Aż wreszcie na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku w wyniku postępowania sądowego uznano ojca za zmarłego i przeprowadzono postępowanie spadkowe.

Coraz lepiej! Nigdy nie słyszałem o tej historii.

– Pani mama czekała pięć lat, żeby sprzedać latarnię?

– Mama nie chciała więcej słyszeć o tym miejscu. Przestała się nim zupełnie interesować do czasu, kiedy zaczęła potrzebować pieniędzy. Wtedy zwróciła się do agencji nieruchomości w Nowym Jorku, prosząc agenta, żeby w żadnym razie nie szukał kupca wśród mieszkańców okolicy, którzy słyszeli o zniknięciu taty... Wielu z nich uważało wówczas, że latarnia przynosi nieszczęście.

– I od tamtej pory nie miała pani żadnej wiadomości od ojca?

– Nigdy! – potwierdziła Abigael i zamilkła. Po chwili jednak dodała: – Z wyjątkiem jednego razu... – Nie odezwałem się, pozwalając jej kontynuować. – We wrześniu tysiąc

dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku w Nowym Jorku między dworcami Richmond Hill i Jamaica miał miejsce tragiczny wypadek. To była prawdziwa masakra – w godzinach szczytu wypełniony po brzegi pędzący pociąg uderzył z całym impetem w drugi, wjeżdżający na dworzec. Było dziewięćdziesiąt ofiar i prawie czterysta osób rannych. Najgorsza katastrofa kolejowa wszech czasów...

– Słyszałem o tym, ale jaki to ma związek z pani ojcem?

– W jednym z wagonów znajdował się jego kolega. Był ranny, ale przeżył. Po tym wszystkim kilkakrotnie odwiedzał moją matkę, utrzymując, że ojciec jechał w tym samym wagonie co on i że zginął w tej katastrofie.

Abigael mówiła, a ja wszystko szybko notowałem. Podobieństwo z tym, co się stało z moim dziadkiem, było bardzo niepokojące.

– Oczywiście w tym pociągu nigdy nie odnaleziono ciała mego ojca, ale byłam wówczas nastolatką i słowa tego mężczyzny bardzo mnie poruszyły – on był absolutnie przekonany, że ma rację.

Abigael skończyła, a ja podziękowałem jej za te informacje.

Kiedy odkładałem słuchawkę, pomyślałem o moim dziadku i jej ojcu – obaj znikli we wnętrzu latarni, padli ofiarą klątwy nad nią cięższej.

A ja byłem teraz właścicielem tego przeklętego miejsca.

Dwadzieścia cztery wiatry

Było tam słońce, które powoli zniknęło w przepaści.

Victor Hugo

1

Zmroziło mi krew w żyłach.

Rękawem swetra wytarłem parę, która osadziła się na szybach. Nie było jeszcze czwartej po południu, a już na zewnątrz jakby zapadła noc. Z zaciągniętego chmurami nieba lał się strumieniami deszcz, uderzając z impetem w okna. Wyjący wiatr przeginał drzewa, miotał kablami elektrycznymi i trząsł oknami. Łańcuch od huśtawki wydawał jęczące dźwięki, jakby lament przypominający płacz dziecka.

Muszę się rozgrzać – postanowiłem. Obok kominka leżało trochę chrustu i kilka drewnianych szczap. Rozpaliłem ogień i dorobiłem sobie kawy. Te nadchodzące jedna za drugą rewelacje zdołowały mnie. Najwyraźniej mój dziadek nie utopił się, tylko porzucił żonę i dziecko i gdzieś zwiął. Ale dlaczego? Z pewnością każdemu może zdarzyć się napad szaleństwa czy miłość od pierwszego wejrzenia, ale jeśli się weźmie pod uwagę wszystko, co mówiono o charakterze Sullivana Costella, nie wydawało się to prawdopodobne.

Będąc synem irlandzkiego emigranta, dziadek ciężką pracą zdobył swoją część *American dream*. Dlaczego miałby się ulotnić pewnego jesiennego dnia, zrywając brutalnie więzy łączące go z dotychczasowym życiem? Jakie straszne tajemnice chował w zakątku swojej duszy? Co robił między jesienią 1954 a końcówką 1958 roku? A przede wszystkim, czy jest jakakolwiek szansa na to, że jeszcze żyje?

Wydało mi się nagle oczywiste, że te pytania nie mogą pozostać bez odpowiedzi.

2

Przebiegłem w strugach deszczu do składziku przyklejonego do domu. Kiedy pchnąłem drzwi, zauważyłem pomiędzy narzędziami zużyтыми i zardzewiałymi nowiutki młot jeszcze z etykietką „Home Depot”. Był niemieckiej produkcji, miał rączkę z surowego drewna i część metalową odlaną w specjalnym stopie miedzi

i berylu. Ojciec musiał go kupić niedawno. Nawet bardzo niedawno... Z pewnością z myślą o mnie.

Czułem, że pułapka się zamyka.

Nie namyślając się wiele, chwyciłem ten młot oraz leżące nieopodal stare dłuto i łom. Wyszedłem ze składziku i wszedłem do domu, a potem do długiego korytarza. Kłapa prowadząca do piwnicy była wciąż otwarta. Zszedłem na dół z narzędziami i włączyłem światło.

Mogłem jeszcze zawrócić. Mogłem zadzwonić po taksówkę, która zawiozłaby mnie na dworzec, skąd złapałbym pociąg do Bostonu. Mogłem zgłosić Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów w najbliższej agencji nieruchomości – w lecie tego typu budowle wynajmowano w Nowej Anglii za kilka tysięcy dolarów miesięcznie. W ten sposób miałbym regularny dochód i mógłbym sobie spokojnie żyć.

Ale jakim życiem?

Poza pracą nie miałem nic. Nie byłem z nikim ani z niczym związany. Nikogo nie kochałem.

Zamrugalem. Nagle zobaczyłem obrazek z przeszłości: mam pięć lat. Unoszę jasnowłosą głowę, patrząc na ojca, który pozwolił mi upaść z piętrowego łóżka na podłogę sypialni.

– W życiu nie wolno nikomu ufać, słyszysz, Arthurze?! Nikomu! Nawet własnemu ojcu!

Ten spadek, ten zatruty prezent, to była pułapka, którą na mnie zastawił. Mój ojciec nie miał odwagi otworzyć stalowych drzwi. Nie miał odwagi złamać starej obietnicy. Ale przed śmiercią chciał, żeby ktoś zrobił to za niego.

I tym kimś byłem ja.

3

Wytarłem krople potu z czoła. W tej części budynku było duszno i gorąco. Z braku powietrza można było się udusić, jak w maszynowni statku.

Podwinąłem rękawy, chwyciłem młot i uniosłem go nad głowę, biorąc maksymalny zamach, po czym z całych sił uderzyłem w środek krzyża namalowanego przez mojego ojca kredą na ścianie.

Zmrużyłem oczy, żeby uniknąć odłamków kruszonej cegły i kurzu, po czym wymierzyłem następny cios i następny.

Za czwartym uderzeniem uniosłem młot z większą energią, ale niestety zarazem przeciąłem dwa przewody, które biegły pod sufitem. Oblała mnie lodowata woda, zanim wpadłem na to, żeby otworzyć skrzynkę z odpowiednimi zaworami i zatrzymać ten potop.

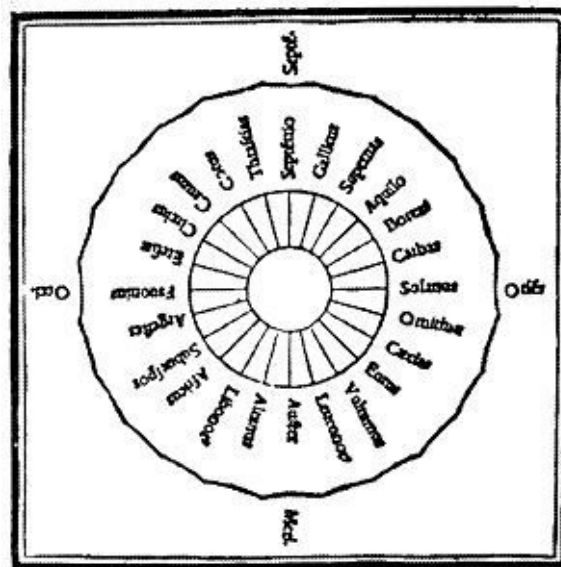
Cholera!

Byłem mokry od stóp do głów. Woda była lodowata, rdzawa i niosła z sobą zapach pleśni. Natychmiast zdjąłem koszulę i spodnie. Rozsądek nakazywał mi wrócić na górę i przebrać się, ale upał panujący w pomieszczeniu, a zwłaszcza chęć przekonania się, co znajduje się za tymi drzwiami, wystarczyły, żebym wrócił do pracy.

Mając na sobie tylko bokserki w różowe grochy, zacząłem z podwójną energią walić w ceglana ścianę. Cały czas wracały do mnie słowa ojca: „Myślę, że za tymi drzwiami jest coś o wiele straszniejszego niż zwłoki”.

Uderzyłem jeszcze z dziesięć razy, kiedy poczułem pod młotem metal. Kwadrans później odsłoniłem całe drzwi: były niskie i wąskie, z przezartej rdzą kutego żelaza. Przedramieniem wytarłem spocony tors i podszedłem bliżej. Na miedzianej tabliczce przykręconej do drzwi zobaczyłem wyrzeźbioną w metalu różę wiatrów.

Widziałem już ten rysunek: identyczny przybito do kamiennego murku okalającego latarnię. Przedstawiał on wyczerpującą listę wiatrów znanych w czasach antycznych:



Pod wykresem znajdował się łaciński napis, który ostrzegał:

Postquam viginti quattuor venti flaverint, nihil iam erit¹

Najwyraźniej – lecz nie miałem pojęcia dlaczego – od tej rozety latarnia brała swoją nazwę. Niezwykle podekscytowany spróbowałem otworzyć metalowe drzwi, ale klamka zablokowała się, jakby zardzewiała. Zacząłem ją forsować i została mi w dłoni. Spojrzałem na narzędzia, które z sobą przyniosłem. Zdecydowałem się na łom. Wsunąłem ukośnie wyszlifowany czubek w szparę między drzwiami i murem, chcąc wyważyć drzwi. Nacisnąłem z całych sił i usłyszałem suchy trzask. Zamek ustąpił.

4

Zapałem latarkę. Serce waliło mi w piersi. Pchnąłem metalowe drzwi, które ustąpiły z trudem, szorując po ziemi. Skierowałem snop latarki w otwór. W promieniu światła zobaczyłem pomieszczenie podobne do tego, które opisał mi ojciec: niecałe dziesięć metrów kwadratowych błotnistej ziemi otoczone czterema ścianami z nieszlifowanego kamienia. Krew pulsowała mi w skroniach. Ostrożnie wszedłem do pomieszczenia, oświetlając każdy kąt. Na pierwszy rzut oka było tam pusto. Zamiast

podłogi – zwykle klepisko. Miałem wrażenie, że człapię po błocie. Przyjrzałem się dokładnie ścianom, nie zobaczyłem żadnego napisu.

I to wszystko?

Czyżby Frank opowiadał głupstwa? Faktycznie spotkał się ze swoim ojcem na lotnisku Kennedy'ego, czy tylko to sobie wyobraził? Dlaczego wymyślił całą tę bajkę o latarni?

Kiedy o tym wszystkim myślałem, poczułem dziwny powiew lodowatego wiatru. Zaskoczony wypuściłem z ręki latarkę. Schyliłem się po nią i zobaczyłem, jak zatrzasują się za mną metalowe drzwi.

W ciemnościach podniosłem się i wyciągnąłem dłoń, żeby je otworzyć, ale nie mogłem się ruszyć, jakbym uległ paraliżowi, skamieniałem jak słup soli. W uszach pulsowała mi krew.

Zacząłem krzyczeć. Potem usłyszałem dźwięk ssania, jakby coś mnie wciągało w głąb, i utraciłem grunt pod nogami.

Część druga
Nie wiadomo gdzie

1992

Światła miasta

*Droga do piekła jest tak dobrze wybrukowana,
że nie trzeba o nią specjalnie dbać.*

Ruth Rendell

0

Mocny zapach mirry i werniksowanego drewna.

Kamforowa woń kadzidła i wosku.

Głowę rozrywa mi odgłos walenia młota pneumatycznego.

Chcę otworzyć oczy, ale powieki mam jak zlepione. Leżę na twardym i chłodnym podłożu, z policzkiem wciśniętym w kamień. Jest mi zimno, mam dreszcze i czkawkę. Piersi rozrywa mi dojmujący ból, nie mogę normalnie oddychać. Czuję suchość w gardle, w ustach smak cementu. Leżę nieruchomo jeszcze jakiś czas, nie mogąc się podnieść.

1

Powoli cisza panująca wokół mnie zamienia się w hałas agresywnego, wściekłego tłumu.

Przeciw czemu buntują się ci ludzie?

Z trudem wstałem i popatrzyłem przez wpółluchylone powieki. Oczy mnie piekły i widziałem niewyraźnie. Zdwoiłem wysiłki i wytrzeszczyłem gały, żeby się zorientować, co się wokół mnie dzieje.

Mdłe światło, krucyfiks, kandelabry z gromnicami, baldachim z brązu, marmurowy ołtarz... Zrobiłem niepewnie kilka kroków w przód. Najwyraźniej znalazłem się w prezbiterium jakiegoś kościoła. A nawet może katedry: przed sobą widziałem długą na sto metrów nawę, po bokach której znajdowały się dwa rzędy wielkich rzeźbionych drewnianych ław. Uniosłem głowę: dziesiątki kolorowych witraży przepuszczały ciepłe światło. Gotyckie łukowe sklepienie trzydzieści metrów wyżej przyprawiało o zawrót głowy.

Po przeciwnej stronie prezbiterium zauważyłem ogromne organy z licznymi piszczałkami i miechem, a ponad nimi oko cyclopa: witraż w kształcie rozety, świecący

nieskończonymi odcieniami błękitu.

– Niech ktoś wezwie policję! – Usłyszałem krzyk gdzieś w tłumie. Wpatrywały się we mnie dziesiątki przestraszonych oczu: turyści, modlący się wierni, księża przy konfesjonalach. Zrozumiałem ten wrogi pomruk, gdy zobaczyłem, że jestem prawie nagi: miałem na sobie bokserki w różowe grochy i moje zabłocone adidas Stan Smith.

Co ja tu robię, do cholery?!

Na rękę miałem zegarek dziadka. Rzuciłem nań wzrokiem: było dwanaście po piątej po południu – kiedy wszystko wokół mnie zaczęło wirować. Pamiętałem rozmowę z ojcem, przeszukiwanie latarni, pamiętałem również murowane pomieszczenie w piwnicy, w którym panował tropikalny upał, i stalowe drzwi, które nagle się za mną zatrzasnęły.

Ale co się stało później?

Nogi uginały się pode mną. Żeby nie upaść, oparłem się o pulpit, na którym leżała ciężka Biblia w twardej oprawie. Wytarłem krople lodowatego potu, które spływały mi po plecach. Muszę stąd wyjść, i to jak najprędzej!

Za późno!

– *Police! Don't move! Put your hands overhead!*

Ujrzałem, jak do kościoła wbiegają dwaj umundurowani policjanci, którzy zbliżają się do mnie przejściem wzdłuż głównej nawy. Nie ma mowy, żeby mnie zatrzymali, zanim zrozumie, co mi się przydarzyło. Zebrałem wszystkie siły i zacząłem biec po marmurowych schodach. Pierwsze kroki były bardzo bolesne. Czuję, że moje kości są kruche jak kryształ, i obawiałem się, że przy którymś następnym kroku nogi po prostu zaczną mi pękać w stawach z głośnym trzaskiem. Zacisnąłem zęby i pobiegłem boczną nawą, mijając kapliczki i potrącając ludzi, wywróciłem nawet jakiś ozdobny bukiet, świecznik z kutego żelaza i stosy książeczek do nabożeństwa ułożone na półkach.

– Stój!

Nie odwróciłem się, pędziłem przed siebie po śliskiej podłodze, jeszcze dziesięć metrów i już jestem przy drzwiach, a chwilę potem – wreszcie na zewnątrz!

Zbiegłem po kamiennych schodach i wypadłem na plac przed kościołem. I nagle...

2

Koncert klaksonów i wyjących syren rozrywał mi bębenki. Unoszące się nad tłustym asfaltem słupy białego dymu rozplýwały się na tle brudnego nieba, skąd dochodził do mnie hałas wirnika helikoptera. Powietrze było elektryczne, wilgotne, duszące, czułem się jak w kotle.

Byłem oszołomiony. Z trudem utrzymywałem równowagę. Chciałem dalej uciekać, ale zanim ruszyłem, jeden z policjantów nagle rzucił się na mnie i chwycił za szyję. Krzyknąłem z bólu. Mimo że ścisnął mnie mocno, udało mi się odepchnąć go od siebie silnym kopniakiem w twarz.

Pognałem dalej. Ściagała mnie wciąż jego koleżanka, niska okrągła kobieta. Byłem pewien, że szybko się jej pozbędę. Ale przeceniłem swoje siły. Nogi miałem jak z waty, ledwo łapałem oddech. Mimo dużego ruchu ulicznego i mnóstwa samochodów

postanowiłem przedostać się na drugą stronę jezdni, wtedy policjantka niespodziewanie podstawiła mi nogę, przewróciłem się, a ona przewróciła się na mnie. Zanim się zorientowałem, poczułem z tyłu pleców, jak stalowe kajdanki wrzynają mi się boleśnie w nadgarstki.

Wówczas przed oczami kalejdoskop niewyraźnych scen zmienił się w wyraźne obrazy: widziałem żółte taksówki poruszające się w tunelu z betonu i szkła, amerykańskie flagi łopoczące na wietrze, sylwetkę starego kościoła tonącą w lesie drapaczy chmur, pomnik z brązu umięśnionego Atlasa dźwigającego na ramionach sklepienie niebieskie...

Leżałem z głową przyciśniętą do chodnika, znieruchomiały ze strachu. Trzewia mnie paliły, w ustach czułem kwaśny smak. Gdy moje spocone, prawie nagie ciało wleczono po asfalcie, zastanawiałem się, w jaki sposób znalazłem się w samym centrum Nowego Jorku, na Piątej Alei, w katedrze Świętego Patryka.

3

20.00

W klatce.

Twarz zasłoniłem dłońmi, kciukami masując skronie. Marzyłem o trzech tabletkach aspiryny i podanym dożylnie leku przeciwzapalnym.

Aresztowano mnie i zawieziono na komisariat 17 dystryktu, fortecy z brązowych cegieł stojącej na skrzyżowaniu Lexington i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Gdy tylko się tam znalazłem, zamknięto mnie we wspólnej celi z bezdomnymi, łobuzami i dealerami narkotyków.

Cela ta, znajdująca się w podziemiu, była jak łaźnia. Brak klimatyzacji i okien, brak powietrza. W zimie bez wątpienia panował tam mróz, w lecie – wilgotny upał. Od trzech godzin siedziałem na ławce przymocowanej do ściany i nikt nie dał mi żadnego ubrania – miałem na sobie wyłącznie bokserki w różowe grochy i musiałem znosić chamskie odżywki zamkniętych razem ze mną meneli.

Kiedy ten koszmar wreszcie się skończy?

– Przyjemnie ci tak łązić na golasa, cioto jedna?

Lump siedzący obok nękał mnie już od godziny. Chudy jak bezdomny pies, był wrakiem człowieka, twarz miał całą czerwoną i w krostach. Najwyraźniej na głódzie narkotykowym, cały czas mamrotał obelgi i drapał aż do krwi żółtawy gęsty zarost. Na pogotowiu w Bostonie, gdzie pracowałem, codziennie przywożono nam kilku takich facetów: istot złamanych przez życie, niemających gdzie się podziać, śpiących na ulicy, agresywnych, żyjących we własnym świecie. Przeważnie byli w stanie śpiączki, hipotermii lub mieli zaburzenia psychiczne.

– Wygodnie ci się brandzlować w tych majtkach, co, przyjacielu?

Było mi go żal, ale również trochę się go bałem. Odwróciłem głowę. Gwałtownie wstał i złapał mnie za ramię.

– Nie masz czegoś schowanego tam w tych twoich kalesonach? Trochę wody życia w tym twoim kraniku?

Odepchnąłem go łagodnie. Mimo panującego gorąca był zakutany w gruby wełniany płaszcz, sztywny od brudu. Kiedy z powrotem opadł na ławkę, zauważyłem, że z kieszeni wystaje mu pomięta gazeta. Wyciągnął się na ławce twarzą do ściany. Gdy znów zaczął mamrotać przez sen, wyciągnąłem mu delikatnie zmięte strony i gorączkowo je rozłożyłem. Był to „New York Times” z wielkim tytułem na pierwszej stronie:

**W wyścigu do prezydentury
Partia Demokratyczna na konwencji przedwyborczej
popiera kandydaturę Billa Clintona.
Nowy głos dla nowej Ameryki!**

Ponizej wielkie zdjęcie przedstawiało dobrze prezentującego się kandydata pod rękę z żoną Hillary i córką Chelsea oraz tłum wiwatujących. Gazeta była z 16 lipca 1992 roku. Zakryłem twarz dłońmi.

To niemożliwe...

Wysilałem się, jak mogłem, nic z tego – moje ostatnie wspomnienie pochodziło z początku czerwca 1991 roku! Załamałem się. Przez sekundę miałem wrażenie, że stoję nad przepaścią. Serce zaczęło mi walić w piersi. Spokój, tylko spokój... Skupiłem się na oddechu. Muszę myśleć rozsądnie. Jak wyjaśnić mój problem z pamięcią? Miałem jakiś mikrowylew? Przeżyłem traumę? Może wziąłem jakiś narkotyk?

Byłem lekarzem. Nawet jeśli nie neurologiem, to odbyłem wystarczająco dużo praktyk w różnych szpitalach, żeby zdać sobie sprawę z tego, iż utrata pamięci często pozostaje niewyjaśnionym problemem.

Najwyraźniej cierpiałem na amnezję wsteczną: nie pamiętałem niczego, co nastąpiło po tym, gdy wszedłem do „zakazanego” pomieszczenia latarni. Od tego dnia najwyraźniej coś się w moim mózgu zablokowało. Znikłem ze swojego życia na ponad rok!

Ale w jaki sposób?

Zastanowiłem się. Zetknąłem się już z pacjentami, którzy nie pamiętali niczego, co zdarzyło się po jakimś strasznym wstrząsie: to normalna reakcja organizmu, żeby nie zwariować. Ale przeważnie w końcu po kilku dniach odzyskiwali pamięć, w moim zaś przypadku chodziłoby o ponad rok...

Ach, cholera!

– Arthur Costello?

Jakiś policjant w mundurze ryknął moje nazwisko tuż przed drzwiami celi.

– To ja! – odrzekłem, wstając.

Policjant przekręcił klucz w zamku i wziął mnie za ramię, żeby wyprowadzić z celi. Przeszliśmy przez labirynt korytarzy, aż znaleźliśmy się w pokoju przesłuchań: dwadzieścia metrów kwadratowych, wielkie lustro, metalowy stół przymocowany do podłogi, wokół niego trzy krzesła, każde inne.

Poznałem policjanta, tego, który jako pierwszy chciał mnie zatrzymać. To jego odepchnąłem od siebie kopniakiem. Miał opatrunek nad brwią i rzucił mi wrogie spojrzenie, w rodzaju „Ty skurwysynu!”. Mrugnąłem do niego niewinnie, co miało

oznaczać: „Bez urazy, panie władzo!”. Obok stała jego koleżanka, Latynoska z czarnymi jak smoła włosami spiętymi w koczek. Patrząc na mnie drwiąco, podała mi wytarte dżinsy i szary T-shirt z szorstkiej bawełny. Gdy wkładałem na siebie moje nowe ubrania, ona przedstawiła się jako *booking officer* i wyjaśniła, że przeprowadzi przesłuchanie wstępne, a także poradziła mi, żebym nie starał się jej przechytrzyć.

Na jej żądanie przedstawiłem się, podałem mój wiek, adres i zawód. Ona wyrecytowała mi listę zarzutów – ekshibicjonizm w miejscu kultu, odmowa podporządkowania się organom ścigania, pobicie przedstawiciela porządku publicznego – i zapytała, czy się z tym zgadzam, czy nie. Milczałem. Starła się dowiedzieć, czy już wcześniej miałem problemy psychiczne. Powołałem się na prawo do nieskładania mogących mnie obciążyć zeznań bez konsultacji i zażądałem adwokata.

– Ma pan wystarczające środki, by go wynająć, czy chce się pan ubiegać o obrońcę z urzędu?

– Chciałbym, żeby reprezentował mnie prawnik z kancelarii Jeffreya Wexlera z Bostonu.

Policjantka kazała mi podpisać zeznanie, powiedziała, że następnego ranka stanę przed sądem, po czym poprosiła jednego ze swoich pomocników, żeby zaprowadził mnie do *mugshot² roomu*. Tam pobrano moje odciski palców i zrobiono mi zdjęcie. Zanim odprowadzono mnie z powrotem do celi, *booking officer* pozwoliła mi zatelefonować.

4

Bez specjalnego entuzjazmu postanowiłem zadzwonić do ojca, Franka Costella. Bałem się jego reakcji, ale wiedziałem, że tylko on może mnie wyciągnąć z przykrew sytuacji, w której się znalazłem. Zadzwoniłem więc do szpitala, do Pauline, oddanej mu bez reszty sekretarki, niegdyś kochanki. Zdumiona Pauline powiedziała mi, że Frank jest aktualnie na wakacjach we Włoszech, gdzieś nad jeziorem Como, w towarzystwie swojej żony.

– Co też pani wygaduje, Pauline! Mój ojciec nigdy nie wyjeżdża na wakacje, tym bardziej sześć tysięcy kilometrów od domu!

– Jak widać, wszystko może się zmienić! – odparła skonsternowana Pauline.

– Niech pani posłucha: nie mam czasu wszystkiego wyjaśnić, ale muszę jak najszybciej się z nim skontaktować!

Pauline westchnęła i kazała mi poczekać przy telefonie. Minutę później usłyszałem w słuchawce chrypliwy głos ojca:

– Do cholery, Arthurze, to naprawdę ty?!

– Cześć, tato!

– Dlaczego od roku nie wiemy, co się z tobą dzieje? Straszliwie się martwiliśmy!

W trzech zdaniach nakreśliłem mu moją nieciekawą sytuację.

– Ale gdzie byłeś przez ten cały czas, do diabła?!

Słyszałem jego wściekłość z drugiej strony słuchawki. Głos ojca brzmiał głucho, jakby dobiegał z otchłani.

– Wyobraź sobie, że nie mam najmniejszego pojęcia! Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to ten letni dzień, kiedy kazałeś mi podpisać dokumenty spadkowe dotyczące latarni.

– A właśnie, latarnia! Widziałem, że rozbiłeś tę ścianę z cegły! Przecież właśnie tego ci zabroniłem!

Wyprowadził mnie tą odpowiedzią z równowagi.

– Czyżby? Tylko na to czekałeś! Nawet kupiłeś wszystkie niezbędne do osiągnięcia tego celu narzędzia...

Ojciec nie zaprzeczył. Wprost przeciwnie, czułem, że mimo udawanej złości tylko czeka na to, co powiem. Dalszy ciąg potwierdził moje przeczucia.

– No więc, co znalazłeś za tymi drzwiami?

– Same kłopoty... – odpysknałem wymijająco.

– Mów natychmiast, co tam znalazłeś! – W głosie ojca zabrzmiała groźba.

– Powiem ci, ale najpierw niech twój adwokat wyciągnie mnie z więzienia.

Ojciec zaniósł się kaszlem.

– Dobrze, zaraz zadzwonię do Jeffrey'a! – obiecał.

– Dzięki. Powiedz mi, tato, czy naprawdę zdradziłeś mi wszystko, co wiesz o tej latarni?

– Oczywiście! Dlaczego miałbym cokolwiek przed tobą ukrywać? Ale może lepiej bym zrobił, gdybym ci nic nie powiedział, bo najwyraźniej mnie nie posłuchałeś.

Nie dałem za wygraną.

– Myślę zwłaszcza o historii dziadka.

– O jakiej historii dziadka? Wierz mi, opowiedziałem ci wszystko, przysięgam na głowy moich dzieci!

Roześmiałem się nerwowo. Ojciec całe życie przysięgał matce, że jej nie zdradza. Właśnie na głowy swoich dzieci.

– Frank, powiedz mi prawdę, do cholery!

Słyszałem, jak dusi się w ataku kaszlu. Nagle zrozumiałem. Biorąc pod uwagę prędkość, z jaką Pauline się z nim połączyła, nie był w żadnych Włoszech, tylko prawdopodobnie w szpitalu, przechodząc dyskretną terapię kolejnego etapu choroby nowotworowej, przekonany, że znów udało mu się prześlizgnąć przez ucho igielne.

– No dobrze! – zgodził się w końcu. – Być może jest szczegół, o którym ci nie wspominałem, a jednak zasłużyłeś na poznanie całej prawdy.

Spodziewałem się wszystkiego... i niczego.

– Twój dziadek żyje.

Z niedowierzaniem spytałem ojca, czy drwi sobie ze mnie.

– Niestety, nie.

– Jak to: Niestety?

Usłyszałem, że ojciec głęboko wzdycha.

– Sullivan jest w Nowym Jorku. W szpitalu psychiatrycznym na Roosevelt Island.

Kiedy powoli przyswajałem tę niespodziewaną wiadomość, policjantka Latynoska klepnęła mnie po plecach, żebym nie gadał w nieskończoność. Gestem ręki poprosiłem, żeby zgodziła się na dodatkową minutę.

– Od kiedy wiesz, że dziadek nie umarł?

– Od trzynastu lat.

– Od trzynastu lat?!

Nowe westchnięcie.

– Któregoś wieczoru, zdarzyło się to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, zadzwonił do mnie facet z jakiejś manhattańskiej organizacji opiekującej się bezdomnymi. Znalezionego Sullivana, jak błąkał się po Grand Central Station. Był agresywny, kompletnie dezorientowany, nie wiedział, gdzie się znalazł ani jaki był wtedy rok.

– A ty, jego rodzony syn, wsadziłeś go do szpitala dla wariatów?

– Nie myśl, że to mi sprawiło przyjemność! – wybuchł Frank. – Od dwudziestu czterech lat go nie było! Był chory, impulsywny, nie można było nad nim zapanować! Opowiadał niestworzone brednie! Oskarżał się o zamordowanie jakiejś kobiety! A poza tym to nie była tylko moja decyzja. Podjęło ją kilku psychiatrów i wszyscy byli jednego zdania: ojciec ma manię prześladowczą, psychozę i demencję starczą...

– Ale dlaczego trzymałeś to wszystko w tajemnicy?! Miałem prawo wiedzieć! Odebrałeś mi dziadka! Mogłem go odwiedzać, mogłem...

– Głupstwa pleciesz! Nie podobałoby ci się, kim się stał. Co by ci dało odwiedzanie niepoczytalnego? Tylko byś się tym zdręczał.

Nie mogłem się z tym zgodzić.

– Kto jeszcze wiedział? Mama? Moja siostra albo brat?

– Tylko mama. Co ty sobie myślisz?! Zrobiłem wszystko, żeby sprawa nie wydostała się na zewnątrz. Chciałem chronić naszą rodzinę i firmę...

– Jak zwykle chciałeś zachować pozory. Pozory były zawsze dla ciebie najważniejsze, prawda?

– Wkurzasz mnie, Arthurze!

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo już się rozłączył.

5

9.00, następnego ranka

– Wiesz, jak to się mówi, synku: nigdy nie ma drugiej szansy, żeby zrobić dobre pierwsze wrażenie.

Kiedy czekaliśmy w korytarzu budynku sądowego, Jeffrey Wexler pomagał mi zawiązać krawat. Jego asystentka wymachiwała pędzelkiem, rozjaśniając mi cienie pod oczami i pokrywając grubą warstwą pudru moją bladą jak prześcieradło twarz. Tylko kilka minut mieliśmy, żeby zdecydować, jaką strategię przyjąć wobec sędziego, ale Jeffrey, wierny wyznawca filozofii mego ojca co do wagi zachowania pozorów, o nie bardziej się teraz troszczył niż o to, o co naprawdę chodziło w mojej sprawie.

– To niesprawiedliwe, ale niestety tak jest – oznajmił starszy pan. – Jeśli uda ci się zrobić dobre wrażenie, pojawiając się przed sędzią, połowa drogi za nami. Resztę zostaw mnie.

Znałem go od dzieciństwa i nie wiem czemu, ale bardzo go lubiłem. Trzeba przyznać zresztą, że sprawdził się teraz doskonale. Nie tylko przywiózł mi garnitur, ale odebrał również z posterunku mój portfel, kartę kredytową i wszystkie dokumenty – identyfikator z pracy, prawo jazdy i paszport – żeby można było potwierdzić przed sądem moją tożsamość. Nie wiem też, w jaki cudowny sposób, ale udało mu się wszystko tak załatwić, żebym był pierwszy w kolejce rozpraw.

To pierwsze przesłuchanie nie trwało nawet dziesięciu minut. Kierując się leniwie rutyną, niedobudzony jeszcze sędzia szybko wyrecytował akt oskarżenia, po czym dopuścił do głosu najpierw prokuratora, potem adwokata. Po wysłuchaniu obu stron zaczął swój wywód. Przekonującym tonem przedstawił zwodniczość konkluzji, podkreślając, że cała ta sprawa to niewarte zachodu nieporozumienie, i zażądał wycofania oskarżenia przeciw mnie. Prokurator z ulgą zrezygnował z zarzutu ekshibicjonizmu, ale po ostatniej energicznej wymianie zdań z Jeffreyem odmówił wycofania zarzutu o pobicie przedstawiciela porządku publicznego. Jeffrey oznajmił, że w takim razie nie przyznamy się do winy. Prokurator zażądał dwudziestu tysięcy dolarów kaucji, którą Jeffrey zdołał obniżyć do pięciu. Następnie sędzia oznajmił, że w najbliższej przyszłości dostanę wezwanie na rozprawę sądową, i uderzył młotkiem.

– Następny!

6

Ledwo skończyło się przesłuchanie, zrozumiałem, że misją Jeffrey'a było zabranie mnie do Bostonu. Naciskał, żebym z nim wracał, ale chciałem mieć swobodę działania.

– Frank nie będzie zadowolony! – jęknął.

– Przecież jeśli Frank liczy się z kimkolwiek, to właśnie z tobą!

Skapitulował i nawet wsunął mi do kieszeni cztery pięćdziesięciodolarowe banknoty.

Wreszcie wolność!

Opuściłem budynek sądu i pieszo ruszyłem ulicą. Była już dziesiąta rano, ale powietrze tu, w centrum miasta, było wciąż chłodne, a odgłosy metropolii działały na mnie uspokajająco. Mimo że w nocy nie zmrużyłem oka, czułem się, jakby spadł ze mnie wielki ciężar i nawet fizycznie byłem w lepszej formie: stawy mnie nie bolały, oddychałem regularnie, znikła gdzieś migrena. Jedyne żołądek mi dokuczał i burczało mi w brzuchu z głodu. Wstąpiłem do Dunkin' Donuts i zafundowałem sobie wielki kubek kawy i pączka. Po jedzeniu ruszyłem w drogę: Park Avenue, Madison, Piąta Ulica. Ostatni raz byłem w Nowym Jorku na wieczorze kawalerskim jednego z moich kolegów lekarzy. Pierwszy przystanek – Nowy Jork, drugi – Atlantic City. Pamiętałem, że wynajęliśmy samochód w agencji Hertza w hotelu Marriott Marquis, słynnym z usytuowanego na najwyższym piętrze baru, który obracał się wokół własnej osi, umożliwiając obejrzenie Manhattanu pod kątem trzystu sześćdziesięciu stopni.

Kiedy dotarłem na Times Square, ponownie zebrało mi się na mdłości. Jeśli nocą kaskady neonów zasłaniały toczące to miejsce brud i zaniedbanie, w biały dzień dzielnica nie potrafiła ukryć swojej odstręczającej natury: wystawy peep-show i wejścia

do kin porno obsiedli bezdomni, wyglądający jak zombie narkomani i zmęczone prostytutki. Kilkoro turystów kręciło się po butikach z kiczowatymi pamiątkami. Jakiś bezzębny facet zebrał, na piersiach wisiał mu na sznurku kartonik z napisem: „HIV pozytywny”. Swoisty Dziedzinię Cudów na skrzyżowaniu światów³.

Minąłem Broadway i zszedłem do przejścia podziemnego wiodącego do hotelu. Bez trudu znalazłem stanowisko wypożyczalni samochodów. Hostessa zajrzała do bazy danych w komputerze i od razu znalazła moje nazwisko. Żeby nie tracić czasu, zgodziłem się na pierwszy zaproponowany samochód. Była to dwudrzwiowa kanciasta mazda navajo. Kiedy płaciłem, spotkała mnie przyjemna niespodzianka: moja karta kredytowa wciąż działała. Usiadłem za kierownicą i przez FDR Drive wyjechałem z Manhattanu na północ.

Żeby odzyskać pamięć, musiałem wrócić do momentu, kiedy po raz pierwszy doznałem szoku. Do chwili, kiedy się to wszystko zaczęło, czyli do piwnicy w Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów.

Przez cztery godziny, które trwała moja podróż na Cape Cod, przeskakiwałem z jednej stacji radiowej na drugą, słuchając to muzyki, to wiadomości. Cztery godziny przyspieszonego kursu, żeby podciągnąć się z rocznej „nieobecności”. Uzmysłowiłem sobie stopień popularności Billa Clintona, o którego istnieniu rok wcześniej w ogóle nie wiedziałem. Poznałem Nirvanę, zespół rocka alternatywnego, którego nasyczone dźwięki gitar przepełniały fale radiowe. Dowiedziałem się, że wiosną, po tym, jak uniewinniono czterech policjantów, którzy pobili Rodneya Kinga, w Los Angeles wybuchły gwałtowne zamieszki na tle rasowym. Ze sposobu, w jaki spiker zapowiedział piosenkę *Living on My Own*, domyśliłem się, że Freddie Mercury musiał niedawno umrzeć. Słuchając stacji poświęconej kinu, poznawałem filmy, o których nigdy do tej pory nie słyszałem: *Nagi instynkt*, *The Commitments*, *Moje własne Idaho...*

7

Było dobrze po drugiej, kiedy wjechałem na żwirowaną alejkę, która prowadziła do Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów.

Nietykalna, urzekająca sylwetka masywnej latarni wznosiła się solidnie pośród skał, prezentując drewniane boki wypłowiałe od ostrego letniego słońca, które stało teraz wysoko na niebie. Wysiadając z samochodu, musiałem osłonić oczy dłonią, aby ochronić je przed kurzem niesionym przez wiatr wirujący między skałami.

Wszedłem po kamiennych schodach prowadzących do przylegającego do latarni domku. Drzwi były zamknięte na klucz, ale ustąpiły po silnym uderzeniu w nie ramieniem.

Przez te trzynaście miesięcy nic się tu nie zmieniło. Te same meble w wiejskim stylu, te same dekoracje – wszystko jakby zastygło w czasie. W zlewie kuchennym zobaczyłem starą włoską kafetierę i filiżankę, z której piłem kawę ponad rok temu. Z kominka również nikt nie usunął popiołu.

Otworzyłem drzwi na korytarz z pokrytymi gipsem ścianami, który łączył dom z latarnią. W końcu korytarza znajdowała się kłapa zakrywająca wejście do piwnicy.

Otworzyłem ją i po trzeszczących schodkach zszedłem na dół.

Zapaliłem światło. Prostokątne pomieszczenie było dokładnie w takim stanie, w jakim opuściłem je rok temu. Z tym, że teraz wilgotne, upalne powietrze ustąpiło powiewowi suchemu i świeżemu. Obok beczek i drewnianych skrzyń znalazłem swoje narzędzia: młot, rylec i łom, wszystko pokryte pajęczyną.

Za rozbitą ceglana ścianą znajdowały się małe drzwiczki z kutego żelaza. Zapomniałem zamknąć klapę nad schodami. Przeciąg poruszał drzwiczkami, które drżały na zardzewiałych zawiasach. Bez lęku podszedłem bliżej, mając nadzieję, że przypomnę sobie coś konkretnego i zrozumiem wreszcie swoją sytuację. Zrozumieć! Starłem się wykonywać te same gesty co poprzednio, dłonią przetarłem z kurzu miedzianą płytkę, której łaciński napis zdawał się kpić sobie ze mnie:

*Postquam viginti quattuor venti flaverint,
nihil iam erit*

Robiło się coraz chłodniej. Miejsce to wyglądało obskurnie, ale byłem zdeterminowany. Powstrzymując drżenie, wszedłem do pomieszczenia przypominającego więzienną celę. Tym razem nie miałem z sobą latarki. Dosłownie utonąłem w ciemnościach. Wziąłem głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi i zamknąć drzwi. Już wyciągałem dłoń ku klamce, gdy gwałtowny powiew wiatru zatrzęsął je przed moim nosem. Aż podskoczyłem z wrażenia i przez chwilę czekałem, sparaliżowany strachem, cały spięty, gotów stawić czoło wszystkiemu.

Ale... nic się nie wydarzyło. Żadnych konwulsji, szczękania zębami, w uszach też mi nie szumiało.

8

Wszedłem z latarni uspokojony, ale i zawiedziony, przekonany, że nie do końca wyjaśniłem sytuację i że coś się za tym wszystkim kryje, a ja nie wiem co.

Musiałem się dowiedzieć, ale najwidoczniej nie tutaj miałem szukać odpowiedzi. Może w gabinecie psychiatry, a może podczas wizyty u neurologa...

Za kierownicą SUV-a wyruszyłem więc do Bostonu, do domu. Półtoragodzinną drogą ciągnęła się w nieskończoność. Prawie zasypiałem, prowadząc. Odezwało się moje zmęczenie: w głowie mi się kręciło, a powieki opadały bez mojej woli. Czułem się brudny i wyczerpany. Chciałem jak najprędzej wejść pod prysznic i uderzyć w kimono na co najmniej dwanaście godzin, odespać ten okres, kiedy nawet nie zmrużyłem oka. Przede wszystkim zaś byłem głodny jak wilk. Żołądek kurczył mi się i skręcał, wołając: „Jeść! Jeść!”.

Zaparkowałem samochód na pierwszym wolnym miejscu na Hanover Street, mając zamiar dojść pieszo do budynku, w którym mieszkałem, przy North End. W jakim stanie będzie moje mieszkanie? Czy ktoś przez ten cały czas karmił mojego kota?

Po drodze zatrzymałem się w Joe's Foods, żeby zrobić zakupy. Makaron, pesto, jogurty, płyn do zmywania naczyń, puszki Whiskas... Wychodząc ze sklepu, niosłem dwie wielkie torby z brązowego papieru. Wszedłem na schody obrośnięte glicynią, które łączyły Hanover Street ze wzgórzem, na którym stał mój dom. Z torbami pod pachą czekałem na windę. Kiedy wszedłem do ciasnej kabiny, poczułem zapach kwiatu pomarańczy. Wykręciłem się z trudem, żeby sięgnąć do guzika z numerem mojego piętra.

Metalowe drzwi zasunęły się za mną. Myślałem o słowach ojca, patrząc na zegarek. Była piąta po południu. O tej samej godzinie wczoraj budziłem się na pół nagi w katedrze Świętego Patryka.

Dokładnie dwadzieścia cztery godziny temu...

Dwadzieścia cztery... Coś mi to mówiło. Najpierw Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów, potem zniknięcie Sullivana, które trwało... dwadzieścia cztery lata.

Co za dziwny zbieg okoliczności! Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanowić. Nagle przestałem widzieć wyraźnie. Poczulem klucie w koniuszkach palców i zrobiło mi się niedobrze. Chwyciły mnie dreszcze. Zesztywniałem i poczułem, że tracę kontrolę nad swoim ciałem. Jakby złapał mnie silny prąd. Jakby tysiące wolt przeszło mój mózg.

Papierowe torby wyleciały mi z rąk.

Silny wybuch wyrzucił mnie z rzeczywistości.

1993

Sullivan

Uwierzę we wszystko, byle było nie do uwierzenia.

Oscar Wilde

0

Spada na mnie paląca ulewa.

Spada z taką siłą, że mam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi gwoździe w czaszkę. Powietrze jest przepełnione równikową wilgocią, która otępia i owija mnie gęstą watą, nie pozwalając otworzyć oczu. Nos mam zatkany, duszę się. Stoję, ale nie wiem jak, bo jestem jakby zahipnotyzowany. Właściwie ledwo trzymam się na nogach, wydaje mi się, że zaraz kolana się pode mną ugną i upadnę. Nagle rozrywa mi bębunki przerażający krzyk...

Otwieram oczy, wzdrygając się. Okazuje się, że stoję pod prysznicem, a na głowę leje mi się silny strumień wody!

1

Obok mnie stała młoda kobieta, naga, namydlona, z włosami w szamponie i wrzeszczała wniebogłosy. Twarz wykrzywiła jej grymas przerażenia. Uspokajającym gestem dotknąłem jej ramienia, ale zanim udało mi się cokolwiek powiedzieć, walnęła mnie w nos. Zatoczyłem się i zasłoniłem twarz dłońmi. Gdy próbowałem złapać oddech, spadł na mnie kolejny cios, tym razem w klatkę piersiową. Zacząłem tracić równowagę, chwiejąc się na krawędzi wyłożonej kafelkami podłogi kabiny. Próbowałem uchwycić się zasłon prysznica, ale podłoga była śliska. Upadłem głową na umywalkę.

Młoda przestraszona kobieta wyskoczyła spod prysznica, chwyciła ręcznik i wypadła z łazienki jak oparzona.

Leżąc bezwładnie na podłodze, słyszałem jak przez mgłę, że woła na pomoc sąsiadów. Słowa dochodziły do mnie niewyraźnie, niezrozumiale, lecz zdołałem wyłapać określenia: „gwałticiel”... „u mnie w łazience”... i „wezwanie policję!”.

Wciąż zgięty we dwoje, ogłuszony, leżąc nieruchomo, starałem się wytrzeć wodę, która spływała mi po powiekach. Nos miałem zakrwawiony, trudno mi było złapać oddech, dusiłem się, jakbym przed chwilą ukończył maraton.

Mózg nakazywał mi wstać, ale członki miałem jak sparaliżowane. A przecież wiedziałem, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo! Zapamiętałem lekcję z katedry Świętego Patryka. Za wszelką cenę musiałem uniknąć więzienia. Zebrałem wszystkie siły i z trudem się podniosłem, rozglądając się. Podszedłem do okna, podsunąłem górną część. Wąska uliczka, wciśnięta między dwa budynki. Wychyliłem się. Trochę dalej spostrzegłem szeroką czteropasmową aleję, biegnącą prosto w dół.

Żółte taksówki, fasady budynków z ciemnobrązowej cegły i kutego żelaza, cysterny z wodą na dachach – nie było wątpliwości, znów jestem w Nowym Jorku.

Ale gdzie?

A przede wszystkim – kiedy?

Słyszałem zbliżające się głosy, więc przełożyłem nogi na drugą stronę parapetu i złapałem się metalowych schodów przeciwpożarowych. Zbiegłem po nich niezgrabnie i na dole rzuciłem się prawie na oślep przed siebie. Zauważyłem po drodze dwie zielono-białe tablice z nazwami ulic. Skrzyżowanie Amsterdam Avenue ze Sto Dziewiątą Ulicą. Północny zachód Manhattanu – studencka dzielnica Morningside Heights. Słyszałem coraz bliżej syrenę policyjną. W panice skręciłem w lewo, żeby zniknąć z szerokiej alei, i zanurkowałem w wąską obrośniętą krzakami boczną uliczkę.

Uwięziony między dwoma budynkami przywarłem do ściany jednego z nich, żeby się ukryć i jednocześnie złapać oddech. Wydmuchałem nos w rękaw koszuli, który zabarwił się krwią. Garnitur był cały przemoczony. Najwyraźniej miałem na sobie ubranie, które zostawił mi Jeffrey Wexler. Machinalnie rzuciłem okiem na zegarek na ręku – był to wciąż ten sam zegarek mojego dziadka, elegancki Tank wskazujący teraz kilka minut po dziewiątej rano.

Ale którego dnia?

Z najwyższym wysiłkiem udało mi się skupić. Moim ostatnim wspomnieniem była kabina windy w budynku, w którym mieszkałem, torby z żywnością, które wypadły mi na podłogę, gwałtowny atak dreszczy, taki sam, jaki złapał mnie poprzednio w piwnicy w naszej latarni...

Kichnąłem. Powietrze było ciepłe, niebo błękitne, słońce już grzało. Mimo to szczękałem zębami.

Muszę wykombinować gdzieś nowe ubranie.

Spojrzałem w górę: z okien zwisała susząca się bielizna. Nie były to rzeczy, o których bym marzył, ale w mojej sytuacji nie mogłem wybrzydzać. Wskoczyłem na pokrywę kontenera na śmieci i wdrapałem się po fasadzie, żeby dosięgnąć wiszących ubrań. Chwyciłem pierwsze, które mogłem złapać, i włożyłem na siebie. Płócienne spodnie, pasiasta koszulka Yankees, dżinsowa bluza. Nic z tego nie było w moim rozmiarze – spodnie zmarszczyły się na kostkach, marynarka okazała się zbyt wcięta – ale przynajmniej wszystko było suche. Wyjąłem banknoty i bilon z kieszeni mokrej marynarki i wrzuciłem do śmieci stare ubranie.

Wyszedłem na szeroką aleję i wtopiłem się w tłum. Znów złapał mnie zawrót głowy i ścisnęło mnie w żołądku tak silnie, że prawie dostałem migreny. Jeśli mam logicznie myśleć, muszę przedtem coś zjeść. Zauważyłem bar po drugiej stronie ulicy. Zanim jednak pchnąłem drzwi, wrzuciłem dwie dwudziestopięciocentówki do automatycznego dystrybutora gazet i spojrzałem na stronę tytułową, bojąc się, co tam zobaczę...

2

– Oto zamówione jajka, tosty i kawa, proszę pana.

Kelnerka postawiła filiżankę i talerz na laminatowym blacie i uśmiechnęła się do mnie, wracając za kontuar. Pochłaniając śniadanie, przebiegłem uważnie wzrokiem pierwszą stronę „New York Timesa”.

Icchak Rabin i Jasir Arafat podpisują układ pokojowy. Prezydent Clinton nazywa to „odważną decyzją”

Przy artykule było zdjęcie, nieoczekiwane i frapujące: oto przed Białym Domem stoi z serdecznie rozłożonymi rękami uśmiechnięty Bill Clinton, najwyraźniej zadowolony z uścisku dłoni między stojącym po jego prawej stronie premierem Izraela a po jego lewej – liderem Frontu Wyzwolenia Palestyny.

Ten symboliczny gest oraz deklaracje uczestników spotkania pozwalały mieć nadzieję na rychłe zawarcie pokoju pomiędzy dwoma wrogimi nacjami. Ale czy to była rzeczywistość, czy też lewitowałem w czwartym wymiarze?

Zastanowiłem się nad swoją obecną sytuacją. Tym razem od ostatnich zapamiętanych chwil minęło czternaście miesięcy. Kolejny skok w czasie, brutalny, niewyjaśniony. Niewymiernie długi nawias, że tak się wyrażę.

Boże, co się ze mną dzieje?

Czułem, jak drżą mi ręce. Bałem się. Bałem się tak, jak mały chłopczyk boi się ukrytego pod łóżkiem potwora. Wiedziałem, że dzieje się ze mną coś poważnego, co wyrzuciło mnie z torów normalnego życia.

Wziąłem głęboki oddech, żeby się uspokoić, tak jak czasem radziłem to swoim pacjentom. Musiałem stawić czoło temu, co się działo, nie mogłem się dać pokonać. Ale kogo spytać o radę? Kogo poprosić o pomoc?

Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać: nie wolno było mi radzić się ojca, który zawsze mnie okłamywał, ale przecież był ktoś inny, kto jeszcze żył i kogo prawdopodobnie spotkało to samo, co mnie spotyka teraz: mój dziadek, Sullivan Costello.

Kelnerka obeszła wszystkie stoliki, żeby sprawdzić, czy żadna filiżanka nie jest pusta. Skorzystałem z okazji i gdy podeszła do mnie, zapytałem, obiecawszy sowity napiwek, czy ma może plan miasta.

Wypiłem kilka łyków jeszcze ciepłej kawy, przypominając sobie słowa ojca: „Twój dziadek nie umarł. Sullivan jest w Nowym Jorku, został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym na Roosevelt Island”.

Na mapie, którą przyniosła mi kelnerka, wypatrzyłem wąski pasek ziemi pośrodku East River. Roosevelt Island była prawie nierzeczywistą wyspą, kawałkiem ziemi

tkwiącym między Manhattanem a Queens. Trzy kilometry długości, dwieście metrów szerokości – nigdy nie postawiłem tam stopy. Pamiętałem, że kiedyś czytałem stary kryminał, w którym była mowa o więzieniu na tej wyspie, ale z pewnością zostało już ono dawno zlikwidowane. A może nie. Ponieważ byłem lekarzem, wiedziałem, że są jeszcze na wyspie dwa lub trzy szpitale wciąż działające, w tym szpital psychiatryczny o smutnej sławie: Blackwell Hospital, który wszyscy przezywali Pentagonem, jako że mieścił się w budynku pięciobocznym. Tam pewnie był zamknięty Sullivan.

Perspektywa spotkania z dziadkiem wyznaczyła mi cel działania oraz dodała odwagi. Tak, muszę się tam natychmiast dostać! Ale czy mnie wpuszczą? Tak, wpuszczą, jeśli uda mi się dowieść, że jestem jego wnukiem.

Nagle przeszła mnie nieprzyjemna myśl.

Mój portfel!

Kiedy opróżniałem kieszenie mokrego ubrania, wyjąłem z nich gotówkę, ale nie portfel, w którym miałem dokumenty.

W panice zapłaciłem rachunek i pognąłem na wąską uliczkę. Kontener ze śmieciami stał na swoim miejscu. Odnalazłem marynarkę i spodnie, jeszcze raz przeszukałem wszystko dokładnie.

Nic...

Cholera!

Jeśli w tej idiotycznej sytuacji, w której się znalazłem, było choć trochę logiki, portfel powinien zostać w kieszeni garnituru. Nie mógł mi go nikt ukraść, bo przecież złodziej zabrałby też gotówkę, którą miałem w kieszeniach.

Musiałem go zgubić.

Wróciłem na Amsterdam Avenue. W głowie mi szumiało.

Musiałem go zgubić w łazience tej kobiety.

Wróciłem bezwiednie pod budynek, z którego uciekłem godzinę wcześniej. Miejsce było spokojne, prawie bezлюдne. Żadnego śladu policji ani jakiegokolwiek zamieszania. Obszedłem budynek dokoła, zdecydowany zaryzykować. Schody przeciwpożarowe były podciągnięte, ale udało mi się na nie wejść, wskakując na murek. Wszedłem po nich na trzecie piętro. Wybite okno zostało oczyszczone z odłamków szkła, a dziura zatkana kawałkiem tektury i taśmą samoprzylepną. Bez trudu dostałem się do środka.

Cisza. Nikogo. Dziewczyna musiała umyć podłogę, bo nie zauważyłem śladów krwi ani rozlanej wody. Cicho posuwałem się po wyłożonej kafelkami podłodze. Na pierwszy rzut oka nigdzie nie było mojego portfela. Zniechęcony przykucnąłem, żeby zajrzeć pod rozklekotaną komodę, potem pod regał z wybielonego drewna, na którego półkach stały lekarstwa i kosmetyki, leżała suszarka do włosów i kosmetyczka.

I właśnie tam, w kurzu, zauważyłem mój portfel z popękanej skóry, musiał wpaść w to miejsce, kiedy leżałem na podłodze przy umywalce.

Wyciągnąłem po niego rękę, sprawdziłem, że w środku były dokumenty, i po raz pierwszy od dawna odetchnąłem z ulgą. Rozsądek nakazywał jak najprędzej stąd zwiewać, ale rozochocony tym pierwszym małym zwycięstwem i uspokojony ciszą panującą w mieszkaniu wyszedłem z łazienki.

Mieszkanie było puste.

Była to ładnie urządzona kawalerka, chociaż panował w niej lekki nieporządek. Na blacie aneksu kuchennego stało napoczęte pudełko z musli i opakowanie jogurtu, które lokatorka mieszkania najwyraźniej z powodu pośpiechu zapomniała odstawić na miejsce.

Skubnąłem kilka ziaren musli i odstawiłem pudełko na półkę, jogurt zaś do lodówki. Coś mnie tu zatrzymywało: chciałem zrozumieć, dlaczego obudziłem się właśnie tutaj.

Zacząłem szperać w salonie. Dwa wąskie regały uginały się od książek. Koło magnetowidu stały stosy kaset VHS: *Kroniki Seinfelda*, *Twin Peaks*, filmy autorskie: *Paryż*, *Teksas* Wima Wendersa, *Seks, kłamstwa i kasety wideo* Stevena Soderbergha, *Ulice nędzy* Martina Scorsese, *Szczególny dzień* Ettorego Scoli, *Windą na szafot* Louisa Malle'a, jak też *Sklepek z horrorami* i dużo filmów z Meryl Streep: *Wybór Zofii*, *Kochanica Francuza*, *Pożegnanie z Afryką*...

Na ścianie wisały reprodukcje obrazów Andy'ego Warhola, Keitha Haringa i Jeana-Michela Basquiata.

Na niskim stoliku leżała paczka papierosów mentolowych i zapalniczka z napisem „I love New York”. Usiadłem na trzeszczącej kanapie i zapaliłem. Kiedy wydmuchałem pierwszy dym, znów pomyślałem o twarzy tej młodej kobiety wrzeszczącej pod prysznicem. Strach w jej oczach nie zostawiał wątpliwości: bała się, bo została zaskoczona. Z pewnością ani ona nie знаła mnie, ani ja jej. Zjawiłem się pod tym prysznicem znienacka niby jakiś rozpasany Doctor Who.

Koci miauk spowodował, że odwróciłem głowę. Pręgowany ciemnorudy kot o okrągłych oczach wskoczył na oparcie fotela. Zmrużyłem oczy i dojrzałem przyczepiony do obróżki medalion z imieniem Remington.

– Cześć, Remington! – powiedziałem.

Jak tylko wyciągnąłem dłoń, żeby go pogłaskać, odskoczył i znikł tak nagle, jak się pojawił.

Podniosłem się, żeby przeszukać ostatni pokój. Była to sypialnia z parkietem z surowego drewna, umeblowana różnorodnie: stare łóżko z kutego żelaza, nowoczesne biurko z lakierowanego drewna, kryształowy żyrandol jakby z innego świata. Koło łóżka stała szafka nocna, a na niej leżały numery „Playbilla” z recenzjami ostatnich musicali (zobaczyłem maskę i różę z *Upiora w Operze*, drapieżne oczy z *Kotów*, zdjęcie zespołu rewiowego z *Chóru...*), kilka powieści z pozaginanymi rogami (*Modlitwa za Owena*, *Umiłowana*, *Odważni...*).

Do ściany przyczepione były zdjęcia mojej nieznajomej w różnych strojach, od wieczorowych sukien do seksownej bielizny. Dziewczyna pozowała do zdjęć kolorowych i czarno-białych, w różnych fryzurach: raz miała włosy rozpuszczone, innym razem warkocz upięty w koczek nad karkiem, potem znów koński ogon albo falujące włosy równo ostrzyżone na poziomie ucha, albo znów kręcone pukle spadające na ramiona. Nie wyglądała na profesjonalną modelkę, raczej chyba zrobiła sobie portfolio dla agencji reklamowych czy modelingowych.

Nad biurkiem zobaczyłem przypięte pinezką ksero planu zajęć z nagłówkiem znanej uczelni artystycznej. Obok przyczepiono formularz rejestracyjny na nazwisko Elizabeth Ames. Dziewczyna miała dwadzieścia lat i była na pierwszym roku szkoły teatralnej.

Bezczelnie otwierałem kolejne szuflady i przeglądałem wszystko, co w nich znalazłem: brudnopisy listów miłosnych zaadresowanych do niejakiego Davida, polaroidowe zdjęcia kompletnie nagiej Elizabeth, może zrobione dla owego Davida, ale w rezultacie niewysłane – jeszcze inny grafik, tym razem pracy kelnerki w jakimś barze na East Side, w lokalu o nazwie Frantic. Na tablicy korkowej znalazłem przypięte wyciągi bankowe, wykazujące niepokojący debet, jak również kilka listów od właściciela mieszkania, naglących do uregulowania zaległego komornego.

Jeszcze kilka minut stałem nieruchomo w pokoju, wpatrując się w zdjęcia na ścianie. Zwłaszcza jedno z nich przykuwało mój wzrok: widać było na nim Elizabeth w śnieżny dzień siedzącą na oparciu drewnianej ławki pod latarnią w Central Parku. Miała na sobie wełnianą czapkę, za duże palto i botki z wywiniętą futrzaną cholewką. To zdjęcie było najmniej sexy, ale na nim jednym się uśmiechała.

W chwili gdy wychodziłem z mieszkania, tę właśnie fotografię zdjąłem z tablicy i wsunąłem sobie do kieszeni.

4

Dwie godziny później

– Zostawiam pana z nim – powiedział pielęgniarz. – Niby nie ma żadnego powodu, żeby stał się agresywny, ale jako lekarz sam pan wie lepiej ode mnie, że z tego typu chorobą nigdy nic nie wiadomo...

Znajdowałem się na siódmym piętrze Blackwell Hospital – słynnego Pentagonu – przed drzwiami pokoju mojego dziadka. Wyszedłszy z mieszkania Elizabeth Ames, złapałem taksówkę i dotarłem do skrzyżowania Drugiej Alei z Sześćdziesiątą Ulicą. Stamtąd pojechałem kolejką linową ponad East River na Tramway Plaza, w samym środku Roosevelt Island. Pieszko dotarłem do szpitala znajdującego się na końcu wyspy. Pentagon miał od zawsze fatalną opinię. Zbudowany w połowie XIX wieku, najpierw przyjmował chorych na ospę, którym miasto wyznaczyło kwarantannę. Potem zamieniono go w szpital psychiatryczny i wkrótce skupił w sobie wszystkie przypadłości tego typu zakładu: przyjmowanie zbyt wielkiej liczby pacjentów, traktowanie ich w poniżający sposób, poddawanie doświadczeniom na granicy legalności. W latach sześćdziesiątych zaczęła o tym donosić prasa, napisano też parę wstrząsających książek poruszających ten problem, w rezultacie czego dużej części personelu tej placówki przedstawiono zarzuty sądowe. Z czasem sytuacja w szpitalu się polepszyła, ale zła opinia pozostała. Odkąd zacząłem studiować medycynę, nie było roku, w którym by nie ogłaszano zamiaru jego natychmiastowego zamknięcia, ale trzeba było stawić czoło oczywistości: Pentagon wciąż działał. A ja w jego murach miałem nadzieję znaleźć ratunek.

– Muszę pana ostrzec – rzekł pielęgniarz. – Dzwonek alarmowy w pokoju nie działa.

Trudno było mi spojrzeć mu w twarz. Tak jak bohater słynnego komiksu, Dwie Twarze, on też miał połowę twarzy w bliznach oparzeniowych.

– Więc przy najmniejszym problemie trzeba po prostu głośno wołać! Ponieważ jest nas zbyt mało, niekoniecznie ktoś pana usłyszy, ale to najlepszy sposób, żeby wystraszyć staruszkę!

– Uwaga, mówi pan o moim dziadku!

– Co to, nawet już pożartować nie można... – odrzekł pielęgniarz zgryźliwie i wzruszył ramionami. Wpuścił mnie do pokoju dziadka. Gdy znalazłem się w środku, usłyszałem, jak zamyka za mną drzwi na klucz.

Pokój był maleńki, spartańska cela z żelaznym łóżkiem, koślawym plastikowym krzesłem i stołem przymocowanym do podłogi. Na materacu pólśniał mężczyzna oparty o poduszkę. Tajemniczy starzec o srebrzystej brodzie i siwych sztywnych włosach opadających mu na ramiona. Trwał w bezruchu, spojrzenie miał szklane, wyglądał jak nieobecny, jak pomnik, jak ktoś, kto myślami odpłynął w dalekie krainy. Taki Gandalf na psychotropach.

– Dzień dobry, Sullivanie! – odezwałem się, podchodząc do niego trochę onieśmielony. – Nazywam się Arthur Costello. Nigdy do tej pory nie mieliśmy okazji się spotkać, ale jestem synem pańskiego syna, Franka. Jest więc pan moim dziadkiem.

Nieszczególny początek...

Sullivan ani drgnął. Wyglądał, jakby mnie nie zauważył.

– Do niedawna w ogóle nie wiedziałem o pana istnieniu... – zagałęm, siadając przy łóżku. – Nie miałem pojęcia, że pan jeszcze żyje i przebywa w tym szpitalu. Gdybym wiedział, już dawno bym pana odwiedził.

W myślach starałem się obliczyć, ile dziadek może mieć lat, opierając się na informacjach podanych przez ojca. Jeśli się nie pomyliłem, musiał właśnie skończyć siedemdziesiąt lat. Pod zmarszczkami i brodą, która zakrywała mu połowę twarzy, można było dopatrzeć się regularnych rysów. Miał wysokie czoło, duży, ale ładny nos i wystający podbródek, świadczący o stanowczości. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądał trzydzieści lat wcześniej, kiedy był w wieku, w jakim widziałem go na rodzinnych fotografiach – energiczny szef przedsiębiorstwa w garniturze szytym na miarę, w koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem i mankietami spiętymi spinką, w kapeluszu. Pamiętałem zwłaszcza jedno zdjęcie: był na nim mężczyzna z cygarem w ustach, siedzący w swoim biurze na Madison Avenue z nogami założonymi na stół... Inne czasy, inny człowiek.

Podsunałem krzesło do łóżka i starałem się uchwycić jego wzrok.

– Potrzebuję pańskiej pomocy. – Ani mrugnął. – Odziedziczyłem pańską latarnię morską, Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów, i...

Przerwałem, obserwując go uważnie i czekając na reakcję, która nie nastąpiła.

Westchnąłem. Z pewnością niepotrzebnie tu przyszedłem. Przed wszystkim dlatego, że byliśmy sobie obcy, a poza tym dziadek najwyraźniej dawno temu zamknął się w sobie i nie wyglądało na to, żeby coś miało się zmienić.

Wstałem i poszedłem do okna, wyglądając przez kraty na miękkie białe chmury płynące po niebie w kierunku Astorii. Mimo ciepłych dni w pokoju było lodowato. Słyszałem wyraźnie plusk wody w żeliwnych kaloryferach, ale nie dochodziło od nich żadne ciepło.

Wróciłem, usiadłem przy łóżku i zrobiłem ostatnią próbę.

– Frank mi opowiadał, że w cztery lata po pańskim zniknięciu skontaktował się dziadek z nim i poprosił go, żeby zamurował metalowe drzwi w piwnicy latarni. – Starszy mężczyzna siedział wciąż nieruchomo na łóżku, z rękami złożonymi na brzuchu. Wyglądał jak pomnik nagrobny. – Zszedłem do tej piwnicy... – kontynuowałem swoją opowieść. – Rozbiłem tę ścianę z cegieł i...

Ze zwinnością drapieżnika Sullivan wyciągnął rękę i chwycił mnie za gardło.

Dałem się zaskoczyć jak pierwszoklasista. Zwiódł mnie jego letarg, a teraz silna dłoń zamykała się na mojej krtani. Nie mogłem oddychać. Wbiłem w niego spojrzenie. To wzmianka o tych zamurowanych drzwiach podziałała jak elektrowstrząs. Jego wzrok odzyskał nagle srebrzystą przerażającą moc.

– Dlaczego to zrobiłeś, głupcze?! – wysyczał mi do ucha.

Starąłem się mu wyszarpnąć, ale trzymał mnie bardzo mocno. Skąd w ogóle miał tyle siły? Czułem, jak jego palce wrzynają mi się w szyję, zatykając przełyk. Ten stary wariat mnie udusi!

– Otworzyłeś te metalowe drzwi? Wszedłeś do tego pomieszczenia?

Kiwnąłem głową twierdząco. Na jego twarzy pojawiła się rezygnacja. Puścił mnie, a ja zaniósłem się kaszlem.

– Zwariował pan! – wrzasnąłem, wstając z krzesła.

– Być może... – zgodził się ze mną. – Ale za to ty jesteś w poważnych tarapatach, synu!

Zapadła cisza. Przez ponad minutę wpatrywaliśmy się w siebie bez ruchu jak dwie fajansowe figurki. Sullivan zmienił się nie do poznania. Był teraz poważny i skupiony, wyglądało, jakby obudził się ze straszego snu. Przypominał podróżnika, który wrócił do domu po długiej i niebezpiecznej podróży. Obrzucił mnie żywym, ostrym wzrokiem od stóp do głów.

– Jak mówiłeś, że się nazywasz?

– Arthur. Arthur Sullivan Costello.

Na dźwięk mojego drugiego imienia lekki uśmiezek rozjaśnił jego twarz i w policzkach pojawiły się dwa dołki.

– A dlaczego świsnąłeś mi zegarek, Arthurze Sullivanie Costello? – spytał, pokazując na mojego cartiera.

– Mogę go dziadkowi oddać.

Położył dłoń na moim ramieniu.

– Nie, dziękuję, mój drogi wnuku. Wierz mi, będziesz go bardziej potrzebował niż ja. – Wstał i przeciągnął się. Zatrzeszczało mu w stawach, wyglądał, jakby powłoka cielesna była dla niego za ciasna. – A więc otworzyłeś te drzwi i teraz zastanawiasz się, co się stało...

– Tak i muszę zadać dziadkowi dziesiątki pytań...

Sullivan podniósł rękę, przerywając mi.

– Którego dziś mamy?

– Drwi sobie dziadek ze mnie?

– Tak, tak, drwię sobie... Przecież wiem, że jest czternasty września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. – Widziałem, że się zastanawia, zanim się znów odezwał: – Co robisz w życiu, chłopcze?

– Jestem lekarzem, dlaczego dziadek pyta?

– Tak sobie. Czy pracujesz w szpitalu? – Kiwnąłem głową twierdząco. Jego oczy zabłyśły jeszcze silniej, w nowy, trudny do wyjaśnienia sposób. Widać było, jak nagle jego mózg zaczął pracować bardzo intensywnie. – Czy masz może papierosa?

– Nie wydaje mi się, żeby tutaj można było palić – odparłem, wskazując palcem na czujnik dymu.

– Jeszcze nie zrozumiałeś, że w tej dziurze nic nie działa?

Westchnąłem i przeszukałem kieszenie, wyciągając z nich zapalniczkę i papierosy, które zabrałem z mieszkania Elizabeth Ames.

– Co to za gówno? – wykrzywił się dziadek. – To jakieś damskie świństwo. Nie masz lucky strike'ów? – Nie czekając na moją odpowiedź, zaklął, ale w końcu zapalił papierosa, którego mu podałem, i zaciągnął się głęboko. – Kiedy dokładnie otworzyłeś te drzwi? – zapytał, poważniejąc nagle.

– W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Więc jest to twoja druga podróż... A kiedy obudziłeś się ostatnim razem?

– Dzisiaj o dziewiątej rano. Co nazywa dziadek podróżą?

– Dostaniesz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, synku, ale najpierw musisz mi wyświadczyć przysługę.

– Jaką?

– Pomóż mi wydostać się z tej szcurzej nory. Dzisiaj.

Potrząsnąłem głową.

– Żartujesz, dziadku. To nie jest ani możliwe, ani wskazane! – oznajmiłem autorytatywnym tonem lekarza, tak jak się wyrażałem wiele razy wcześniej. – To nie byłoby rozsądne, zwłaszcza przy twoim stanie zdrowia...

Roześmiał się kpiąco i dotknął mojej piersi palcem wskazującym.

– Nie zrobisz tego dla mnie, synku, ale dla siebie. Więc teraz słuchaj uważnie, bo mamy mało czasu!

Zbliżył usta do mego ucha i podał kilka instrukcji. Za każdym razem, gdy otwierałem usta, żeby coś powiedzieć, kazał mi milczeć, podnosząc głos. Ledwo skończył, odezwał się alarm przeciwpożarowy.

Kilka sekund później do pokoju wszedł szybkim krokiem Dwie Twarze.

Na widok niedopałka na stole wpadł we wściekłość.

– Dość tego dobrego, proszę pana! Koniec wizyty!

5

Wróciłem na Manhattan kolejką linową.

Głowa mi pękała od myśli i wszystko mi się mieszało. Zaskoczyła mnie szybkość, z jaką Sullivan opracował plan swojej ucieczki. Nie czułem się zdolny, by ją zorganizować. A przynajmniej nie bez pomocy. Chciałem wyciągnąć trochę pieniędzy z bankomatu, ale tym razem moja karta nie zadziałała. Z pewnością zbyt często jej używałem w ciągu ostatnich dwóch lat. Obliczyłem swoje skromne zasoby. Zostało mi

siedemdziesiąt pięć dolarów. Wystarczy na podróż do Bostonu, ale na nic więcej. Popatrzyłem na zegarek. Minęło południe.

Pognałem na Penn Station i kupiłem bilet do Bostonu. Spojrzałem na tablicę informacyjną: ekspres jeździł co dwie godziny, następny był o wpół do drugiej. Rzuciłem się na peron i udało mi się wsiąść do ruszającego już pociągu.

Przez całą podróż wracały do mnie różne pytania. Pierwsze, najbardziej uporczywe, to jak zatrzymać działanie klątwy i wrócić do swojego zwykłego, spokojnego życia? Wiedziałem, że w tym jestem zdany wyłącznie na Sullivana. W takim razie następne pytanie było sprawą sumienia: Czy miałem prawo pomóc w ucieczce pacjentowi szpitala psychiatrycznego? Komuś, czyjego prawdziwego stanu zdrowia zupełnie nie znałem? Człowiekowi, który okazał się zdolny do ataków wściekłości? Komuś, kto nad sobą najwyraźniej nie panował i stanowił zagrożenie dla innych ludzi, może nawet śmiertelne.

Odpowiedź była jasna: Nie!

Trzecie pytanie brzmiało: Czy miałem wybór?

Tu też odpowiedź była jasna...

6

Boston South Station

16.40

Gdy tylko wysiadłem z pociągu, pobiegłem jak wariat do dzielnicy bankowej. Miałem mało czasu: żaden bank w centrum miasta nie był czynny po piątej po południu.

Mój oddział znajdował się na parterze nowoczesnego budynku w centrum handlowym Faneuil Hall. Stałem przed szklanymi drzwiami, które właśnie zamykał strażnik. Zapukałem trzy razy w szybę, odwrócił się zirytowany. Palcem pokazałem na tarczę mojego zegarka: do piątej brakowało jeszcze minuty. Strażnik pokręcił głową przecząco i podbródkiem szyderczo wskazał na zegar ścienny, na którym było minutę po piątej.

Westchnąłem i ze złością walnąłem pięścią w drzwi. Strażnik, wkurzony, wahał się, czy wyjść ze swojej budki, ale wołał zadzwonić do zwierzchnika. Na szczęście po chwili zobaczyłem przed sobą Petera Längego, urzędnika bankowego, który zajmował się kontami oszczędnościowymi całej naszej rodziny. Poznał mnie i podszedł do drzwi.

– Od dawna pana nie widzieliśmy, Arthurze!

– Byłem w Europie! – skłamałem. – Wiem, że jest trochę późno, ale bardzo potrzebuję pańskiej pomocy.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Podziękowałem mu, nie robiąc sobie żadnych złudzeń: jeśli był tak miły i zgodny, to przede wszystkim dlatego, że zajmował się pieniędzmi mojego ojca. Poszedłem za nim do biura, wyjaśniłem, że moja karta kredytowa nie działa, i spytałem, jaki jest stan mojego konta. Länge postukał w klawiaturę i włączył drukarkę, żeby wydrukować wyciąg z ostatnimi transakcjami. Okazało się, że na koncie podczas dwóch lat mojej

„nieobecności” dokonywały się operacje. Zawsze, niestety, w tym samym kierunku. Moje komorne, ubezpieczenie zdrowotne i zwrot kredytu, który zaciągnąłem na studia, wszystkie te wydatki spadały z regularnością metronomu. Ponieważ szpital przestał wypłacać mi skromną i tak pensję, bank zaczął czerpać z konta oszczędnościowego, które matka założyła mi tuż przed śmiercią. Miałem na nim odłożone pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Obecnie zostało już tylko dziewięć.

– Chciałbym wycofać całość tej sumy – oświadczyłem.

– To jest możliwe – skrzywił się Länge. – Ale będzie pan musiał wrócić jutro rano i zostawić na koncie przynajmniej tysiąc dolarów.

Nie ustępowałem. Powiedziałem, że muszę jeszcze tego samego wieczoru wyjechać z Bostonu, że niezwłocznie potrzebuję pieniędzy, które zostawiła mi w spadku matka. Nie spodziewałem się, że go wzruszę, ale mnie wysłuchał i postarał się wszystko odpowiednio urządzić. Pół godziny później dzięki niemu wychodziłem z banku ze swymi ośmioma tysiącami dolców gotówką. W chwili gdy się rozstawaliśmy, ten naiwniak złożył mi kondolencje, tak jakby matka zmarła tydzień temu.

Zareagowałem na to odpowiednią miną i odszedłem bez dalszych komentarzy, starając się złapać taksówkę, która zawiozłaby mnie do South Dorchester.

7

W Massachusetts General Hospital młodzi lekarze tuż po studiach odbywający praktykę na pogotowiu ratunkowym muszą trzy razy do roku uczestniczyć w akcji społecznej, w ramach której personel medyczny wsiada do odpowiednio wyposażonego ambulansu i jedzie do biednych dzielnic Bostonu, żeby udzielić pomocy medycznej wszystkim chętnym, którzy nie wykupili ubezpieczenia zdrowotnego. Jest to piękna teoria, która, niestety, wprowadzona w życie często zmienia się w koszmar. Podczas kilku miesięcy tej przygody, kiedy w niej uczestczyłem, nasz ambulans regularnie obrzucali kamieniami członkowie lokalnych gangów uważający, że nasza obecność psuje im biznes. Byliśmy okradani, pobici, ogałacani z całego sprzętu medycznego, tak że kierowcy żądali od związków zawodowych prawa do wycofania się z tej akcji. Niemniej władzom miejskim zależało na tym programie pomocowym, dlatego utrzymał się on jako wolontariat. Wielokrotnie więc sam prowadziłem ten wielki ambulans, po który musiałem jechać gdzieś na peryferie, do miejsca, które wyglądało bardziej na parking policyjny niż na porządny garaż.

O tym okresie swojego życia myślałem, wchodząc do Fitzpatrick's Auto Repair, jednego z największych warsztatów samochodowych w mieście, który wyspecjalizował się w przeglądach karawanów, autobusów szkolnych i karetek pogotowia.

W całym pomieszczeniu silnie pachniało smarem, ropą i oponami. Gdy tylko wszedłem do środka, podbiegł do mnie, ujadając groźnie, biały agresywny bulterier.

Zawsze bałem się psów. Tego również się przestraszyłem, co zwierzę od razu wyczuło. Udając, że go nie widzę, podszedłem do właściciela.

– Cześć, Dany.

– Cześć, frajerze. Kopę lat... Nie bój się mojej Zorii, to grzeczna dziewczynka, przecież wiesz.

Góra tłuszczu mierząca metr dziewięćdziesiąt w koszuli w kratkę i brudnych ogrodniczkach, czyli Dany Fitzpatrick. Był jeszcze bardziej przerażający niż suka. Wszyscy po cichu przezywali go Jabba, ale nikt nie miał odwagi otwarcie tak się do niego zwrócić.

– Conrad przysłała mnie po ambulans na dziś wieczór! – rzuciłem do Dany’ego z miną, jakbym rozstał się z nim poprzedniego wieczoru.

– Co ty opowiadasz? Nie dostałem żadnego zlecenia.

– Conrad wysłał ci je faksem – odrzekłem szybko. – Wiesz, jak to jest, często decyzja zapada w ostatniej chwili. Tej nocy jedziemy do centrów opieki społecznej w Mattapan i Roxbury. Będziemy może mieli jednego czy dwóch pacjentów do przewiezienia, chcielibyśmy coś niedużego. Mały wóz z wyposażeniem medycznym, masz coś takiego?

– Mam forda serii E. – Wskazał podbródkiem na samochód stojący nieopodal. – Ale... Podszedłem do furgonetki przerobionej na karetkę pogotowia.

– Jest akurat! – powiedziałem. – Nie martw się o faks, jak przyjdzie, podpiszesz go za mnie. Robiłeś to już wiele razy.

Wówczas Dany przesunął górę swego tłuszczu tak, że zasłonił mi dojsście do samochodu.

– Chwileczkę, motylku! To bardzo by mnie zdziwiło, gdybym dostał faks od Conrada.

– A to czemu?

– Conrad nie pracuje już w szpitalu od ponad pół roku.

Zrobiłem oburzoną minę i postawiłem wszystko na jedną kartę.

– Słuchaj, Dany, czy myślisz, że ta wyprawa sprawia mi przyjemność? Już ponad dwa lata dano mi spokój, a teraz nagle... Jak ci mówię, że dostaniesz faks ze szpitala, to znaczy, że dostaniesz. Po co innego miałbym brać od ciebie ambulans? To nie najlepszy sposób na podryw, sam przyznasz.

Dany Fitzpatrick podrapał się w głowę. Musiałem zdobyć ten punkt, nie pozwalając mu na zbyt długie zastanawianie się. Musiałem mu coś obiecać. Przypomniałem sobie, jak przeczytałem niedawno w gazecie...

– W sobotę Red Sox grają z Yankeesami. Przyjdź do nas obejrzyć mecz. Wiem, że podoba ci się Veronika. Będą też jej koleżanki, Olivia i Patricia, ta mała ruda z chirurgii. Te dziewczyny, jak się trochę napiją, przestają być nieśmiałe, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Natychmiast w myślach przeprosiłem Veronikę, tłumacząc sobie, że robię to wszystko w zbożnym celu.

– Dobra. Przyjdę w sobotę – zgodził się Dany, wręczając mi kluczyki. Przypomnij mi, gdzie mieszkasz?

Pięć minut później z uśmiechem na ustach wyjeżdżałem z garażu karetką pogotowia.

Przejechałem przez Dorchester w zamiarem udania się prosto do Nowego Jorku. Dorchester było dużą peryferyjną dzielnicą, w której przez całe kilometry ciągnęły się rzędy małych domków z czerwonej cegły, a między nimi co jakiś czas za płotami pomazanymi graffiti pojawiały się stare porzucone fabryki lub jakieś magazyny. Ten

Boston zamieszkały przez ludzi różnych ras, z ogrodzonymi terenami do kosza i małymi oryginalnymi sklepikami również bardzo lubiłem.

Zatrzymałem się na czerwonym świetle i włączyłem radio. Wpadłem na piosenkę R.E.M., której nigdy jeszcze nie słyszałem, ale refren od razu wpadł mi w ucho i zacząłem go pogwizdywać. Nawet jeśli tyle jeszcze zostało do zrobienia, plan powoli się klarował. W radiu zabrzmiała kolejna piosenka, a światło wciąż się nie zmieniało. Starając się oszukać własną niecierpliwość, rozejrzałem się. Z lewej zauważyłem pomazany znak informacyjny: trzykrotne wielkie czerwone „Z” starało się zakryć napis wskazujący, że ta droga prowadzi na cmentarz Forest Hills, jakby chcąc go zaklarować, żeby zniknął. Znałem ten cmentarz – były tu pochowane moja matka i babka ze strony ojca.

Światło zmieniło się na zielone, ale mimo rozbrzmiewającego za moimi plecami klaksonu samochodu jadącego tuż za mną ja stałem w miejscu. „Moje kondolencje!” – przypomniałem sobie słowa bankiera. Wskazówka była aż nazbyt ewidentna. Zdanie to musiało dotyczyć nie mojej matki, ale ojca.

8

Cmentarz rozciągał się na ponad stu hektarach i bardziej przypominał angielski park niż miejsce, w którym chowa się zmarłych. Zaparkowałem ambulans na parkingu i poszedłem jedną ze ścieżek, które wiły się po falującym terenie, prowadząc między marmurowe fontanny, kapliczki i wdzięczne rzeźbione postacie.

Nie byłem tu od czasu pogrzebu mojej matki, to jest od szarego, deszczowego letniego dnia w 1984 roku. Wszystko wyglądało trochę inaczej. Ale wkrótce, kiedy dotarłem na drugą stronę zbocza niewielkiego wzgórza, rozpoznałem jezioro i przy nim skalisty szczyt, nadający pejzażowi wygląd jak z niesamowitego obrazu.

Poszedłem dalej leśną dróżką, obrzeżoną kamiennym murkiem. Była szósta po południu. Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc okolicę pięknym światłem. Pomędzy bujną roślinnością kilku spacerowiczów, którzy przyszli głównie, aby odwiedzić swoich zmarłych, przedłużało wizytę na cmentarzu, żeby skorzystać z pięknej pogody i lekkiego wiatru ginącego w zaroślach i rabatach.

W cieniu stuletnich drzew przebiegałem zwirowanymi alejkami między rzędami grobów. Mnie też powoli ogarniało spacerowe rozmarzenie, dopóki nie zauważyłem płyty nagrobnej mego ojca.

FRANK COSTELLO

2 STYCZNIA 1942

6 WRZEŚNIA 1993

*Byłem tym, kim ty jesteś,
ty staniesz się tym, czym ja jestem*

Ojciec zmarł w zeszłym tygodniu. Pogrzeb więc musiał odbyć się niedawno: trzy lub cztery dni temu.

Zrobiło mi się żal, nie jego, ale tych wszystkich momentów, których nie dzieliliśmy z sobą. Staralem się wydobyć z pamięci jakąś szczęśliwą chwilę, ale nic mi nie przychodziło na myśl. Ogarnął mnie jeszcze większy smutek. Do końca miałem nadzieję wzbudzić w nim miłość do mnie. Pamiętałem, jakby to było wczoraj, kiedy tamtej niezapomnianej soboty zjawił się u mnie i odstawił swój stary numer, obiecując wspólną wycieczkę na ryby, razem spędzone popołudnie... Wziął mnie na bajer synowskich uczuć, żeby tylko zaciągnąć mnie do latarni. A ja byłem na tyle głupi, że dałem się nabrać.

Ostatni raz rozmawialiśmy z sobą przez telefon rok temu i jego ostatnie słowa do mnie brzmiały: „Wkurzasz mnie, Arthurze!”.

Wkurzasz mnie, Arthurze!

To nieźle streszczało nasze wzajemne stosunki.

Wytarłem łzę z policzka. Nie mogłem się powstrzymać od myśli, czy kiedykolwiek ja będę miał dziecko. Biorąc pod uwagę moją niepewną sytuację życiową, wydawało się to niemożliwe, ale mimo wszystko starałem się wyobrazić siebie z dzieciakiem, z którym gram w baseball lub po którego idę do szkoły. To też nie był zbyt wyraźny obraz. Nic dziwnego, byłem pełen czarnych myśli i pewnie nie umiałbym wykrzesać z siebie odpowiedniej dozy miłości.

Podszedłem do marmurowej płyty, uśmiechając się mimo wszystko przy lekturze epitafium.

Nie, Frank, ja mam nadzieję, że nigdy nie stanę się taki jak ty. Popatrz lepiej, w jaki kanał mnie wpuściłeś...

Wydało mi się, że przez wiatr słyszę jego śmiech i zrozumiwały głos: „Mówiłem ci, Arthurze, żebyś nikomu nie ufał, nawet własnemu ojcu!”.

Najgorsze jest to, że miał rację. Drań mnie uprzedzał, ale wydawało mi się, że jestem od niego mądrzejszy, i otworzyłem te cholerne drzwi! Ogarnęła mnie taka złość, że zacząłem do niego przemawiać:

– Zawsze dawałem sobie radę bez ciebie, Frank. Teraz też sobie poradzę! – Rozłożyłem ramiona i wystawiłem twarz na słońce, rzucając mu ostatnie wyzwanie: – Widzisz, ja żyję, a ty umarłeś. Teraz już nie możesz mi zaszkodzić.

Ale jak zwykle, on miał ostatnie słowo:

„Czy naprawdę jesteś tego pewien, Arthurze?”

9

23.58

Była prawie północ, kiedy dotarłem do Nowego Jorku. Zatrzymałem się w drodze, żeby kupić ubranie w moim rozmiarze w sklepie Gap na Boylston Street: spodnie khaki, biała koszula i płócienna bluza. To nie była kokieteria – musiałem wyglądać odpowiednio, żeby mój plan się powiódł.

Zaparkowałem ambulans w East Village między Trzecią Ulicą a Drugą Aleją i poszedłem pieszo do St. Marks Place.

O tej godzinie nie było to najspokojniejsze miejsce na Manhattanie. W powietrzu wisiała niezdrowa energia. Na chodnikach walały się odpadki, a obskurne kamienice przejęli squattersi. Na schodach zrujnowanych domów z brązowej cegły przesiadywali przymuleni narkomani.

Pod drzewami na ulicach leżały zużyte strzykawki i stare prezerwatywy. Ściany sklepów z płytami i studiów tatuażu zdobiły obsceniczne napisy. Dragi były wszechobecne: dealerzy przechadzali się ulicami, sprzedając na oczach wszystkich crack, heroinę i różne inne prochy. Starzy punkowcy, yuppies czy narkomani stojący już jedną nogą w grobie przychodzili tutaj na zakupy, żeby potem naćpać się w domu albo w okolicznych klubach. W miejscach takich jak to Nowy Jork bardziej niż zwykle był miastem, w którym wszystko mogło się zdarzyć, a zwłaszcza to najgorsze.

0.16

Na rogu St. Marks Place i Avenue A stanąłem przed klubem o nazwie Frantic, gdzie spodziewałem się natknąć na Elizabeth Ames.

Było tu niezwykle gorąco i panował tłok. Jakiś duet gitar basowych masakrował przebój Vana Morrisona. Alkohol lał się strumieniami. Na parkiecie tańczący dotykali się ramionami i przepoconymi włosami. Ale prawdziwy spektakl miał miejsce za barem: kelnerki w dżinsowych mikroszortach, w T-shirtach z głębokimi dekolami i w kowbojskich kapeluszach na głowach wykonywały show, żonglując butelkami i zaczepiając klientów, namawiały ich do kupowania drinków. Niektóre nawet wskakiwały na bar i wykonywały sugestywne tańce, tak więc było jasne, że do pracy tutaj bardziej wskazany był ładny biust niż umiejętność przygotowania margarity czy daiquiri.

Rozpychałem się łokciami, żeby dotrzeć do baru, i zamówiłem jacka danielsa u pulchnej rudej dziewczyny, której kolorowe tatuaże pokrywały cały dekolt. Była to najstarsza i najgrubsza z barmanek. Okrążyły koczek na czubku głowy przypominał mi obraz Toulouse-Lautreca po tytulem *La Goulue przychodząca do Moulin Rouge*.

– Dobry wieczór, czy Elizabeth jest tutaj dziś wieczorem?

– Na drugim końcu baru, kochany. Ale coś mi za dobrze wyglądasz, żeby mieć szanse u Lisy...

– Dzięki za radę.

Zmrużyłem oczy i zauważyłem tę, której szukałem.

– Lisa!

Zamachałem do niej, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Byłem prawie pewien, że mnie nie pozna. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Nasze krótkie spotkanie tego ranka nie trwało dłużej niż kilka sekund. Elizabeth od razu wymierzyła mi cios, a ja z miejsca zasłoniłem twarz w geście samoobrony.

Młoda kobieta zmarszczyła czoło i ruszyła w moim kierunku. Może jednak pamiętała... Zaniepokojony zaatakowałem pierwszy.

– Dobry wieczór, czy to pani chodzi do Juilliard School?

Fakt, że wymieniałem nazwę szkoły, jakby ją uspokoił. Nagle nie była tylko zwykłą kelnerką w podejrzanym barze zatrudnioną dzięki odpowiednim atrybutom fizycznym, ale studentką prestiżowej szkoły teatralnej.

– Znamy się?

Pokręciłem głową i przywołałem na twarz mój najbardziej ujmujący uśmiech.

– Nie, ale ktoś mi poradził zgłosić się do pani.

– Kto? David?

Przypomniałem sobie, że tak nazywał się mężczyzna, do którego pisała listy miłosne. Po krótkim wahaniu zdecydowałem się zaryzykować.

– Tak. David mówił, że jest pani wspaniałą aktorką. I dobrze się składa, bo mam dla pani rolę.

Wzruszyła ramionami.

– Co za bzdury!

Wiedziałem, że ciekawość walczy w niej z nieufnością. Pewnie wiele razy już się nabrała...

– Naprawdę, nie żartuję!

– Mam dużo klientów, muszę wracać do pracy.

Nie pozwoliłem jej odejść.

– Naprawdę mam dla pani rolę.

Wzniosła oczy ku niebu.

– Jaka?

– No, trochę specjalną... – przyznałem.

– Nie ma mowy, nie kręcę pornosów! – Westchnęła.

– Absolutnie nie o to chodzi! To rola kompletnie ubrana! Chodzi o pielęgniarkę.

– O pielęgniarkę, która sypia z pacjentami?

Muzyka była bardzo głośna. Musieliśmy krzyczeć, żeby w ogóle się usłyszeć.

– Nie!

– A więc z lekarzem?

– Nie, chodzi o pielęgniarkę, która z nikim nie sypia. Słowo daję, ma pani obsesję!

– To wy macie obsesję.

– Co za „my”?

– Wy, mężczyźni.

Potrząsnąłem głową, udając oburzenie. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Przykro mi, ale miałam ciężki dzień. Jakiś wariat włamał się dziś rano do mojego mieszkania i napadł na mnie, kiedy brałam prysznic. No nic, niech pan się dobrze bawi... – dodała, odchodząc.

Chciałem ją zatrzymać, ale już, zaczepiana przez klientów, pofrunęła na drugą stronę baru, by podać nową kolejkę tequili elegancikom z Wall Street, którzy przyszli na East Side „pobratać się z ludem”.

La Goulue podeszła do mnie i zaproponowała mi kolejną whisky.

– Mówiłam ci, kolego, Lisa to nie dziewczyna dla ciebie.

– Ja jej nie podrywam.

– Komu to mówisz! Lisę każdy podrywa.

Wyjąłem papierosa. Podała mi zapaloną zapalną.

– Dzięki. Kto to David? Jej facet?

– Taaa, on jest malaaarzem... – Mina barmanki wyrażała coś między sceptycyzmem a niesmakiem. – W każdym razie jeśli tooo można nazwać malarstwem... Ale ona jest nim zafascynowana. A ten kretyn jest zafascynowany heroiną.

Nagle przypomniałem sobie debetowe wyciągi bankowe.

– Naciąga ją, tak?

– A ty skąd to wiesz?

Zamiast odpowiedzieć, wydmuchałem chmurę dymu. Potem starałem się znów podejść do Lisy, ale nie udało mi się zwrócić jej uwagi, gdyż tłum tłoczący się przy kontuarze był coraz gęstszy.

La Goulue tymczasem napełniała inne kieliszki. Zanim odeszła, rzuciła w moim kierunku:

– Lisa ma jeszcze godzinę do końca zmiany. Jeśli chcesz z nią spokojnie pogadać, zaczekaj na nią w Damato.

– Damato?

– To ta pizzeria, która jest otwarta całą noc, na rogu Dziesiątej i Stuyvesant Street.

– Ale czy ona na pewno tam przyjdzie?

Machnęła ręką, pokazując mi wyjście.

– Idź tam i czekaj na nią, mówię ci.

1.36

*Od 1931 roku świat się zmienił,
ale nie nasze pizze*

Dewiza lokalu Damato's Pizza, oprawiona w ramkę i powieszona nad kasą, podkreślała tradycję i autentyczność lokalu, jednego z ostatnich w mieście, które używały tradycyjnego pieca ogrzewanego drewnem.

Była to restauracyjka urządzona staroświecko – stoły nakryte obrusami w czerwono-białą kratkę, koślawe krzesła, lampy ze spłowiałymi abażurami – ale bardzo przytulna. Zapach pomidorów i bazylii zaostrzał apetyt, gdy tylko przekroczyło się próg lokalu. Od godziny już siedziałem przy stoliku i miałem czas pożreć pizzę na chrupiącym cieście oraz wypić kilka kieliszków valpolicelli. Ponieważ pizzeria była mała, szefowa – miła jak drzwi więzienia – naciskała, żeby klienci nie zasiadywali się zbyt długo, jeśli już zjedli. Żeby zachować swoje miejsce, musiałem jeszcze zamówić piwo. Właśnie mi je przyniesiono, kiedy Lisa weszła do środka. Najwyraźniej była tu stałą klientką. Przywitała się z szefową i z dwoma młodymi kelnerami po imieniu.

– Co pan tu robi? – rzuciła na mój widok. – Śledzi mnie pan?

– Jeśli mogę tak to nazwać, to raczej pani mnie śledzi, jestem tu już od ponad godziny – starałem się rozluźnić atmosferę.

– Mądrała, co? – rzuciła, siadając naprzeciw mnie.

Przebrała się i teraz miała na sobie siatkowe rajstopy i dzinsowe szorty, krótki żakiet wyszywany maleńkimi czaszkami i nabijane ćwiekami botki. Dłonie zakryła mitenkami z białej koronki. Wokół nadgarstków nosiła mnóstwo cienkich bransoletek

z gumy, a na szyi zawiesiła różaniec. W uszach miała kolczyki w formie krzyży. Ładny klon Madonny z czasów stylistki Maripol.

Zamówiła piwo korzenne i cienkie plastry ciasta na pizzę posypane ziołami. Pozwoliłem jej zacząć rozmowę.

– Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

– Arthur Costello. Jestem lekarzem pogotowia ratunkowego w Bostonie.

– Ta rola to jakiś wygłup, prawda?

– Wprost przeciwnie, to poważna propozycja, ale musi mi pani odpowiedzieć od razu.

– To film czy sztuka teatralna?

– Sztuka. Zostanie wystawiona tylko raz.

– A kto ją napisał?

– Nikt. Wymaga improwizacji, musi pani przystosować się do sytuacji.

– Kpi pan sobie ze mnie?

– Wyobrażam sobie, że w pani szkole teatralnej uczą improwizacji.

Potrząsnęła głową.

– Ja lubię piękne teksty, dobrze napisane dialogi, teksty autorskie... Kiedy aktor improwizuje, to często wypada banalnie.

– Często, ale nie zawsze. Niektóre najpiękniejsze sceny filmowe to improwizacje: monolog Roberta de Niro przed lustrem z *Taksówkarza*, rozdierająca scena z lodami w filmie *Sprawa Kramerów...* Wie pani, wtedy gdy Dustin Hoffman przestrzega synka: *Billy, jeśli weźmiesz tę łyżeczkę z lodami do buzi...*

– ...*będziesz miał bardzo wielkie problemy*. Znam ten film na pamięć. Ta scena to wcale nie improwizacja – dokończyła replikę, hipnotyzując mnie intensywnym spojrzeniem swoich niezwykłych turkusowych oczu.

– Jestem pewny, że tak – odparłem w końcu.

– Założmy... – odrzekła, wzruszając ramionami. – A w jakim to ma być teatrze?

– W teatrze życia. *Cały świat to teatr, a...*

– ...*wszyscy mężczyźni i kobiety są tylko aktorami*, wiem. Ja też przygotowałam się do spotkania. Dobrze, niech pan przestanie kręcić. O co chodzi?

– Ma pani rację, będę szczery. Chcę porwać mego dziadka ze szpitala psychiatrycznego. – Wzniosła oczy do nieba, ale nie przerwała mi. – Jeśli chce pani poznać plan, to jest taki: jutro rano dokładnie o siódmej wejdzie pani ze mną do Blackwell Hospital ubrana jak pielęgniarka. Mój dziadek uda, że dostał zawału. Położymy go na nosze, wsadzimy do ambulansu i jak najprędzej odjedziemy stamtąd. Pół godziny później będzie pani u siebie w domu. Weźmie pani pieniądze i nigdy już o mnie nie usłyszy.

Przez kilka sekund myślała, potem napiła się korzennego piwa i wybuchła śmiechem.

– Musi pan zażywać coś szczególnego!

Popatrzyłem na nią z powagą.

– Mówię najzupełniej poważnie i nigdy niczego nie brałem.

Przestała się śmiać. Jej jasne włosy trochę się splątały, odepchnęła je z czoła i ściągnęła zmarszczonym paskiem ciemnego materiału na gumce.

– Czy ten dziadek istnieje naprawdę?

Pokiwałem głową.

– Tak, nazywa się Sullivan Costello.

– A dlaczego chce go pan porwać ze szpitala?

– Z jedyne go powodu.

– Bo nie jest wariatem? – zgadła.

– Zrozumiała pani.

– Ale dlaczego padło na mnie? Przecież się nie znamy. Nie może pan poprosić swoich przyjaciół?

– Potrzebuję zawodowca. A poza tym nie mam przyjaciół, w każdym razie nie takich.

– Nie takich, do których można zadzwonić o trzeciej rano i poprosić, żeby pomogli wynieść zwłoki? – Tym razem ja się uśmiechnąłem. – Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc – powiedziała, gryząc kawałek pizzy.

Wręczyłem jej kopertę, w której było osiem tysięcy dolarów.

– To jest wszystko, co posiadam! – oświadczyłem, świadom, że rzucam na stół swoją ostatnią kartę.

Otworzyła kopertę z brązowego papieru i długo wpatrywała się w stos pięćdziesięciodolarowych banknotów. Oczy jej zabłysły, ale nie z chciwości. Wiedziałem, że w tych pieniądzach widzi butlę tlenu: będzie mogła zwrócić wszystkie zaległe komorne i pokryć debet na koncie w banku. Nie będzie musiała pracować co noc jako kelnerka w spelunkach takich jak Frantic, gdzie zgraja pijanych facetów gapiła się na nią jak na tancerkę go-go. Więcej czasu będzie mogła spędzić w domu na czytaniu sztuk teatralnych Sama Sheparda czy powieści Johna Irvinga zwinięta na kanapie w towarzystwie kota Remingtona i z filizanką earl greya w zasięgu ręki.

Długo się we mnie wpatrywała błyszczącymi ze zmęczenia oczami, zastanawiając się, kim tak naprawdę jestem, czy jakiś diabeł nie kryje się za tą sympatyczną twarzą. Miała dwadzieścia lat, była młoda, trochę przemądrzała, trochę pozerka, trochę zagubiona. Przez sekundę zobaczyłem ją jako Elizabeth starszą, trochę bardziej pewną siebie, bliższą mi, lecz wciąż tę samą osobę, która miała jakieś problemy... Po chwili wizja ta rozplynęła się i znikła.

– Wszystko to jest o wiele za ryzykowne jak dla mnie – odpowiedziała w końcu, przesuwając kopertę, którą z powrotem zamknęła, w moim kierunku.

– Nie proponuję pani napadu na bank!

– Mówię panu, że to zbyt niebezpieczne.

– Nie bardziej niebezpieczne niż dzielenie życia z narkomanem!

Ta odpowiedź – brutalna, nie w porę – zastrzeliła ją. Przebiła mnie wzrokiem.

– Kim pan jest, żeby wydawać sądy o innych?!

– To nie bardzo rozsądne z pani strony, żeby się zadłużać na działki hery dla pani partnera.

– Pan nie może tego zrozumieć. David potrzebuje tego, żeby malować.

– Akurat! Jestem lekarzem i jako profesjonalista oświadczam, że najlepsza rzecz dla tego pani artysty to odwyk i leczenie. Poważnie, dlaczego pani tak na nim zależy?

– Bo go kocham – odpowiedziała z całą pogardą dla mnie, na jaką było ją stać. – Była na skraju łez. Podbródek zaczął jej drżeć z wściekłości, nad którą wkrótce już nie

potrafiła zapanować. – I mam cię w dupie, ty skurwysynu! – wrzasnęła, oblewając mnie resztką swojego korzennego piwa.

Wstała, przewracając krzesło, i wyszła.

No cóż, nie można wygrać za każdym razem.

2.21

Kiedy wróciłem do karetki, obydwa boczne lusterka były stłuczone. Najwyraźniej jakiś narkoman starał się włamać do samochodu – chcąc zwędzić instrumenty medyczne albo jeszcze lepiej lekarstwa – ale nie był pewnie zbyt trzeźwy, bo furgonetka oparła się jego atakom. Zawiedziony napastnik zemścił się najwyraźniej na lusterkach. Jedna z rozrywek tej dzielnicy.

Za kierownicą mojego bolidu wyjechałem z East Village, kierując się na Gramercy, Murray Hill i Midtown. Żeby dostać się do Roosevelt Island, trzeba było zrobić długi objazd przez Queens i wrócić do zjazdu prowadzącego na Roosevelt Island Bridge, jedynej drogi dla samochodów. Znalazłem się u stóp mostu o trzeciej rano.

Przejechałem przez most i zaparkowałem w pobliżu szpitala na parkingu otoczonym kratą, pod gołym niebem, naprzeciwko panoramy wieżowców manhattańskich. W radiu leciały stare standardy jazzowe. Opuściłem szybę. Kołysany tęsknymi dźwiękami saksofonu Stana Getza zapaliłem papierosa, obserwując linię drapaczy chmur na drugim brzegu. Byliśmy jeszcze na Manhattanie, ale już jakby nie... Wibracje i hałasy miasta, jego światła, były o zaledwie kilkadziesiąt metrów ode mnie, ale wydawały się nieosiągalne.

Tak daleko stąd, tak blisko...

Ten widok był jakby niepokojącym echem sytuacji, w jakiej się znalazłem: byłem w swoim życiu, a jednocześnie poza nim.

Rzuciłem niedopałek na asfalt, oparłem się o podglówek i zamknąłem oczy, wyrывая nocy kilka godzin niespokojnego snu.

10

Puk, puk, puk!

Drgnąłem. Na twarzy poczułem pierwsze promienie słońca. Potem ujrzałem twarz Elizabeth Ames, która stuknęła w szybę.

W panice spojrzałem na zegarek.

Cholera! Za pięć siódma!

Otworzyłem jej drzwiczki.

– Co panią skłoniło, żeby jednak przyjść?

– Forsa, a co innego? – odpowiedziała, kiedy ruszałem. – À propos, zapłatę biorę z góry.

Pogrzebałem w wewnętrznej kieszeni i podałem jej kopertę, przeklinając w myśli siebie za to, że zasnąłem.

– Przykro mi, ale nie będzie czasu na próbę! – powiedziałem, włączając wszystkie sygnały świetlne i dźwiękowe, w które wyposażony był ambulans.

– Dla zwolennika improwizacji takiego jak pan to z pewnością żaden problem. Przewidział pan kostiumy?

– Wszystko, co trzeba, leży z tyłu. Może mi pani też podać fartuch i stetoskop?

Mimo wybojów przyspieszyłem, mając nadzieję, że wszystko odbywa się tak, jak zostało przewidziane na nieszczęsnym siódmym piętrze w Blackwell Hospital. Jeśli Sullivan trzymał się planu, powinien teraz udawać zawał. Wyobraziłem sobie pielęgniarkę pchającą drzwi pokoju dziadka podczas pierwszego obchodu i widzącą, jak starszy pan łapie się za lewą stronę piersi, czując gwałtowny ból. Jakbym go widział kilka minut wcześniej spryskującego się wodą, że niby jest taki spocony, i potem robiącego kilkadziesiąt pompek, żeby podwyższyć temperaturę ciała. Jeśli Sullivan był jeszcze sprawny umysłowo, plan był całkowicie wykonalny. Widząc dziadka słabnącego, pielęgniarka na pewno zadzwoniła od razu na pogotowie.

– Jedziemy! – rzuciłem, wjeżdżając na parking z wyjącą syreną.

□

Zaparkowałem karetkę przed wejściem do szpitala i rozłożyłem nosze. Wraz z „asystentką” pędem wjechaliśmy do holu.

– Pogotowie do pacjenta z siódmego piętra! – krzyknąłem, kierując się do wind.

Jedna właśnie zjechała na parter. Wsiadliśmy do niej i Elizabeth nacisnęła guzik. Kabina ruszyła w górę, a ja sprawdzałem swoje wyposażenie: walizeczka z niezbędnymi przyrządami, defibrylator, zestaw do monitorowania czynności życiowych, po czym wziąłem głęboki oddech i rzuciłem, żeby rozluźnić atmosferę:

– Świetnie pani wygląda w stroju pielęgniarki... bardzo... sexy.

Niestety, w odpowiedzi zobaczyłem jedynie jej palec wskazujący wyprostowany w moim kierunku.

Drzwi windy rozsunęły się, skrzypiąc metalicznie.

– W końcu korytarza!

Wtaczając nosze do pokoju numer 712, zobaczyłem Sullivana na łóżku i pielęgniarkę u jego wezglowia. Miał twarz spoconą i spiętą, prawą rękę położył na piersi.

– Już jestem! – powiedziałem do ubranej na białą kobiety, rozkładając instrumenty medyczne na stoliku na kółkach.

– Ale... Kim pan jest? – wyjąkała.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, usłyszałem głos Elizabeth:

– Doktor Hayes, doktor Addison.

Zacząłem się krzątać przy „chorym”: szybko go osłuchałem, zmierzyłem mu puls i ciśnienie, przyłożyłem do ciała elektrody przenośnego EKG.

Elizabeth popatrzyła na wskaźnik i rozkazała zdecydowanym tonem:

– Nie widzi pan, że to zawał? Natychmiast trzeba go przewieźć do Mount Sinai!

Położyliśmy Sullivana na noszach. Kiedy przejeżdżaliśmy korytarzem, założyłem mu maskę tlenową. Pielęgniarka weszła wraz z nami do windy, co dało okazję Elizabeth

do popisania się kolejną kwestią:

– Addison, niech pan włączy kroplówkę z wlewem aspiryny! – krzyknęła w moim kierunku.

Drzwi windy otworzyły się. Z szybkością światła przemierzyliśmy pusty hol aż do ambulansu.

Najtrudniejsze za nami!

Załadowałem Sullivana do furgonetki przez tylne drzwi. Widziałem, że chichocze pod maską. Nawet podniósł kciuk w moim kierunku i jakbym słyszał jego głos: „Doskonale, chłopcze!”.

Uśmiechnąłem się, odwróciłem i...

11

Pierwszy cios pałąką, zadany z całej siły przez strażnika, trafił mnie w brzuch i pozbawił oddechu. Drugi, wymierzony w piersi, rzucił mnie na ziemię.

Tu, z twarzą w błocie, widziałem zamazany obraz ambulansu, który falował. Znak bostońskiego Massachusetts General Hospital musiał zwrócić uwagę strażnika, który mnie zaatakował. Usłyszałem za sobą podniesiony głos Dwóch Twarzy, tego poparzonego pielęgniarza:

– Uważaj, Greg, on nie jest sam!

Kiedy podbiegał, żeby zatrzymać ambulans, ten ruszył z kopyta. Przez pięćdziesiąt metrów dwóch osiłków starało się go zatrzymać, ale nie mieli żadnych szans wobec silnika V8.

Zawiedzeni wrócili do mnie i odgadłem, że wyładują na mnie swoją wściekłość.

– Od samego początku mi się nie podobałeś! – stwierdził Dwie Twarze i wymierzył mi kopniaka w bok.

– Spokojnie, wsadzimy go do izolatki i zaczekamy na policję.

Ściągnęli mój fartuch lekarski i wciągnęli mnie za koszulę do wnętrza szpitala. Znów byłem w windzie, ale tym razem pod dobrą eskortą, no i zjeżdżaliśmy na dół. W końcu korytarza spostrzegłem ową „izolatkę”: maleńkie pomieszczenie z wyciszonymi ścianami. Dwaj mężczyźni wrzucili mnie tam jak worek kartofli.

Drzwi zamknęły się, a ja zostałem sam, więzien w tym sarkofagu, próbując nie poddać się atakowi klaustrofobii.

Co teraz?

Pocieszałem się myślą, że Sullivan jest wolny. Miałem rację, że się uparłem przy moim planie. Przeprowadziłem go do końca i wszystko się udało.

Z jednym małym wyjątkiem.

Po kwadransie mniej więcej usłyszałem strzępki rozmów ludzi, którzy najwyraźniej szli w moim kierunku. Po chwili zabrzmiał donośny głos strażnika.

– Tu jest zamknięty, panie poruczniku.

– Okay, Greg, zabieram go.

Kiedy drzwi się otwierały, w pomieszczeniu rozszedł się ciężki i słodki zapach kwiatu pomarańczy i zrobiło mi się niedobrze. W tym samym czasie dostałem palpacji

i silny ból zaczął świdrować mi czaszkę. Zrobiło mi się duszno; piekły mnie oczy i znów doznałem tego znajomego uczucia, jakby podłoga uciekała mi spod stóp, ja zaś spadałem w przepaść.

Usłyszałem, jak otwierają się skrzypiące drzwi, ale mnie już tam nie było.

I ten ostatni okrzyk Dwóch Twarzy:

– O kurwa! Gdzie się podział ten chuj?!

1994

Elizabeth

Miłość to przygoda bez mapy i kompasu, a zgubić człowieka może tylko ostrożność.

Romain Gary

0

Dobiegający gdzieś z oddali odgłos grającego radia czy telewizora. Zaslona z grubej mgły. Gęste, ciemnoszare mleko. Nieprzyjemne, ale teraz dobrze znane mi uczucie ciężkich napuchniętych powiek, trudności w oddychaniu i tego przygnębiającego zmęczenia. Wrażenie, że umieram.

Otwieram oczy. Leżę na drewnianej podłodze. Deski parkietu jeszcze pachną pastą do podłogi. Jest ciemno i gorąco, tak jakby kaloryfery przez wiele godzin działały na cały regulator. Ze strachem wstaję. W stawach mnie łamie i mam wrażenie, że kości nie utrzymają mojego ciężaru. Przecieram oczy i rozglądam się.

Znajduję się... znajduję się w mieszkaniu, w którym panuje półmrok. To loft, który przypomina pracownię malarską. Stoją tu sztalugi, widzę jakieś abstrakcyjne płótna, a na niskim stole z prefabrykatów spraye i słoiki z farbą.

1

Na półce cyfrowy budzik wskazywał trzecią rano. Podszedłem do przeszklonej ściany. Biorąc pod uwagę wysokość, mieszkanie musiało się znajdować na trzecim lub czwartym piętrze, nad dobrze oświetloną ulicą. Architektonicznie w dzielnicy przeważały stare budynki z cegły, pewnie jeszcze sprzed drugiej wojny światowej, i eleganckie kamienice ze zdobieniami z żeliwa, zewnętrznymi schodami i ornamentalnymi arkadami. Mrużąc oczy, mogłem dojrzeć wychodzące na ulicę witryny galerii sztuki. Jedna z nich miała świecący neon: 18 Mercer Street. Byłem więc w SoHo.

Z salonu słychać było wiadomości telewizyjne. Stacja CNN wyrzucała z siebie nieprzerwany strumień informacji. W rogu kanapy leżał pilot. Omiotłem wzrokiem pokój i przekonawszy się, że jest pusty, chwyciłem pilota, pogłośniłem dźwięk telewizora i podszedłem do ekranu, w poprzek którego biegł czerwony pas z napisem:

„Z ostatniej chwili”. Zobaczyłem Nelsona Mandelę, dopiero co wybranego na prezydenta RPA, w trakcie składania przysięgi przed ogromnym tłumem zebrany w Pretorii.

Nadszedł czas na opatrzenie ran. Nadeszła chwila zasypiania przepaści, która nas dzieli. Nadchodzi czas budowy!

W dole ekranu widniała data: 10 maja 1994 roku. Moje ostatnie wspomnienie pochodziło z września 1993, tym razem więc moja podróż w przestrzeni trwała ledwie osiem miesięcy.

Kiedy wyłączyłem telewizor, uświadomiłem sobie, że do moich uszu dochodzi jakiś ciągły dźwięk i odwróciłem głowę w tym kierunku. Nadstawiłem ucha... Było to coś jakby regularny plusk i szum płynącej wody. Poszedłem ciemnym korytarzem, z którego wchodziło się do sypialni i do łazienki. Na pierwszych drzwiach zobaczyłem staromodną emaliowaną metalową tabliczkę z napisem „Bath”. Pchnąłem uchylone drzwi i...

2

Horror!

Ciepłe drżące światło zalewało całe pomieszczenie – było to światło dwudziestu świeczek różnych rozmiarów poustawianych na prawie całej przestrzeni łazienki. Na czarno-białych kafelkach podłogi ślady kropel ciemnej krwi prowadziły do staromodnej wanny na miedzianych nóżkach w formie lwich łap.

Na drżących nogach podszedłem do przelewającej się wanny. Nagie ciało młodej kobiety leżało w różowej wodzie. Była nieruchoma, oczy miała zamknięte, głowę opartą o brzeg żeliwnej wanny, obydwie nadgarstki podcięte. Woda sięgała jej do nosa, twarz miała zasłoniętą mokrymi włosami. Właściwie się topiła!

Cholera jasna!

Zebrawszy swe nikłe siły, wyciągnąłem ją z wody, ułożyłem na podłodze i wytarłem ręcznikami.

Sprawdziłem puls, dotykając jej tętnicy szyjnej. Poczulem bardzo słaby puls nitkowaty, co oznaczało utratę dużej ilości krwi.

Uspokój się, Arthurze! – rozkazałem sobie w myśli.

Serce waliło mi w piersi. Jedno serce na dwa ciała. Klęczałem koło niej, starając się ocenić, na ile była przytomna, i wykonując odruchowo czynności ratownicze, które stosowałem podczas mojej codziennej pracy w pogotowiu. Mówiłem do niej, ale nie otrzymałem żadnej zrozumiałej odpowiedzi. Wyglądało na to, że reaguje na ból, ale mimo że robiłem, co mogłem, nie otworzyła oczu. Na skali Glasgow oceniałem jej stan na osiem do dziewięciu, co oznaczało dość znaczne obniżenie poziomu świadomości.

Zastanów się!

Rozejrzałem się. Na podłodze zobaczyłem butelki jima beama i four roses. Obok kosza na śmieci leżały dwa plastikowe opakowania lekarstw, podniosłem je. Zmrużyłem oczy, żeby odcyfrować treść etykietek: lunesta – środek nasenny i lorazepam – benzodiazepina, lek przeciwlękowy.

O Boże!

Opakowania były puste, co oznaczało, że pewnie połknęła wszystko. Nie udawała. Kiedy takie środki zmieszało się z dużą ilością burbona, efekty mogły się okazać tragiczne.

Uniosłem oba ramiona młodej kobiety i oparłem je o ścianę, żeby ograniczyć wpływ krwi. Oddychała bardzo powoli, ciśnienie miała niskie, źrenice rozszerzone, koniuszki palców u rąk i stóp sine.

Kilka sekund poświęciłem na ocenę sytuacji. Krwotok, środki nasenne, przeciwlękowe, alkohol – niszczycielski koktajl, który doprowadził ją na skraj śmierci. Była prawie niewydolna oddechowo i groziło jej zatrzymanie akcji serca.

Wstałem i pobiegłem do salonu w poszukiwaniu telefonu. Wykręciłem 911, numer pogotowia ratunkowego. W szafce w kuchni znalazłem dwie czyste ściereczki, a w szafie dwa szale i użyłem tego wszystkiego, żeby zrobić opatrunek uciskowy na nadgarstkach młodej kobiety.

Dopiero po obandażowaniu zranionych przegubów dłoni odsunąłem włosy z jej twarzy i po raz pierwszy popatrzyłem na nią uważniej.

To była Elizabeth Ames.

3

Sanitariusze kręcili się koło Lisy, działając zgodnie z procedurą medyczną obowiązującą przy ratowaniu niedoszłych samobójców tego rodzaju: założyli wenflon w zgięciach łokci, zaintubowali ją, włączyli monitoring kardiologiczny, zrobili EKG, wstrzyknęli dawkę flumazenilu.

Znałem każdy gest wykonywany przez ratowników, odgadywałem wszystkie ich decyzje. Bardzo chciałem pomóc, ale w tej sytuacji nie miałem do tego oficjalnie żadnego prawa. Poza tym oni znali swoją robotę tak samo dobrze jak ja. W sypialni znalazłem sukienkę, pantofle i małą kopertówkę ze sztucznej skóry, w której znajdowały się dokumenty Elizabeth, klucze do mieszkania, dwa banknoty dwudziestodolarowe i karta kredytowa. Wyjąłem klucze i pieniądze i wręczyłem torebkę sanitariuszowi, żeby szpital dostał informację o jej tożsamości.

– Musimy się pospieszyć! – krzyknął sanitariusz, kiedy wręczałem mu to wszystko. – Ona ma bardzo silny krwotok.

Wynieśli Lisę na noszach, a ja zszedłem z nimi na ulicę.

– Dokąd ją zabieracie?

– Do Bellevue Hospital – odpowiedział sanitariusz, zatrzasnąc drzwi karetki.

Patrzyłem na odjeżdżający samochód w towarzystwie sąsiadki z mieszkania obok, staruszki, która wyszła na klatkę schodową, kiedy nastąpiło to całe zamieszanie.

– Do kogo należy to mieszkanie? – zapytałem, mimo że domyślałem się tego.

– Wynajął je malarz David Fawlkes, ale kilka dni temu zmarł z przedawkowania. Biedna dziewczyna...

Grzebiąc w kieszeniach, znalazłem ostatniego mentolowego papierosa i zapalniczkę z napisem „I love New York”.

– Dobrze pani zna Lisę? – spytałem starszą panią, zapalając papierosa.

– Często mijaliśmy się na klatce schodowej. Trzeba przyznać, że ona wciąż u niego przesiadywała. Była taka dobra, zawsze powiedziała mi coś miłego... Jeśli chce pan znać moje zdanie, ten typ nie zasługiwał, żeby dla niego umierać. – Staruszka odeszła, nie przestając mówić sama do siebie. – Biedna dziewczyna, jakie to straszne, umierać w jej wieku!

Złapałem pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Kiedy samochód zatrzymywał się, wciąż patrzyłem na staruszkę, która owijała się szczelniej szlafrokiem.

– Ja dałabym nie wiem co za kilka dodatkowych lat...

4

5.00

Gdy tylko pchnąłem drzwi mieszkania Lisy, Remington, pręgowany kot, przywitał mnie jak kogoś bliskiego. Ledwo postawiłem nogę w korytarzu, już się zaczął o mnie ocierać, miauczając desperacko.

– Co u ciebie? – Podrapałem go po łebku.

W szafce kuchennej znalazłem torebkę z chrupkami. Nasypałem mu pełną miseczkę i nalałem do spodka świeżej wody. Miałem wielką ochotę na kawę, ale metalowe pudełko okazało się puste, a mleko w lodówce było przeterminowane.

Na barku leżały numery „USA Today” z poprzednich dni. Miałem co innego do roboty, ale nie mogłem się oprzeć ciekawości. Ostatnie tygodnie zostały naznaczone śmiercią: 5 kwietnia samobójstwo Kurta Cobaina, 1 maja śmiertelny wypadek Ayrtona Senny. Na stoliku leżał numer „Newsweeka”, na okładce którego widniało czarno-białe zdjęcie solisty Nirvany, przekreślone dużym napisem:

Samobójstwo: dlaczego ludzie pozbawiają się życia?

Odłożyłem gazetę i zacząłem szukać tego, po co tu przyszedłem, a mianowicie odpowiedzi na pytanie: Gdzie jest Sullivan? Przeszukałem oba pokoje w nadziei znalezienia jakiejś wskazówki. Co się stało osiem miesięcy temu, kiedy Elizabeth udało się uciec z moim dziadkiem? Dokąd go zawiozła? Czy pozostali w kontakcie? Wątpiłem w to mocno – Sullivan nie miał pieniędzy, nie miał gdzie spać, nie miał dokumentów i o ile się zorientowałem, nie miał przyjaciół, do których mógłby się zwrócić o pomoc. Obiektywnie miał wszelkie szanse, żeby go znów zamknięto w Blackwell. Może nawet umarł? Tę myśl odrzuciłem, woląc zapamiętać go takiego, jakiego zobaczyłem ostatnim

razem: mężczyznę o sprytnych oczach i żywym umyśle, który był w stanie wymyślić skuteczny plan wydostania się na wolność.

Przechodziłem z jednego pomieszczenia do drugiego – ani śladu po moim dziadku. Miałem już wyjść, kiedy Remington przebiegł mi pod nogami w kierunku sypialni swojej pani. Nie chcąc go rozdeptać, zaplątałem się w dywan i upadłem.

Ależ ze mnie niezdara!

Żeby wstać, oparłem się o komodę i w tym momencie zauważyłem kameę zawieszoną na srebrnym łańcuszku, który z kolei był przyczepiony do metalowego stożka starej biurowej lampy z wysuwającym ramieniem. W czasie mojej poprzedniej wizyty nie było tu tego. Wziąłem medalion do ręki, przyglądając się zafascynowany delikatnej płaskorzeźbie przedstawiającej twarz kobiety o delikatnych rysach, której perłowy profil odbijał się od niebieskiego agatowego tła. Odwróciłem wisiołek. Z drugiej strony zobaczyłem napis wykonany drobnym pismem:

Dla Yvonne.

Nie zapomnij, że mamy dwa życia.

Connor, 12 stycznia 1901

Serce zaczęło mi bić szybciej: Connor i Yvonne to były imiona moich pradziadków. Jak ten wisiołek znalazł się u Elizabeth? Odpowiedź musiała być jedna: Sullivan jej go ofiarował.

Podeksycytowany zacząłem zaglądać do wszystkich szuflad, komód i szaf. Wiedziałem już, czego szukam: torebki Elizabeth. W lofcie malarza znalazłem tylko kopertówkę, którą zabiera się na przyjęcia. Nie była to ta wielka torba, w której kobiety noszą codziennie połowę zawartości swego mieszkania. Wkrótce wypatrzyłem wielką torbę z groszkowanej skóry, w której była puderniczka, kosmetyczka, pęk kluczy, szczotka do włosów, okulary, paczuszka gumy do żucia, długopis, opakowanie aspiryny, kalendarz i notes z numerami telefonów.

Przebiegłem ten notes wzrokiem z bijącym sercem. Nie znalazłem nic pod literą „C”, natomiast pod literą „S” zobaczyłem napisane drukowanymi literami imię „Sullivan”, a przy nim numer z kierunkowym 212, oznaczającym Nowy Jork.

Długopisem zapisałem go na przedramieniu, pobiegłem do kuchni, wziąłem słuchawkę telefonu ściennego i wykręciłem serię cyfr. Usłyszałem najpierw długi sygnał, a potem dzwonki, pierwszy, drugi... dziesiąty... Nie było nawet automatycznej sekretarki, żebym mógł zostawić wiadomość.

Cholera!

W nocnej ciszy wpatrywałem się w błyszczące cyfry godziny na tarczy zegara w kuchence mikrofalowej, który wskazywał piątą trzydzieści cztery.

Nagle telefon zadzwonił. Podskoczyłem.

– Halo?

– Ale to praktyczne, ta funkcja, że telefon automatycznie oddzwania.

– Do diabła! Sullivanie, to ty?!

– Już wróciłeś, chłopcze? Co za dobra nowina, nie oczekiwałem ciebie przed latem!

– Gdzie jesteś?

– Jak to gdzie? Przecież u siebie!

5

Taksówka zawiozła mnie pod adres, który dziadek mi podał. Była to mała brukowana uliczka za Washington Square, ślepy zaułek z bramą, do której przykręcono śrubkami miedzianą tabliczkę informującą, że w MacDougal Alley mieściły się kiedyś stajnie i budynki gospodarcze mieszczańskich willi otaczających park.

Wstawał dzień. Dyskretna mgła unosiła się nad brukowaną ulicą: puchate wstążki owijały się wokół słupów starych latarni miejskich. Pchnąłem bramę i poszedłem w kierunku małego dwupiętrowego domu z fasadą koloru ochry i rdzy. Zapukałem mosiężną kołatką z głową lwa.

– Witaj, synku! – przywitał mnie Sullivan, ukazując się w uchylonych drzwiach.

Kiedy otworzył je szerzej, przyjrzałem mu się dokładniej. Zmienił się spektakularnie. Miał porządnie ostrzyżone włosy, szesane po bokach, dłuższe i harmonijnie ułożone na szczycie głowy. Brodę miał przyciętą krótko. Mimo wczesnej godziny ubrany był w golf i elegancką sztruksową marynarkę. Zatkąło mnie: apatyczny starzec z Blackwell Hospital zmienił się w dżentelmena farmera, wyglądał o dziesięć lat młodziej.

– Ależ jesteś cały pokrwawiony! – zaniepokoił się.

– Dziadku, to nie moja krew.

– Wchodź szybko, zimno jak diabli!

Niepewnie pozwoliłem mu się zaprowadzić do przytulnego, zasobnie urządzonego salonu, który, z parkietem koloru miodu, kanapą w stylu Chesterfield i stołem bilardowym, przypominał wnętrze angielskiego pubu.

W głębi, nad mahoniowym barem, na którym stały rzędem kieliszki z grubego kryształu i około dziesięciu butelek różnych rodzajów whisky, wisiało wielkie lustro. Część ściany była zabudowana biblioteką z książkami oprawnymi w skórę, a obok znajdował się kredens z drewna inkrustowanego kością słoniową, na którym stał wiekowy gramofon i leżały stare płyty trzydziestotrzyobrotowe z muzyką jazzową. Rozpoznałem moich ulubionych jazzmanów: Theloniousa Monka, Johna Coltrane'a, Milesa Davisa, Franka Morgana...

– Podejdz do kominka – zaprosił mnie Sullivan, zacierając dłonie nad paleniskiem, w którym płonął jasny i żywy ogień. – O której dziś odzyskałeś przytomność?

– O trzeciej nad ranem.

– Tym razem gdzie?

– W jakimś lofcie w SoHo.

Krótko opowiedziałem mu o próbie samobójczej Lisy i o ratowaniu jej. Wydał się bardzo przejęty tą historią. Przez chwilę jego twarz pociemniała, spojrzenie zaczęło błędzić w oddali, a potem dla pocieszenia poszukał w kieszeni paczki lucky strike'ów – tę samą markę palił przez całe życie Frank, co z pewnością było nie bez znaczenia wobec jego przedwczesnej śmierci. zaproponował mi papierosa i sam zapalił.

– Jestem pewien, że z tego wyjdzie – stwierdził, sadowiac się w klubowym skórzanym fotelu. – Chcesz wziąć prysznic?

– Zaraz, zaraz, Sullivanie... Gdzie właściwie jesteście?

– Mówiłem ci już, u mnie.

– Trudno mi w to uwierzyć. Nie za bardzo widzę, jak mogłeś kupić czy nawet wynająć mieszkanie: przecież uciekłeś ze szpitala psychiatrycznego, bez pieniędzy, bez konta w banku, bez dowodu tożsamości...

– A tymczasem naprawdę jesteście u mnie w mieszkaniu! – powtórzył, spoglądając na mnie chytrze. – Kupiłem to mieszkanie w pięćdziesiątym czwartym jako garsonierę, mój sekretny ogród. Mogłem tu przychodzić po pracy słuchać muzyki, odpoczywać, wypić kieliszek...

– ...i przyjmować kochanki w tajemnicy przed żoną – dokończyłem za niego, spostrzegając za chmurą dymu z papierosa jego uśmiech.

– No, niech ci będzie – zgodził się i ciągnął: – Krótko mówiąc, żeby zachować to miejsce w tajemnicy, zapłaciłem za nie skomplikowanym systemem przez podstawione osoby długoterminowymi weksłami. To były moje pieniądze, ale mój ówczesny wspólnik, Ray McMillan, jest oficjalnym właścicielem tego mieszkania.

– I on zwrócił ci je po twojej ucieczce ze szpitala w zeszłym roku.

– Szybko się orientujesz, synku.

Teraz wreszcie zacząłem wszystko lepiej rozumieć. W latach pięćdziesiątych, gdy Sullivan został uznany za zmarłego, przeprowadzono postępowanie spadkowe i wypłacono spadek po nim, ale mieszkanie nowojorskie przecież nie było zapisane na niego.

– A konkretnie z czego się dziadek utrzymuje?

Sullivan wstał z fotela, jeszcze zanim skończyłem zdanie. Podeszedł do biblioteki i jak prestidigitator przesunął jedną z półek. Moim oczom ukazał się sejf. Pokręcił gałkami i otworzył stalowe drzwiczki. W środku były trzy średniej wielkości sztabki złota, błyszczące jak lustro.

– Z wszystkich rad, jakich mógłbym ci udzielić, synku, ta jest najcenniejsza: zawsze zachowaj bukłak pełen wody na wypadek suszy. W przewidywaniu różnych nieszczęść, które może zgotować ci los.

Nie mogłem oderwać oczu od lśniących sztabek. W końcu spytałem go:

– Ale skąd masz to złoto?

Wzrok mego dziadka znów rozbłysł.

– Na początku lat pięćdziesiątych ze względów podatkowych jeden z moich najważniejszych klientów zaczął mi płacić sztabkami złota, które odziedziczył po matce. W ten sposób stałem się właścicielem czterech sztabek, które przechowuję w tym sejfie. W zeszłym roku sprzedałem jedną. Musisz przyznać, że życie dramatycznie podrożało, co?

Nic nie odpowiedziałem.

– Więc mieszka tu dziadek od ośmiu miesięcy?

– Tak jest.

– A jak spędza dziadek dni?

Zgniótł niedopałek w jednej z popielniczek z grubego szkła.

– No, przecież czekając na ciebie, chłopcze!

– Jak to, czekając na mnie?

Popatrzył mi prosto w oczy i oznajmił bez mrugnięcia poważnym tonem:

– Wiem, że się zastanawiasz, co się z tobą dzieje. I wiem, że się boisz. Niestety, mam dla ciebie niedobrą nowinę: prawda jest dużo gorsza niż wszystko, co możesz sobie wyobrazić.

Popatrzyłem na niego prowokacyjnie.

– Bo niby co to za prawda?

– Cała historia jest skomplikowana i trudna do zaakceptowania. To jasne, że ci wszystko opowiem, ale najpierw idź na górę, weź prysznic i przebierz się w czyste ubrania.

– A gdzie ja znajdę czyste ubrania?

– Na piętrze. Tam są dwa pokoje, jeden jest mój, a drugi będzie twój. W szafie wnekowej znajdziesz wszystko, co ci potrzeba. Nie byłem pewien twojego rozmiaru, więc kupiłem wszystko podwójnie. – Widząc moje zdumienie, dorzucił: – Mówiłem ci przecież, od miesiący na ciebie czekam, synku.

6

Prysznic dobrze mi zrobił. Już od trzech dni się nie myłem. A nawet może od trzech lat... Tak naprawdę straciłem w ogóle poczucie czasu. Wysiłając się, żeby zrozumieć niezrozumiałe, mój umysł obecnie pracował na jałowym biegu i nie umiał wyciągnąć żadnego logicznego wniosku.

Pół godziny później, kiedy zszedłem do dziadka do kuchni, byłem świeżo ogolony i ubrany w koszulkę polo, spodnie i tweedową kolorową marynarkę, a także spryskany wodą kolońską o lekkim zapachu lawendy i cytryny.

– Ależ od ciebie jedzie! – przywitał mnie żartobliwie Sullivan, częstując filiżanką gorącej kawy. Przygotował mi też naleśniki z syropem klonowym i szklankę soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. Mimo stresu byłem bardzo głodny, czułem się tak, jakbym nie jadł co najmniej tydzień. Rzuciłem się na naleśniki i zjadłem trzy jeden za drugim. – Znam ten wilczy apetyt, który cię napada po każdym wybudzeniu w nowej rzeczywistości, ale jedz wolniej, żeby cię brzuch nie rozboleł... – poradził mi dziadek, jakbym miał sześć lat.

Niczym zbuntowany nastolatek wypilem kawę jednym haustem. Ale teraz, już najedzony, poprosiłem Sullivana o wyjaśnienia.

Pokiwał głową, usadowił się na krześle i westchnął.

– Żeby zrozumieć, co ci się przydarza, musimy sięgnąć w przeszłość odległą o trzydzieści lat. Był rok pięćdziesiąty czwarty, wszystko mi się udawało. Agencja reklamowa, którą założyłem sześć lat wcześniej, wciąż się rozwijała. Staliśmy się modni i klienci napływali do nas z całego kraju. Niedługo miałem skończyć trzydzieści dwa lata. Pracowałem szesnaście godzin dziennie i pozornie miałem wszystko, czego może pragnąć mężczyzna: oddaną żonę, dziecko, piękny dom, kilka samochodów... Miałem wszystko, z wyjątkiem najważniejszego, gdyż tak naprawdę nudziłem się. Brakowało mi kogoś, z kim mógłbym dzielić się sukcesem: bratniej duszy, kogoś, z kim bym się

dobrze rozumiał, partnera... – Podenerwowany wstał i skierował się ku solidnej żeliwnej kuchence, żeby dolać sobie kawy. – Przechodziłem wtedy zły okres – oznajmił, opierając się o kuchenkę. – Zaczynałem sobie uświadamiać, że spartoliłem najważniejszy wybór w życiu: nie zrozumiałem w odpowiednim czasie, jakie to ważne, by mieć dzieci z kobietą, którą się naprawdę kocha. Stawałem się więc coraz bardziej samotny, każda okazja była dobra, żeby nie wracać do domu. W tygodniu chroniłem się tu, w tej garsonierze, a weekendy poświęcałem na odnowienie starej budowli, którą kupiłem za grosze, Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów. – Upił duży łyk kawy, zanim znów się odezwał uroczystym głosem: – Moje życie zmieniło się diametralnie tej pamiętnej nocy, osiemnastego września pięćdziesiątego czwartego roku. Był późny wieczór, prawie dziesiąta... Przez cały dzień pracowałem nad zatykaniem przecieków, których było mnóstwo w wieży latarni. Byłem wykończony, bolały mnie mięśnie i miałem zamiar wcześniej pójść spać. Na zewnątrz zerwała się wichura. Jak często podczas niepogody, telefon nie działał. Z butelką piwa w ręku słuchałem radia, transmisji meczu baseballowego, i jadłem kanapkę. Nagle transmisja sportowa została przerwana i podano informację o katastrofie kolejowej, która właśnie miała miejsce w Nowym Jorku. Podkręciłem dźwięk, dlatego pewnie nie od razu usłyszałem hałasy dobiegające z piwnicy. Byłem przekonany, że jestem sam, a tymczasem nagle zobaczyłem pokrwawionego mężczyznę, który upadł na środku pokoju.

Przez to, że dziadek wspomniał o katastrofie kolejowej, od razu skojarzyłem fakty.

– Ten mężczyzna to był Horowitz, pierwszy właściciel latarni?

Sullivan popatrzył na mnie i w jego oczach zobaczyłem mieszaninę zdumienia i szacunku.

– Nie jesteś głupi, naprawdę... Masz rację, to był Horowitz. Widziałem jego twarz w archiwach, które przekazał mi adwokat wdowy po nim. Postarzał się, ale poznałem go od razu. Nachyliłem się nad nim. Biedak był ciężko ranny, miał przebite brzuch i klatkę piersiową, wyglądał, jakby uciekł z pola walki. Oboje wiedzieliśmy, że umiera. Wczepił się we mnie i wyszeptał mi na ucho: „Drzwi... Nie wolno panu nigdy otworzyć tych drzwi...”. – Sullivan spowaźniał i wrócił do dębowego stołu, siadając naprzeciw mnie. – Byłem w stanie szoku i klęczałem obok niego jeszcze długo po tym, jak wyzionął ducha. Czuję się jak sparaliżowany, nie rozumiałem nic z tego, co się stało. Ponieważ linia telefoniczna była przerwana, najrozsądniejszym wyjściem z tej sytuacji wydawało mi się zgłoszenie na komisariacie w Barnstable i opowiedzenie wszystkiego, ale...

– Ale nie zrobił dziadek tego.

– Nie, ponieważ coś mi się tu nie zgadzało. Do latarni i do domu było tylko jedno wejście, przez drzwi. Sam zamknąłem je na klucz, przekręcając go w zamku dwa razy, na początku wieczoru, i cały czas były zamknięte. Okna tak samo. Jak więc Horowitz się tu dostał? Żeby się tego dowiedzieć, zszedłem po śladach krwi do piwnicy i ślady te podprowadziły mnie aż pod te osławione stalowe drzwi. Tego wieczoru nie czułem się zbyt dobrze, postanowiłem więc nie kusić diabła... Zmyłem ślady krwi...

Przerwałem dziadkowi.

– Dlaczego nie pojechał dziadek na policję?

– Bo znałem tych policjantów, wyobraź sobie! W każdym razie znałem policjantów w tamtych czasach. Scenariusz był łatwy do odgadnięcia: oskarżono by mnie o zabicie

Horowitza.

– Niekoniecznie. Na pewno przeprowadzono by śledztwo.

– Jakie śledztwo? Ta sprawa to, wypisz, wymaluj, historia jak z *Tajemnicy żółtego pokoju*⁴! Zwłoki w domu, do którego wszystkie wejścia są zamknięte od wewnątrz! A poza tym byłem już notowany za oszustwo podatkowe, a wcześniej spisano mnie na posterunku policji za bójkę w barze, w którą się wplątałem w wieku lat osiemnastu.

– Więc co dziadek zrobił?

Sullivan zamilkł i zaczął strzelać palcami.

– Oficjalnie Horowitz był martwy od wielu lat. Poczekalem, aż skończy się burza, i postanowiłem pochować go w głębi ogrodu.

7

Zatkało mnie. Napięta twarz Sullivana ożywiła się, wyglądał, jakby na nowo przeżywał w myślach tę scenę.

– Zajęło mi to całe przedpołudnie. Potem wróciłem do latarni. Musiałem się dowiedzieć, co się stało. Zszedłem do piwnicy. Panowała w niej dziwna wilgoć, trudna do wyjaśnienia, gdyż ranek był zimny i suchy. Otworzyłem stalowe drzwi i zajrzałem do środka pomieszczenia. Korzystałem z niego bardzo często w przeszłości: służyło mi za składzik, przechowywałem w nim narzędzia, miałem nawet zamiar urządzenia tam piwniczki na wino. Teraz było tam tak gorąco, że miałem wrażenie, jakbym zanurzył się w kotle z gorącą wodą... Właśnie wychodziłem, gdy gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł mi drzwi przed nosem. Dalszy ciąg znasz: nogi jak z ołowiu, trudności z oddychaniem, wrażenie, że spada się w przepaść... – Sullivan zamilkł i westchnął, skonsternowany. – Obudziłem się na dachu budynku w Meatpacking District, niedaleko wieży ciśnień. Nie miałem pojęcia, co robię w Nowym Jorku. Łało i było lodowato zimno. Czułem się odrętwiały, potwornie zmęczony i zdyszany, jakbym dopiero co ukończył maraton. Służbowymi schodami zszedłem na ulicę i ukryłem się w jakimś barze. Z czarno-białego telewizora nadawano właśnie wiadomości: był grudzień pięćdziesiątego piątego roku, w samym środku afery Rosy Parks⁵.

– Zrobił dziadek ponadroczny skok.

Sullivan kiwnął głową twierdząco.

– Tak jak zapewne i ty, byłem załamany i zdezorientowany. Cały dzień błąkałem się po Manhattanie, starając się zrozumieć, co mi się przydarzyło. Poszedłem nawet do psychiatry, tak bardzo byłem pewien, że wariuję. A dwadzieścia cztery godziny później historia się powtórzyła. Tym razem otworzyłem oczy na tylnym siedzeniu taksówki, kobieta siedząca obok mnie zaczęła krzyczeć. Gazeta, którą czytała, nosiła datę z października pięćdziesiątego szóstego roku.

Zadałem pytanie, które paliło mi usta.

– Ile czasu to wszystko trwało?

Sullivan popatrzył mi prosto w oczy.

– Dwadzieścia cztery lata, synku.

Dziadek wstał i zaczął spacerować po pokoju.

– Chciałeś poznać prawdę? Oto ona: otwierając te stalowe drzwi, wszedłeś do piekielnego labiryntu. Dwadzieścia cztery lata twego życia ograniczą się dla ciebie do dwudziestu czterech dni.

Zamilkł, pozwalając mi na przyswojenie sobie tej informacji. Nie byłem pewien, czy rozumiem, co właściwie chce mi powiedzieć.

– Według dziadka moja obecna egzystencja ograniczy się do tego, że będę żył tylko jeden dzień rocznie?

– Tak. Przez dwadzieścia cztery lata.

W głowie mi szumiało. Jak to: dwadzieścia cztery lata?!

– To się właśnie dziadkowi przydarzyło?

– Dokładnie, chłopcze. Od pięćdziesiątego piątego do siedemdziesiątego ósmego roku. Przez prawie ćwierć wieku odbyłem, jeśli można to tak nazwać, dwadzieścia cztery podróże: taka jest właśnie klątwa tej latarni. I to samo właśnie teraz przydarza się tobie, a zakończy się dopiero w dwa tysiące piętnastym roku.

– Nie, to niemożliwe...

Dziadek westchnął i zamilkł. Słońce tymczasem wstało i jasne promienie oświetliły ściany kuchni wyłożone naturalnym drewnem. Sullivan podszedł do stołu i zgasił wiszącą nad nim lampę.

– W ciągu tych wszystkich lat zrozumiałem zasady, jakimi rządzi się ta latarnia. Najbardziej zwodnicza z nich stanowi, że tak długo, jak ktoś przebywa w tym labiryncie czasoprzestrzeni, pomieszczenie w piwnicy jest niegroźne dla pozostałych osób. Nie pytaj mnie dlaczego, nie mam zielonego pojęcia, jednak tak długo jak Horowitz pozostawał w tej „spirali” czasowej, mogłem wchodzić i wychodzić z tego pomieszczenia, niczego nie ryzykując.

– Przez dwadzieścia cztery lata twojej podróży w czasie...

– ...latarnia była prawdopodobnie „nieaktywna” i tak też z pewnością jest i dziś, kiedy ty wykonałeś swój wielki skok. – Sullivan wyjął z paczki papierosa, zastukał nim w stół, żeby ubić tytoń, i dodał smutnym tonem: – To jedyna pozytywna strona tego systemu: może zniszczyć tylko jedną osobę na raz... – Niebieski płomień wystrzelił z zapalniczki benzynowej, odbijając się w oczach dziadka błękitną falą i rozżarzając czubek papierosa. – W miarę następowania po sobie moich „podróży” starałem się zrobić, co mogłem, żeby uchronić rodzinę przed tą zasadzką. Podczas mojej czwartej wizyty umówiłem się na lotnisku Kennedy’ego z moim synem, Frankiem. Być może opowiedział ci o tym: to ja zażądałem, żeby zamurował stalowe drzwi.

Kiwnąłem głową w milczeniu.

– A co stało się potem? – spytałem po chwili.

Sullivan czekał na to pytanie i widząc grymas na jego twarzy, zrozumiałem od razu, że nie miał najmniejszej ochoty mi odpowiadać. Wstał i uchylił oszklone drzwi prowadzące na pełen kwiatów i słońca taras.

Stał tam dłuższy moment, kończąc papierosa pośród jaskrów i pelargonii.

– Co się dzieje po odbyciu tych dwudziestu czterech podróży, Sullivanie?

Dziadek zgniótł niedopałek w doniczce.

– Będziemy jeszcze mieli czas porozmawiać o tym. Na razie myślę, że powinieneś się dowiedzieć, co z Lisą.

Nie upierałem się. Może nie chciałem poznać odpowiedzi, tak jak i on nie chciał mi jej dać...

– Pojedzie dziadek ze mną? Ona jest w Bellevue Hospital.

– Teraz pojedź sam, a ja dołączę do ciebie potem.

9

Wyszedłem z domu, zatraskując za sobą drzwi. Jeśli, tak jak mi powiedział sanitariusz, Lisę zawieziono do Bellevue Hospital, mogłem z łatwością dostać się tam piechotą. Poszedłem Piątą Aleją aż do słynnego budynku Flatiron, a potem skręciłem w kierunku East River. Po niecałej półgodzinie marszu dotarłem do monumentalnej fasady najstarszego szpitala w Nowym Jorku.

Wizyty zaczynały się dopiero o jedenastej, ale jako lekarz pracujący na pogotowiu wiedziałem, co należy zrobić, żeby obejść kontrole. W recepcji powiedziałem, że jestem bratem Elizabeth Ames. Udając zdenerwowanie, wyjaśniłem, że dopiero co przyleciałem z Bostonu, bardzo się niepokoję, czy siostra przeżyje, i postarałem się, by to wszystko wyglądało autentycznie. Bez większych trudności pozwolono mi udać się na piętro. Tam zacząłem chodzić po korytarzach w poszukiwaniu lekarza dyżurnego. Przedstawiłem mu się jako kolega po fachu, zatrudniony przez bostoński General Massachusetts Hospital. W trakcie rozmowy okazało się, że jesteśmy w tym samym wieku i że oboje odbyliśmy staż w Northwestern Memorial w Chicago. Osobiście zaprowadził mnie do pokoju Elizabeth, był jednak ostrożny co do wydania opinii o jej stanie.

– Jak tylko zajęliśmy się nią, od razu umieściliśmy ją na OIOM-ie. Zszyliśmy rany i podłączyliśmy do respiratora, ale sam wiesz, jak to jest. Flumazenil ma pomóc w szybkiej eliminacji z organizmu benzodiazepiny, ale alkohol i utrata krwi komplikują sytuację, opóźniając powrót świadomości. Mam jeszcze trzydzieści godzin dyżuru. Gdybyś miał jakieś pytania, nie krępuj się, wpadnij do mnie!

Podziękowałem mu i wszedłem do pokoju.

Panował w nim półmrok. Twarz Lisy wyglądała spod jasnozielonego prześcieradła. Była blada, nieruchoma, jakby przykryta przezroczystą woalką. Wargi miała sine i częściowo zakryte posklejаныmi włosami.

Powodowany zawodowym odruchem sprawdziłem kroplówki, do których była podłączona, ustawienie elektrod, działanie monitoringu pracy serca i przejrzałem wyniki figurujące na karcie pacjenta przyklepionej w nogach łóżka.

Potem przysunąłem krzesło i usiadłem obok niej.

Tu, w tym pokoju szpitalnym, dziwne, ale czułem się na właściwym miejscu: trochę lekarz na służbie, trochę anioł stróż.

Poza tym było mi tu dobrze, jak w kokonie, w ochronnym futerale, którego potrzebowałem, żeby odpocząć i dojść do siebie.

Byłem wykończony, bliski załamania fizycznego i psychicznego. Przede wszystkim strasznie się bałem, czułem się bezradny, wydarzenia mnie przerosły i nie umiałem walczyć z tymi nieznanymi przeszkodami. To, co opowiedział mi Sullivan, mimo że nie trzymało się kupy, wyglądało na jedyne logiczne wyjaśnienie. On ubrał w słowa wszystko, co mnie spotkało, a choć było to szalone, nie umiałem przedstawić żadnego innego wyjaśnienia. I jeśli mój rozum nakazywał nie wierzyć mu, intuicja mówiła, że, przeciwnie, to właśnie jest prawda.

Moje studia bazowały na naukach ścisłych i każda moja decyzja była racjonalna. Nigdy nie wierzyłem w Boga, unikałem jak choroby zakaźnej wszystkich ekstrawaganckich teorii ezoterycznych czy pseudomistycznych. I nagle dziś stałem się więźniem klątwy! Mimo mojego racjonalistycznego nastawienia odgrywałem bohatera fantastycznych opowieści z telewizji mojej wczesnej młodości, tych wszystkich *Po tamtej stronie, Dnia Doktora, Opowieści z krypty, Koszmarnych opowieści...*

Dzień śmignął jak jedna chwila między wizytami lekarzy, baletem pielęgniarek i salowych, regularnymi odgłosami aparatu do monitoringu pracy serca i respiratora.

Wieczorem na papierze z nagłówkiem szpitala napisałem do Elizabeth list. Właśnie wsuwałem go do koperty, kiedy zobaczyłem w drzwiach znajomą twarz.

– Dziadku! Gdzie się podziewałeś cały dzień?

Nie zwrócił uwagi na to, co powiedziałem, zapytał tylko o zdrowie Lisy, a potem odezwał się smutnym tonem:

– Przyszedłem pożegnać się z tobą.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem i westchnąłem.

– Więc co, niby zniknę tak nagle tutaj, przy tobie?

Dziadek kiwnął głową.

– Pamiętam wszystkie te stany – powiedział do mnie, a w jego głosie usłyszałem bolesną nostalgię. – Te palpacje, zapach kwiatu pomarańczy, to wrażenie bezradności, które rozdziera ci serce za każdym razem, kiedy czujesz, że odchodzisz...

– Kiedy się znów spotkamy? – spytałem, starając się ukryć panikę.

– Nie wiem. Pewnie w przyszłym roku, może cię nie być zarówno pięć miesięcy, jak i piętnaście. To było dla mnie najokropniejsze, ta niemożność umówienia się z kimkolwiek!

– A czy nie próbował dziadek pokierować tym odejściem, na przykład skupiając się silnie na jakiejś konkretnej dacie czy osobie?

– O takich rzeczach czyta się w powieściach science fiction, niestety w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Zapisalesz mój numer telefonu? – Pokazałem mu przedramię, na którym widniało dziesięć cyfr jego telefonu. – Ostrożniej będzie, jeśli nauczysz się go na pamięć. Gdy wrócisz, zadzwoń do mnie od razu, jak tylko będziesz mógł.

Kiedy wyciągał z kieszeni paczkę lucky strike'ów, rozzłościłem się.

– Przecież tu nie wolno palić! Gdzie myślisz, że jesteś? To nie jest już pięćdziesiąty czwarty!

Urażony wsunął papierosa za ucho i spytał:

– Zaraz, zaraz... A jak ty mnie znalazłeś?

Wyjąłem z kieszeni marynarki błękitną kameę na srebrnym łańcuszku, którą znalazłem w mieszkaniu Lisy.

Sullivan uśmiechnął się.

– Tę kameę mój ojciec dał w prezencie mojej mamie w dniu, kiedy się urodziłem!

Odnalazłem ją w garsonierze i podarowałem Lisie...

– Twoi rodzice, dziadku, kochali się naprawdę...

– Mieli to szczęście! – odpowiedział krótko.

Nie miałem ochoty rozwodzić się na ten temat, odwróciłem więc medalion i spytałem:

– A co oznacza ten napis? „Nie zapomnij, że mamy dwa życia”?

– To stare chińskie przysłowie. Ma się dwa życia, a drugie zaczyna się, gdy uświadomisz sobie, że żyje się tylko raz.

Kiwnąłem głową twierdząco.

– Napisałem list do Lisy – powiedziałem, podając mu kopertę. – Mógłbyś go jej dać?

– Możesz na mnie liczyć! – zapewnił mnie, podchodząc do okna. – Co jej napisałeś?

Kiedy otwierałem usta, żeby mu odpowiedzieć, dostałem lekkich dreszczy. Poczulem klucie w koniuszkach palców. Puściłem kameę. I nagle poczułem, że drętwieję. Widziałem wszystko jak przez mgłę. Zobaczyłem, jak Sullivan ostentacyjnie przedziera kopertę z listem, który mu przed chwilą wręczyłem.

– Ale co ty robisz? Ty draniu...

Podniosłem się z krzesła, żeby wyrwać mu list z dłoni, ale przy pierwszym kroku poczułem, jak nogi uginają się pode mną, jakbym zagłębiał się w ruchomych piaskach.

– Do przyszłego roku! – Usłyszałem głos Sullivana i zobaczyłem, jak wkłada papierosa do ust.

Mój mózg przeszła błyskawica, usłyszałem odgłos zasysania, wydało mi się, że pękają mi bębenki.

A potem znikłem.

1995

Granat w miejscu serca

(...) i pomyślałam, że to nie mijanie czasu jest rozdzierające, ale raczej fakt, że zanikają uczucia i emocje, tak jakby nigdy nie istniały.

Laurence Tardieu

0

Krótkie, agresywne wycie syreny.

Monotonny stukot przerywany odgłosem miecha zawieszenia pneumatycznego. Zgrzyt żelastwa. Hałas przejeżdżającego pociągu.

Leżę na twardej wibrującej podłodze. Czuję nieświeże, letnie powietrze, poruszone zdezelowanym wentylatorem. Szczękam zębami. Umysł mam zamulony, świszczę mi w oskrzelach. Jestem cały czerwony z powodu wysokiej gorączki, włosy lepią się od potu. Umieram z pragnienia, ból rozdziera mi trzewia.

Chyba już zaczynam się przyzwyczajać, mam suche oczy i sklezione powieki. Otworzenie ich boli jak diabli, tak jakby zalepiono mi je piaskiem zmieszany z klejem. Widzę niewyraźnie. Pierwszą rzeczą, którą zauważam, jest metalowy pręt, który wychodzi z podłogi i biegnie aż do sufitu. Chwytam go i dźwigam moje zbolące ciało.

Jestem w wagonie nowojorskiego metra.

1

– Skąd się tu wziąłeś, frajerze?!

Wagon był pusty, z wyjątkiem włóczęgi, który leżał na ławce, i trzech łobuzów: czarnego, białego i Latynosa, którzy ciągnęli jakiś alkohol z butelek ukrytych w papierowych torbach. Byli jak chodzące karykatury: czapki z daszkiem założone tył na przód, bandany, zęby ozdobione złotymi licówkami, bluzy dresowe z kapturem, tony różnych breloków na szyjach, T-shirty z wizerunkiem Tupaca Shakura i ogromne radio, z którego leciał jakiś rap.

– Niezły ten twój zegareczek! – Usłyszałem.

W mniej niż dwie sekundy już stali nade mną. Wciąż trzymałem się metalowego pręta. Miałem gęsią skórę, sztywny kark, pragnąłem jednego: znaleźć się w łóżku pod

ciepłą kołdrą i napić się grogu.

– Wyskakuj z tej marynareczki i dawaj forszę!

Latynos pierwszy mnie uderzył: niespodziewanie wymierzył mi upokarzającą fangę w twarz.

Mimo słabej formy nie zamierzałem się poddać i podniosłem rękę, żeby mu oddać. Niestety, nie okazałem się wystarczająco szybki. Równie niespodziewany kuks pięścią poraził mi wątrobę, a następny, poprawiony kolanem, rzucił mnie z powrotem na podłogę, pozbawiając oddechu. Czyjaś podeszwa wgniotła mi się w szyję. Nie byłem w stanie się podnieść i spadł na mnie deszcz ciosów, plwocin i wyzwania. Potem ktoś wyjął składany nóż, którego ostrze poczułem na gardle. Ze łzami w oczach i z gulą wściekłości w gardle pozostało mi tylko poddać się i pozwolić ograbić ze wszystkiego: portfela, pieniędzy, paszportu, paska, marynarki, a zwłaszcza mego starego cartiera tanka, zegarka, który odziedziczyłem po dziadku.

Męka nie trwała dłużej niż dwie minuty. Gdy tylko metro wjechało na stację, trójka łobuzów znikła, zostawiając mnie sam na sam z włóczęgą, któremu mój los był całkowicie obojętny.

Leżałem na podłodze, dysząc jak pies, z trudnością zbierając myśli. Wszystko mnie bolało. Z pękniętego łuku brwiowego sączyła się krew, podobnie z rozbitej wargi, oczy miałem spuchnięte.

Nie najlepsze przebudzenie...

Przejechałem kolejną stację, zanim znalazłem w sobie siłę, żeby wstać i usiąść na ławce. Rzuciłem okiem na mapę metra pod ochronną warstwą plastiku, przyczepioną w górze wagonu. Znajdowałem się na *blue line*, inaczej mówiąc, jechałem najdłuższą linią nowojorskiego metra łączącą Queens z północnym skrajem Manhattanu, czyli linią A. Chuligani wysiedli przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, a teraz przejechaliśmy Sto Szesnaście. Gdy drzwi znów się rozsunęły, wywlokłem się na peron stacji Cathedral Parkway. Stacja była prawie pusta. Przeskoczyłem przez bramkę i wyszedłem po schodach na Sto Dziesiątą Ulicę. Tylko kilka przecznic od mieszkania Elizabeth Ames! Zbyt grubą nicią szyte, żeby mógł to być przypadek.

Było zimno i wciąż trwała noc. Na chodniku dostawca gazet napełniał któryś z dystrybutorów. Spytałem go o godzinę – dochodziła szósta rano – i popatrzyłem na datę na gazecie: był 5 listopada 1995 roku. Przez środek pierwszej strony przebiegał wielki napis:

Icchak Rabin zamordowany w Tel Awiwie podczas manifestacji pokojowej

Szybko przebiegłem wzrokiem artykuł. Premier Izraela dostał dwie kule w plecy od działacza skrajnej prawicy, która przeciwstawiała się porozumieniom podpisanym w Oslo. Icchaka Rabina przewieziono do szpitala, ale zmarł kilka godzin później. W artykule oceniano, że szanse na pokój po tym zabójstwie zmaleją do zera.

To było zbyt piękne, by mogło trwać...

Sprawdziwszy nazwisko na skrzynce listowej, zadzwoniłem do drzwi mieszkania Lisy.

Młoda kobieta, która mi otworzyła, była rozpromieniona i najwyraźniej przeszła metamorfozę. Zostawiłem ją nieprzytomną, ledwo żywą na szpitalnym łóżku. Stała przede mną kobieta wesoła, świeża, szczęśliwa. W ręku trzymała szczoteczkę do zębów, miała na sobie męską koszulę i zwykle bokserki, które nie ukrywały jej zgrabnych nóg.

– To wspaniale znów cię zobaczyć! – przywitała mnie, jakbyśmy byli starymi znajomymi. W mieszkaniu unosił się przyjemny zapach kawy. – Ależ ktoś cię urządził! – wykrzyknęła na widok mojej napuchniętej twarzy.

– Pobili mnie w metrze. Trzech facetów, wszystko mi zabrali!

– O cholera! Chodź, zdezynfekuję ci toto.

Poszedłem za nią do łazienki, a obok nas biegł Remington, starając się otrzeć o moje nogi.

Watką nasączoną spirytusem salicylowym wytarła strużkę krwi, która ciekła mi po czole. Kiedy bawiła się w pielęgniarkę, ja wdychałem jej zapach, pozwalając olśnić się mnóstwem odcieni jej blond loków i poruszaniem się jej drobnych piersi podskakujących pod koszulą, gdy wycierała mi twarz.

– Sullivan powiedział mi, że pojechałeś do Rwandy w ramach działalności „Lekarzy bez Granic”. To straszne, co się tam dzieje! – Zmarszczyłem brwi, ale wolałem nie zaprzeczać, zanim dowiem się czegoś więcej. – Kiedy wróciłeś?

– Ee... Tej nocy.

– Cieszę się, że przyszedłeś! – powiedziała, wyrzucając wacik do kosza na śmieci. – Chciałam ci podziękować za to, że mnie uratowałeś, jak również za twój list.

Z trudnością ukryłem zaskoczenie.

– Sullivan dał ci mój list?

– Tak, oczywiście! – odpowiedziała, podnosząc ku mnie swoje jasne oczy. – Ten list bardzo mi pomógł, często do niego wracam.

W kącikach ust miała ślad pasty do zębów. Przez chwilę, zmieszany jej rozpromienioną, pogodną twarzą, wyobraziłem sobie, że dotykam tych ust swoimi wargami.

– Słuchaj... – odezwała się, idąc do sypialni – mam dziś szalony dzień: najpierw zajęcia w Juilliard, potem zdjęcia i casting na kampanię reklamową dla Calvina Kleina, ale możemy się zobaczyć wieczorem, chcesz?

– Tak... No pewnie, że tak.

Zostawiła drzwi sypialni uchylone. W lustrzanych odbiciach mogłem zauważyć jej wdzięczną nagą sylwetkę. Najwyraźniej nie była wstydliva, a jej bezpruderyjność spowodowała, że w wyniku dziwnego procesu rozdwojenia się zacząłem być zazdrosny o siebie samego.

– Wiesz, na co mam ochotę na kolację? Na kaczą pierś w miodzie! – oznajmiła, wypadając na korytarz z torebką w ręku i w wełnianej czapce na głowie.

– Ee...

– Tak bym chciała, żebyś dla mnie to przygotował! – rzuciła, zawiązując szalik. – Spotykamy się tutaj o ósmej?

– Dobra.

– Zostawiam drugi klucz pod wycieraczką. Byłbyś kochany, gdybyś dał kotu jeść i potem tylko zatrzasnął za sobą drzwi.

– Do... Dobrze.

– A więc do wieczora! – wykrzyknęła, zdmuchując z dłoni pocałunek w moim kierunku.

I znikła na schodach.

Znikła... oczywiście niedosłownie...

Zostałem w mieszkaniu sam, trochę ogłupiały, ale i olśniony tym niespodziewanym serdecznym przyjęciem i przez kontrast dwóch skrajnie różnych sytuacji, w których znalazłem się jedna po drugiej. W kilka chwil ze świata ponurej przemocy zostałem przeniesiony do świata tej uroczej i nieprzewidywalnej dziewczyny o blond włosach.

Czując się jak u siebie w domu, otworzyłem szafkę i wyjąłem torbę karmy dla kota.

– Twoja pani to prawdziwa bomba, i to atomowa, wiesz o tym? – zapytałem Remingtona. – Wiesz może, czy jest z kimś związana w tej chwili?

Remington niezrozumiale miauknął, nie umiałem stwierdzić, czy było to przytaknięcie, czy zaprzeczenie.

Zrobiłem sobie kawy, włączyłem radio i zacząłem przechadzać się po mieszkaniu. W sypialni Lisy znalazłem list, który napisałem do niej rok wcześniej. Przypięty pinezką do tablicy z korka, był podarty na czworo, a potem sklejony.

Bellevue Hospital

10 maja 1994

Droga Liso,

wiem, że nie znamy się zbyt dobrze, ale życie już dwa razy postawiło nas na wspólnej drodze.

Za pierwszym razem rzuciłaś we mnie szklanką piwa korzennego, wcześniej wyzywając od najgorszych.

Jednak kilka godzin później stanęłaś na wysokości zadania, pomagając mi wykraść mojego dziadka ze szpitala psychiatrycznego. Pomimo Twojego zapewnienia, iż zrobiłaś to głównie z przyczyn finansowych, lubię myśleć, że powodem było również współczucie.

Ponownie spotkaliśmy się ostatniej nocy. Tym razem nie rzuciłaś mi w twarz szklanki z piwem, ale uderzyłaś mnie inaczej: przerażającym wyglądem, gdy leżałaś nieprzytomna w wannie z dłońmi przeciętymi w nadgarstkach, z żołądkiem wypełnionym koktajlem z alkoholu i potencjalnie trujących lekarstw, wykrwawiając się.

Z pewnością nie będę Cię przeproszał za pokrzyżowanie Twoich zamiarów, nawet jeśli mogę sobie wyobrazić, że dużo musiałaś wycierpieć, żeby zdecydować się na taki drastyczny krok.

Nie zamierzam Cię pouczać. Wiem, że każdy z nas nosi granat w okolicy serca. Niektórzy nigdy nie ośmielają się zerwać zawleczkę, inni odwrotnie, robią to, narażając się na niebezpieczeństwo naruszenia pęknięć, które wywołają trzęsienie ziemi i zniszczą ich życie.

W szpitalu codziennie widuję pacjentów, którzy zaciekle walczą ze swymi chorobami. Ludzi, którzy czepiają się życia i daliby wszystko za jeszcze kilka dni dłużej na tym łożu padole. Każdy z nich znajduje motywację do dalszej walki, każdy wyznacza sobie termin: zobaczyć wnuka, który ma się niedługo urodzić, wytrwać do wiosny, żeby jeszcze raz ujrzeć kwitnącą czeresnię, zdążyć pogodzić się z kimś bliskim, kogo się zraniło... Czasem się wygrywa. Jednak często życie bywa podłe i nie daje drugiej szansy.

Wiem, że miłość może unieczystwić. Wiem, że uczucia mogą być zabójcze. Ale zbyt szanuję życie, by zaakceptować gest, który je odbiera, nawet w sytuacji tak przykrej, że wydaje się bez wyjścia.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego, Liso.

Trzymaj się życia.

I wiedz, że koło toczy się prędko.

Arthur

3

Była prawie jedenasta przed południem, kiedy dotarłem do mieszkania Sullivana. Nie spieszyłem się, żeby wyjść od Lisy, wziąłem prysznic, pożarłem połowę opakowania corn popsów, żeby odzyskać siły, przeszukałem jej garderobę, żeby znaleźć coś, co mogłoby zastąpić moją marynarkę. Jedyne rzecz mego rozmiaru, jaką znalazłem, to była różowa kurtka puchowa. Wyglądałem w niej niczym gumowy ludzik Michelina, który wpadł do słoika z malinową farbą. Nie mając już ani dolara w kieszeni, wsiadłem do metra 1 linii na gapę. Trasa mego przejazdu z Morningside Heights do Christopher Street-Sheridan Square ciągnęła się w nieskończoność.

– Niech mi dziadek otworzy! – krzyczałem, waląc w drzwi kołatką z głową lwa.

Żadnej odpowiedzi, tylko najbliższa sąsiadka pojawiła się w oknie.

– Skończ pan z tymi wrzaskami!

– Bardzo panią przepraszam... Szukam mojego dziadka. Nie ma go w domu?

– Słyszałam, jak wychodził jakąś godzinę temu. Przed południem często chodzi do parku.

Podziękowałem i skierowałem się na Washington Square. Kilka minut spacerowałem wokół marmurowego łuku, fontanny i żeliwnych ławek, nie widząc Sullivana.

W końcu znalazłem go na tyłach parku, w miejscu obrosniętym krzakami, w którym skupiali się gracze w szachy. Otulony grubą kurtką podbitą kożuszką i w tweedowym kaszkiecie na głowie siedział przy kamiennym stoliku, rozgrywając partię blitzu za pięć dolarów z jakimś azjatyckim studentem.

– Pozwól mi skończyć partię, chłopcze! – rzucił, odgadując moją obecność bez uniesienia głowy.

Rozzłoszczony podszedłem do szachownicy i jednym ruchem ręki zmiotłem ją na ziemię razem z pionkami, które rozprysły się na wszystkie strony. Student skorzystał z zamieszania, żeby chwycić dwa banknoty, które leżały na stole, i przezornie znikł.

– Przez ciebie przegrałem pięć dolców! – powiedział mój dziadek z wyrzutem, wreszcie na mnie spoglądając.

– Mam to w nosie! – odrzekłem i usiadłem naprzeciw niego.

Uśmiechnął się lekko.

– Niezłe to twoje wdzianko... Dobrze ci w różowym! – Tym razem ograniczyłem się do pokazania mu środkowego palca. – Ja też się cieszę, że cię widzę – odrzekł Sullivan, drapiąc się po brodzie.

Starłem się uspokoić.

– Obudziłem się dzisiaj w metrze o piątej rano, napadnięto mnie i pobito, ukradziono mi wszystkie dokumenty, zegarek...

– Mój zegarek! – przerwał mi dziadek.

– Mam ci dać w gębę?

– No, jeśli już nawet pożartować nie można...

Podniósł rękę i pokiwał na ulicznego sprzedawcę precli, który pchał wózek, i zamówił u niego dwie kawy.

– To należy do tak zwanych *bad trips* – powiedział, podając mi kubeczek. – Miejsce, w którym się obudzisz, jest zawsze niespodzianką, dobrą albo złą. Jednego ranka to będzie w metrze, innego dnia w łóżku Jane Russell...

– Jane Russell? Ona musi zbliżyć się do osiemdziesiątki...

– Jestem pewien, że wciąż jest bardzo ładna.

Wzruszyłem ramionami, znudzony.

– Dobra, pogadamy o tym innym razem. Teraz chcę, żeby mi dziadek udzielił odpowiedzi.

– Jakie masz pytanie?

– Mam wiele pytań. A pierwsze brzmi: Co dziadek zrobił podczas dwudziestu czterech lat swojej podróży? Co dziadek zrobił w latach między pięćdziesiątym czwartym a siedemdziesiątym ósmym?

4

Sullivan pochuchał w dłonie i zmarszczył brwi.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy na czym stanąłem?

– Na pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy to dziadek obudził się w taksówce obok jakiejś kobiety.

Dziadek kiwnął głową i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągając portfel, a z niego poźółkłą i zmiętą fotografię.

– Ta kobieta nazywała się Sarah Stuart. Miała dwadzieścia sześć lat. Skończyła właśnie studia medyczne i pracowała jako epidemiolog w nowojorskim biurze Światowej Organizacji Zdrowia. – Dziadek wręczył mi zdjęcie młodej kobiety w białym fartuchu pozującej przed budynkiem wyglądającym na laboratorium medyczne. Twarz miała rozpromienioną, ładny wąski nosek, żywe spojrzenie oczu zakrytych częściowo kosmykiem à la Veronica Lake. Zdecydowanie miała urok, styl i wyglądała na osobę o silnym charakterze. – To była miłość od pierwszego wejrzenia, natychmiastowa, gwałtowna i całkowita: wzajemny pociąg fizyczny i intelektualny, coś, czego nigdy dotąd nie przeżywałem. Poznałem ją w pięćdziesiątym szóstym roku, postarałem się ją odnaleźć w pięćdziesiątym siódmym, w pięćdziesiątym ósmym powiedziałem jej prawdę o sobie. – Wyciągnął papierosa, którego trzymał zatkniętego za uchem, i zapalił go swoją zippo. – Los jest okrutny, prawda? – rzekł zmartwiony. – Pozwolił mi odnaleźć bratnią duszę, ale postawił mnie w sytuacji, w której nie powinienem jej pokochać.

– I co dziadek zrobił?

– Kochaliśmy się mimo przeciwności losu. – Wydmuchał ustami dym, którego chmurka na chwilę zawisała w lodowatym powietrzu i znikła. – Mimo wszystkich przeszkód Sarah i ja kochaliśmy się przez ponad dwadzieścia lat. W sześćdziesiątym piątym roku poszczęściło nam się, na świat przyszła nasza mała Anna.

Zapadła cisza. Sullivan z błyszczącymi oczami spoglądał ponad moim ramieniem na dzieci biegnące wokół zjeżdżalni. Ponieważ wciąż milczał, odezwałem się:

– Jak można utrzymać trwałe relacje z osobą, którą widuje się tylko przez jeden dzień w roku?

– Nie mówię, że to było proste, przeciwnie, było piekielnie trudne i bolesne. Dla mnie, dla niej, dla naszej córki... Było piekielnie trudne, ale jednocześnie magiczne. Sarah była tą kobietą, na którą czekałem. Tą, której szukałem bezskutecznie od chwili, gdy znalazłem się w wieku zdolnym do miłości.

Podrapałem się po głowie i popatrzyłem na niego sceptycznie.

– A ona? Jak ona mogła zgodzić się na taki układ?

– Powiedzmy, że ona się do niego dostosowała. Sarah była kobietą wolną, niezależną, trochę nawet zbuntowaną. Była feministką, nie miała najmniejszej ochoty obciążać się mężem. – Sullivan skończył papierosa wyciągniętego zza ucha i wyjął z paczki następnego, którego odpalił od niedopałka. – Sarah była również działaczką społeczną. Należała do grupy lekarek, *Wave Collective*, które w latach sześćdziesiątych usuwały niepożądane ciąży potajemnie w całym kraju. Podziwiałem ją. To były inne czasy: wiele kobiet w ciężkiej sytuacji miało złamane życie przez niechcianą ciążę. – Znow zaciągnął się papierosem, obserwując dzieci za moimi plecami. Oczy zaszły mu mgłą, widać było, że wzruszył się na myśl o przeszłości. – Te dwadzieścia cztery lata minęły jak z bicza strzelił! – wyznał. – Ćwierć wieku skurczone do kilku dni, które były najbardziej intensywnymi dniami mego całego życia. Byłem szczęśliwy. Nawet jeśli było mi ciężko widzieć je tylko przez jeden dzień w roku, Sarah i Anna sprawiły, że żyłem pełnią życia bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Dlaczego mówi o nich dziadek w czasie przeszłym? – spytałem i zobaczyłem, jak jego twarz nagle się zapada.

– Bo obie nie żyją... – odparł zduszonym głosem.

5

Nagle zerwał się silny wiatr, który jednym podmuchem przeleciał przez cały placyk, wznosząc chmury kurzu i tumany jesiennych liści zmiecionych dopiero co na bok przez ogrodników.

Sullivan wstał od betonowego stolika. Ja zacząłem zbierać z ziemi rozsypane pionki z zamiarem ustawienia ich z powrotem na szachownicy i zobaczyłem, że staruszek odchodzi rytmicznym krokiem, jakby był nakręcaną maszyną.

– Hej! Niech dziadek na mnie zaczeka!

Postanowiłem pójść za nim w pewnej odległości. Myślałem, że wraca do siebie, ale zamiast iść w kierunku północnym MacDougal Street, przeszedł przez Avenue of the Americas i zagłębił się w Cornelia Street, wąską, typową dla Greenwich Village uliczkę, obrośniętą nagimi drzewami, które stały na baczność przed budynkami z cegły i małymi knajpkami.

Dochodząc do skrzyżowania Bleecker Street, Sullivan pchnął drzwi Cornelia Oyster Bar, restauracji specjalizującej się w owocach morza, których dziesiątki znałem

w Nowej Anglii, ale były one dużo rzadsze na Manhattanie.

Doszedłem za nim aż pod restaurację. Gdy wszedłem do wnętrza, zobaczyłem, że siedział na stolku barowym. On również mnie zauważył i gestem zaprosił, żebym usiadł przy nim.

– Przykro mi – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– To nie twoja wina, chłopcze. Niestety, dziś ty jesteś ofiarą tego paskudztwa.

Zaczął przeglądać menu, po czym autorytatywnie zamówił dla nas obu wielką tacę ostryg i butelkę pouilly-fuissé.

Kelner zza baru zręcznie napełnił nam kieliszki białym winem. Sullivan wypił swój jednym haustem i poprosił o następny. Zaczekałem, aż się napije, by zadać mu to pytanie.

– Co się dzieje po dwudziestej czwartej podróży?

Dziadek spojrzał na mnie zrezygnowanym wzrokiem.

– Najlepsza i najgorsza rzecz.

Przed nami pojawiła się taca z asortymentem ostryg płaskich i głębokich. Sullivan opryskał swoją część półmiska cytryną. Zjadł pierwszą ostrygę i zaczął mi wyjaśniać:

– Rzecz najlepsza najpierw: czas zaczyna mijać normalnie. Nie przeskakujesz już z roku na rok. Odnajdujesz swoje miejsce w świecie, dokładnie tak jak przedtem. To jest ta dobra nowina! – oznajmił i wziął drugą ostrygę.

Zwlekał.

– A ta zła? – Nie ustępowałem.

– Pamiętasz tę miedzianą tabliczkę w piwnicy latarni?

– Tę z łacińskim napisem?

Przytaknął kiwnięciem głowy.

– *Postquam viginti quattuor venti flaverint, nihil iam erit* – wydekłamał. – Po wichurze, w której zawieją dwadzieścia cztery wiatry, nic się nie ostanie.

– To znaczy?

– Taka jest prawdziwa klątwa latarni: wszystko się dzieje tak, jakbyś przeżył minione lata tylko w swojej wyobraźni. Żadna z osób, które spotkałeś, nie będzie ciebie pamiętać. Wszystko, co zbudujesz podczas tych dwudziestu czterech lat, zostanie zniszczone... – Sullivan uświadomił sobie, że trudno mi było to zrozumieć. – Po mojej dwudziestej czwartej podróży obudziłem się w siedemdziesiątym ósmym roku. Geograficznie wróciłem tam, gdzie zaczęła się moja podróż, to znaczy do małej piwniczki pod latarnią.

– Tyle że pomieszczenie było zamurowane – przerwałem mu.

Przytaknął.

– Dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie tego, gdzie się znajduję, i przez chwilę myślałem, że to już koniec. Na szczęście znalazłem narzędzia, a podłoga okazała się miękka i wilgotna. Wziąłem łopatę i zacząłem kopać. Nie wiem, ile czasu mi to zajęło, może dziesięć godzin... ale udało mi się wyjść z latarni. Umyłem się wodą ze studni i zabrałem rower najbliższych sąsiadów, żeby się dostać na dworzec w Bourne, gdzie wsiadłem do pierwszego pociągu do Nowego Jorku. – Odłożył widelczyk do ostryg i zrobił kolejną przerwę. Najwyraźniej te wspomnienia były dla niego trudne i bolesne. – W tamtym okresie nowojorskie biura Światowej Organizacji Zdrowia znajdowały się

w dzielnicy Turtle Bay, niedaleko siedziby ONZ. Była siódma wieczorem. Czekałem, aż Sarah wyjdzie z biura, ale zamiast rzucić się w moje ramiona, tak jak to robiła zawsze, kiedy się spotykaliśmy, popatrzyła na mnie jak na kogoś zupełnie obcego. – Spojrzenie Sullivana zaszło mgłą i głos mu się zmienił. – Odezwałem się do niej, ale ona zrobiła wrogą minę, utrzymując, że mnie nie zna. Było to bardzo nieprzyjemne, gdyż po jej oczach widziałem, że mówi prawdę. Upierałem się przy swoim, zacząłem mówić o Annie, naszej córce, o wszystkim, co przeżyliśmy przez wszystkie minione lata. W tym momencie wydało mi się, że zrobiło jej się mnie żal, bo zatrzymała się i zaczęła coś do mnie mówić. Ale nie jak do ukochanego, raczej jak do wariata... – Zacisnął pięści. – Pokazała mi zdjęcia, które miała w portfelu. Zdjęcia męża, lekarza Afroamerykanina, i swoich dzieci, ślicznych Mulatów, bliźniaków, około dziesięcioletnich. Zatkąło mnie, przepełniły mnie złość i smutek. – Złapał mnie za ramię, potrząsnął mną i podniósł głos. – Nie mogłem się z tym pogodzić, rozumiesz?! Próbowałem wyjaśnić Sarah, że to wszystko nie tak. Ona się przestraszyła. Uciekła, ale dogoniłem ją. Złapałem ją za ramię, żeby zmusić do wysłuchania mnie. Powiedziałem, że ją kocham i że zamierzam odnaleźć Annę. Ona zaczęła mi się wrywać, krzyczała... Zaczęła uciekać, przebiegła przez ulicę... Z przeciwnej strony nadjeżdżał samochód, który uderzył w nią z impetem. I Sarah... Sarah zginęła na miejscu, przeze mnie. – Sullivan płakał. Wielkie łzy toczyły mu się po policzkach i spadały do półmiska z ostrygami. Zaczął drżeć. – Nie pamiętam w ogóle, co się potem stało... – wydusił z siebie. – Szok, jakiego doznałem przez to, że przyczyniłem się do śmierci mojej ukochanej, spowodował, że zacząłem zachowywać się jak szaleniec. Kiedy doszedłem do siebie, byłem już zamknięty w Blackwell Hospital, ubrany w kaftan bezpieczeństwa, otumaniony lekarstwami.

Podąłem dziadkowi szklankę wody z lodem, którą postawiono przed nami, jak tylko usiedliśmy przy barze, ale on jakby tego nie zauważył, wolał dolać sobie wina. Wypił i znów złapał mnie za ramię.

– Musisz przyzwyczać się do myśli, że wszystko, co zbudujesz podczas najbliższych dwudziestu lat, zawali się jak zamek z piasku nieodwracalnie zniszczony nadpływającą falą.

– Czy dlatego podarłeś mój list do Lisy?

– Tak. Moja decyzja była słuszna. Ale w końcu dałem jej go, bo była w bardzo złej formie, i pomyślałem, że ten list może jej pomóc. Słabość z mojej strony, która się już nie powtórzy. – Ręce mu się trzęsły. Spojrzał mi w oczy. – Na twoje nieszczęście dostałeś się do tej piekielnej spirali czasu! Nie powtarzaj moich błędów, chłopcze! Nie ciągnij innych za sobą w przepaść!

– Może teraz to się już nie powtórzy... – odezwałem się, próbując przekonać samego siebie.

Wtedy Sullivan wstał, poprawił kaszkiet i rzekł lodowatym tonem:

– Wierz mi, będzie tak samo. Walczysz z losem. To walka nierówna, zawsze z góry przegrana.

19.00

Nowy Jork stał w deszczu.

Przeszedłem przez Amsterdam Avenue, niosąc siatki z zakupami i starając się ochronić głowę marynarką. Na poziomie Sto Dziewiątej Ulicy dostałem się na klatkę schodową Lisy. Po schodach wdrapałem się na ostatnie piętro, wyjąłem spod wycieraczki klucz i wszedłem do znajomego już teraz mieszkania.

– Cześć, Remington.

Zapaliłem lampę w przedpokoju i udałem się do kuchni. Lisa miała wrócić najwcześniej za godzinę. Miałem czas na przygotowanie kolacji, którą jej obiecałem.

Po rozmowie w restauracji odprowadziłem dziadka do domu. Przebrałem się, wziąłem trochę pieniędzy i za jego radą spędziłem godzinę u Stana Falszera, popularnego fachowca od lewych dokumentów z Alphabet City, który zrobił mi zdjęcie do fałszywego paszportu, bo przecież mój mi skradziono.

Potem włóczyłem się po Manhattanie. Nie byłem w dobrym nastroju. Czułem się tragicznie samotny. Jeśli to, co mówił Sullivan, było prawdą, nie miałem żadnych perspektyw, żadnej nadziei. Horyzont przede mną był szczelnie zasłonięty. Byłem kukiełką w ręku lalkarza, który w ciągu trzech tygodni miał amputować najpiękniejsze lata mojego życia.

Żeby całkowicie się nie załamać, postanowiłem myśleć o rzeczach prostych. W księgarni w SoHo kupiłem dwie książki kucharskie i poszedłem do Deana & DeLuki, żeby wypełnić lodówkę Lisy.

– Mam niespodziankę dla ciebie, kocie! – oznajmiłem, wyjmując puszkę z karmą z siatki.

Dałem mu trzy łyżki pasztetu rybnego, a potem rozłożyłem na stole pozostałe zakupy: dwa ananasy Victoria, strączek wanilii, laskę cynamonu, dwie limonki, kilka gwiazdek badianu, pierś kaczą, ziemniaki, słoik miodu, szalotki, główkę czosnku i pęczek pietruszki.

Popatrzyłem na te wszystkie składniki ze strachem. Byłem wychowany na daniach odgrzewanych w kuchence mikrofalowej i sałatkach z opakowań próżniowych. Właściwie nigdy w życiu nie gotowałem. Otworzyłem pierwszą książkę kucharską na stronie „Pierś kaczki z ziemniakami w stylu Sarladaise”, a drugą na stronie „Carpaccio z ananasa”. Przez godzinę starałem się, jak mogłem. Włączyłem radio, wsłuchując się w najświeższe wiadomości, żeby uchwycić choć słowo na temat aktualności, które mi tymczasem umknęły (tragiczny zamach w Oklahoma City, nieoczekiwane uniewinnienie O.J. Simpsona, klęska reformy systemu ochrony zdrowia Billa Clintona...).

Przeskakując z jednej stacji na drugą, wpadłem na jakąś listę przebojów, odkrywając nieznane mi zespoły (Oasis wykonujące *Whatever*) i nowe kompozycje moich ulubionych artystów (*Streets of Philadelphia* Bruce’a Springsteena, *High Hopes* Pink Floydów...).

– Ależ tu pięknie pachnie! – wykrzyknęła Lisa, przekraczając próg mieszkania.

Podrapała w łebek Remingtona i przyszła do mnie do kuchni. Była cała przemoczona od deszczu. Zdjęła płaszcz i chustkę, kładąc wszystko na krześle.

Z uśmiechem na ustach, wesołym głosem i spojrzeniem Chimeny⁶ opowiedziała mi o swoim dniu, podczas gdy ja przygotowywałem kaczkę w miodzie.

Tak jakbym od zawsze był częścią jej życia.

Nie wiem dokładnie, co Sullivan powiedział jej o mnie, ale zdecydowanie musiałem dostać dużo punktów. Lekkość, młodość i bez troska Lisy były zaraźliwe. Kilka minut jej obecności wystarczyło, żebym zapomniał na chwilę o swoich kłopotach i zatonął w chwili obecnej.

Tanecznym krokiem Lisa pobiegła do łazienki i wróciła po chwili w turbanie z ręcznika na głowie.

– Byłam w wypożyczalni, wzięłam film! – powiedziała, wyciągając z torby kasetę VHS. Były to *Cztery wesela i pogrzeb*. – Chcesz, żebyśmy obejrzeli podczas kolacji? Podobno bardzo śmieszne.

Gdy wycierała włosy, ja patrzyłem na jej oczy, które błyszczały w półmroku jak dwa diamenty. Podeszła do mnie i szybkim, nieoczekiwanym ruchem położyła dłoń na moim policzku. Odsunąłem wilgotne kosmyki, które zasłaniały jej twarz. Ustami odnalazłem jej usta. Ona rozpięła mój pasek, ja guziki jej bluzki. Miała świeżą skórę, jej piersi drżały.

– Chodź...

Objęliśmy się silniej i padliśmy na kanapę. Kacza pierś w miodzie przypalała się w kuchni.

7

Od trzech kwadransów wierciłem się w łóżku, starając się dopasować swój oddech do spokojnego oddechu Lisy, która spała koło mnie.

Wciąż tu byłem.

Cyfrowy budzik wyświetlał szóstą trzydzieści dwie.

A ja wciąż tu byłem!

Poprzedniego dnia obudziłem się w metrze za piętnaście szósta. Więc przekroczyłem granicę dwudziestu czterech godzin!

Było ciemno. Wstałem, włożyłem spodnie, przykryłem ramiona Lisy i cicho wyszedłem z pokoju.

Remington czekał na mnie za drzwiami.

W kuchni było lodowato. Sprawdziłem godzinę na kuchence mikrofalowej, podgrzewając sobie filiżankę kawy. Na zewnątrz były pioruny, po szybie spływały strumienie deszczu.

Otworzyłem okno i oparłem się rękami o parapet, oglądając wstający świt. Lało jak z cebra. Niebo było brudne, horyzont ołowiany.

Deszcz uderzał mnie w policzki. Na skrzyżowaniu Sto Dziesiątej Ulicy i Amsterdam Avenue sprzedawca hot dogów ciągnął swój wózek w strugach deszczu. Nagle obraz ten zamazał się i stał się niewyraźny. Przed oczami zobaczyłem niepokojące czarne punkty, które zmieniały się w plamy.

Serce zaczęło mi walić jak młotem, gdy rozpoznałem napływający od ulicy kwietny, słodki zapach bułeczek z syropem z kwiatu pomarańczy, które matka piekła dla mnie, kiedy byłem dzieckiem.

Zadrzałem jak od porażenia prądem, filiżanka wyleciała mi z ręki i rozbiła się.

Remington histerycznie miauknął.

Moje ciało zesztyniało, czułem, jakbym się roztopiał.

I roztopiłem się.

Część trzecia
Znikający człowiek

1996

Szekspir w parku

Doświadczenie to nie to, co się człowiekowi przydarza, lecz to, co człowiek z tym robi.

Aldous Huxley

0

Powietrze lepkie, duszące.

Nieprzyjemny zapach starego wysmażonego oleju, brudnej kuchni, wnętrza zmywarki.

Leżę półnagi na ciepłej podłodze, w miejscu oblanym światłem. Czuję, jak po szyi i pod pachami spływa mi pot. Ponieważ jest bardzo jasno, oczy mi łzawią, jakby ktoś tuż obok obierał cebulę.

Gestem ręki przepędzam muchy, które latają nad moją twarzą. Znam już ten cały proces: spuchnięte powieki, czuję się połamany, wszystko mnie boli, mam straszliwą migrenę, słyszę jakby bzyczenie, mam nieprzyjemne wrażenie braku czucia w nogach.

Otwieram oczy i staram się podnieść ze śliskich tłustych kafelków. Gdy już stoję, robi mi się niedobrze od zapachu zepsutej kapusty.

Jestem zupełnie sam w wielkim prostokątnym pomieszczeniu oblanym palącym słońcem.

1

Ramieniem obcieram pot z twarzy. Wokół siebie widzę płyty kuchenne, wielki zlew z sześcioma komorami, blat, ogromny gar do smażenia frytek, stulitrowe kotły, kilka elektrycznych pieców, rożen, taśmociąg... pod ścianami stoją szafy z nierdzewnej stali, pod sufitem zamontowano ogromne wyciągi wentylacyjne.

Najwyraźniej znalazłem się w jakiejś wielkiej kuchni, takiej, w jakie wyposażone były kantyny, fabryki, stołówki przemysłowe.

Co ja tu robię, do diabła?!

Na jednej z półek staromodny budzik z bakelitu wskazywał pierwszą po południu.

Podszedłem powoli do najbliższego okna, otworzyłem je, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i sprawdzić widok na zewnątrz. Jedno było pewne, tym razem bez

wątpienia nie znajdowałem się na Manhattanie. Jak okiem sięgnąć, widziałem hangary, magazyny, kominy fabryczne. Znajdowałem się w samym środku jakiegoś przedmieścia przemysłowego, które okrążała widoczna w oddali autostrada oraz jakaś rzeka. Otworzyłem drugie okno znajdujące się po przeciwnej stronie pomieszczenia. W końcu zauważyłem w oddali zarys wieżowców Manhattanu. Mrużąc oczy, odgadywałem sylwetkę Empire State Building, strzałę Chryslera, metalową strukturę Queensboro Bridge.

Zastanowiłem się. Teraz wydało mi się, że wiem, gdzie jestem – gdzieś na południu Bronxu. Niewątpliwie na półwyspie Hunts Point, tam gdzie mieściły się wszystkie hurtownie Nowego Jorku: owoców, warzyw i mięs.

Odwróciłem się i skierowałem do jedyne go wyjścia z tego pomieszczenia: były to drzwi przeciwpożarowe z ocynkowanej stali i były... zamknięte.

– Hej! Jest tam kto?!

Cisza.

Zacząłem szukać gaśnicy, żeby posłużyć się nią jak młotem, ale nigdzie jej nie znalazłem.

Pull in case of fire

Napis na alarmie przeciwpożarowym podsunął mi pewien pomysł. Opuściłem rączkę, ale nic się nie wydarzyło: ani nie usłyszałem syreny, ani nie zobaczyłem sygnałów świetlnych.

Zawiedziony wróciłem do okna. Znajdowałem się około dwudziestu metrów nad przepaścią. Niemożliwe, by wyjść tędy bez złamania karku.

Mimo przeciągu w pomieszczeniu było gorąco jak w piecu, podczas gdy na zewnątrz zanieczyszczone powietrze przynosiło silny zapach nawozów chemicznych. Na zachód od Bronx River zamknięte tereny i doki ciągnęły się przez całe kilometry. Kilka ciężarówek i furgonetek krążyło wokół dojazdu do autostrady, ale w sumie nie było tu dużego ruchu.

Wokół były tylko puste parkingi i okna pustych budynków. Mogłem się założyć, że to weekend.

Co za pech...

– Hej! Heeeej! – wrzasnąłem co sił w płucach.

Na darmo. Powoli zaczynałem rozumieć, że tu, gdzie się znalazłem, nikt nie mógł mnie ani zobaczyć, ani usłyszeć.

Zacząłem spacerować po mojej „celi”, szukając rozwiązania. Na ścianie przypięty był kalendarz z dziewczynami pin-up. Ubrana w monokini Miss Sierpnia 1996 była ładną zmysłową brunetką ze sterczącymi sutkami. Oparta o bar na plaży piła koktajl z połówki wydrążonego ananasa.

Obliczenia zajęły mi niewiele czasu. Jeśli była połowa lata, to tym razem zrobiłem skok o ponad dziewięć miesięcy.

Szybko przejrzałem resztę umeblowania tego lokum: regały, wózki transportowe, wielka szafa z nierdzewnej stali przypominająca szafki w szatni z zamkiem szyfrowym.

Przez następną godzinę zastanawiałem się, jak wyjść z tego więzienia. Zdemontowałem podwieszany sufit, kanalizację, przejrzałem przewody wentylacyjne śmietnika, spróbowałem wyłamać metalowe drzwi za pomocą sitka do frytek i szczypiec do spaghetti.

Wszystko na nic.

Ze stresu zupełnie wyschło mi w gardle. W jednej z lodówek znalazłem jakąś okropną lemoniadę o zapachu gumy do żucia i kawałek starego sernika. Powąchałem go sceptycznie, ale byłem tak głodny, że nietrudno było mnie złamać.

W jednym z kątów znajdował się stary telewizor umocowany pod sufitem. Pilot leżał na ochładzanym wózku do przewożenia dań. Włączyłem aparat. Przez ekran przewijały się obrazy z wydarzeń sportowych, zawodów lekkoatletycznych, pływania i tenisa. Rozpoznałem Carla Lewisa, Michaela Johnsona i Andre Agassiego. Obejrzałem końcówkę reportażu, jedząc sernik, a potem na ekranie pojawił się komentator, w kasku i z mikrofonem.

Tak się kończy nasza retrospektywa XXVI Igrzysk Olimpijskich, które trwały tu, w Atlancie, od 19 lipca do 4 sierpnia. Olimpiada zakończy się ceremonią zamknięcia transmitowaną dziś wieczorem przez NBC bezpośrednio ze Stadionu Stulecia...

Przy dacie aż podskoczyłem. Tak więc był to 4 sierpnia 1996 roku.

Moje urodziny.

Moje trzydzieste urodziny.

Pięć lat upłynęło od pamiętnego czerwcowego ranka 1991 roku, gdy zjawił się u mnie ojciec, żeby obdarować mnie tym parszywym spadkiem, jakim okazała się Latarnia Dwudziestu Czterech Wiatrów.

Pięć lat, które minęły w pięć dni.

Parzyłem na własne odbicie w małym lusterku nad podręczną umywalką.

Pierwszy raz patrzyłem na swoje odbicie w lustrze, odkąd zaczął się ten koszmar. Trochę się postarzałem: twarz miałem zmęczoną, nieświeżą. Żrenice rozszerzone, cienie pod oczami, jakbym przehulał całą noc. Na razie nie miałem jeszcze zmarszczek i wyglądałem nieźle, ale moje rysy stwardniały i wyostrzyły się. Spojrzenie miałem ponure, włosy straciły złoty poblask. Najbardziej zdziwiło mnie to, że z mojej twarzy ulotniły się wszystkie atrybuty nastolatka. Przepadły gdzieś niewinność, wdzięk zaokrąglonych policzków...

Wszystkiego najlepszego, Arthurze...

2

15.00, 16.00, 17.00... północ,
1.00, 2.00, 3.00, 4.00

Rozdrażniony i zmęczony krążyłem po tym zamkniętym pomieszczeniu jak lew po klatce. Próbowałem wszystkiego, żeby się uwolnić. Ponieważ zrozumiałem, że nie uda mi się otworzyć przeciwpożarowych stalowych drzwi, przewróciłem stalową szafę. Bawiąc się pięcioma zamkami, wprowadziłem około setki różnych kombinacji cyfrowych, ale możliwości były nieskończone i szyfr pozostał niezłamany.

Znużony, próbowałem wszelkimi sposobami wyłamać zamek. Użyłem wszystkiego, co miałem pod ręką: wygiętej łyżki, łopatki do frytek, stalowej osełki...

– A, do cholery z tym! – wrzasnąłem, rzucając metalową łyżkę w kąt pomieszczenia, i półprzytomny z wściekłości zacząłem walić pięściami w metalowe drzwi.

Co za koszmar za koszmarem! Jak można się pogodzić z faktem, że w ciągu jedynych dwudziestu czterech godzin, które jest mi dane przeżyć w tym roku, mam pozostać uwięziony w tym cholernym miejscu?

Nagle wybuchnąłem płaczem. Płacz nadszedł niespodziewanie, widocznie to cierpienie było ponad moje siły. Czułem się okropnie sam. Bałem się straszliwie. Klątwa latarni wykańczała mnie. Przez ostatnie pięć dni – w rzeczywistości pięć lat – żyłem z głową pod wodą, niezdolny do działania, nie rozumiejąc niczego. Nie wiedziałem, jak mam się wydostać z tej pułapki.

Znów podszedłem do okna. Przyciągał mnie widok dwudziestometrowej przepaści, która dzieliła mnie od ziemi. Gdybym skoczył, wszystko by się skończyło. Natychmiast. Koniec z bólem, koniec ze strachem, koniec z przekleństwem latarni.

Ale i w ogóle koniec wszystkiego...

Bóg wie czemu przypomniało mi się to, co powiedział Frank, kiedy odchodził tej pamiętnej soboty: „Od trzydziestu lat ta tajemnica jest moją obsesją, i uważam, że jesteś jedynym człowiekiem, który może ją odkryć”.

Wytarłem łzy. Było ostatnią naiwnością szukać pocieszenia w słowach kogoś, kto zawsze mnie okłamywał, ale przyczepiłem się do nich mimo wszystko. Z braku czegoś lepszego.

Wróciłem do metalowej szafy, podniosłem jakieś walające się na podłodze narzędzie – konkretnie skrobak do elektrycznej patelni – i zacząłem pracować nad tym meblem, starając się zamienić wściekłość w pozytywną energię. Po półgodzinie ustąpił pierwszy zamek. Skorzystałem z tej wolnej przestrzeni i wsunąłem w nią stalową ostrzałkę do noży. Kilkakrotnie szarpiąc rączką, udało mi się wywalić dwa pozostałe zamki.

W końcu!

Z nieufnością popatrzyłem na zawartość szafy, ale nie zawiodłem się: duże ścierki, płócienne fartuchy, marynarki kucharzy, T-shirty... Włożyłem na siebie polo, uniform kucharza i znalazłem nawet starą parę roboczych butów Caterpillar, prawie mojego rozmiaru.

Cierpliwie zacząłem robić sznur, wiążąc z sobą wszystkie te ubrania. Kiedy wydał mi się dostatecznie długi i wystarczająco mocny, przywiązałem go solidnie do ramy okiennej i ześlizgnąłem się po zewnętrznej ścianie budynku. Trząśłem się jak galareta. W głowie mi się kręciło i miałem mdłości. Starłem się nie patrzeć w dół i ugiąłem nogi w kolanach, opierając stopy o fasadę. Bardzo wolno zsunąłem się o pięć metrów, potem o dziesięć, piętnaście...

Nagle usłyszałem głośny trzask. Lina, która wydawała mi się solidna, zaczęła się drzeć. Kiedy się zerwała, spadłem z wysokości kilku metrów i potoczyłem się skulony

po asfalcie. Więcej było strachu niż bólu. Wstałem i przez chwilę błąkałem się po terenie, z którego odjeżdżały i na który przyjeżdżały ciężarówki. Kiedy przytelepałem się do wylotówki na autostradę, zacząłem zatrzymywać samochody. Dopiero po jakichś dwudziestu minutach przystanęła wielka furgonetka, prowadzona przez dwóch Murzynów, braci. Dowiedziałem się, że mieli sklep z warzywami i owocami w Spanish Harlem. Byli bardzo sympatyczni. Słuchali na cały regulator reggae z samochodowego radia i beztrzesko zaciągali się skrętami z nieokreślonych substancji. Odmówiłem, kiedy mnie poczęstowali, ale chętnie przyjąłem wodę i nektarynki. Kiedy dotarliśmy do północnego Manhattanu, zrobili objazd do Morningside Heights i zostawili mnie na rogu Sto Dziewiątej Ulicy i Amsterdam Avenue.

Była siódma rano.

3

– Jak śmiesz się tu pokazywać, ty draniu?! Spadaj! Nie chcę cię więcej widzieć! – zaczęła mi ubliżać Lisa i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Nasze przywitanie nie trwało nawet dziesięciu sekund.

Przyszedłem pod jej drzwi z bijącym sercem, z naiwnym entuzjazmem, ale jej nie spieszyło się, żeby mi otworzyć. Nadstawiając ucha, usłyszałem bardzo wyraźnie jakiś męski głos za drzwiami, co wbiło mi w pierś pierwszą strzałę.

A czego oczekiwałeś, mój drogi Arthurze?

Kiedy w końcu zdecydowała się mi otworzyć, z ulgą ją ujrzałem, urzekającą jak zwykle. Ubrana była w seksowną bladoniebieską koszulkę nocną, zmieniła uczesanie i teraz miała równo obciętą grzywkę i długie proste włosy. Ale jej turkusowe oczy pociemniały, były teraz ciemnogrnatowe i patrzyły na mnie z pogardą i wrogością. Miałem właśnie powiedzieć, jak bardzo byłem szczęśliwy ze spotkania z nią, kiedy zaczęła mnie wyzywać od najgorszych.

Nie dałem się zniechęcić, ale trzymałem palec na dzwonku dłużej niż minutę.

– Uspokój się, koleś!

Jakiś barczysty wielkolud z nagim torsem pojawił się w uchylonych drzwiach.

– Może jesteś głuchy, ale Lisa prosiła cię grzecznie, żebyś stąd spierdalał! – powiedział, patrząc na mnie z pogardą, a kiedy zauważył moje ubranie kucharza, uśmiechnął się drwiąco.

Przystojniak był ode mnie o dwie głowy wyższy. Miał na sobie obcisłe bokserki, które miały podkreślać jego męskie atuty, i kaloryfer na brzuchu.

– Ty się lepiej nie wtrącaj! – rzuciłem, nie dając się zastraszyć.

Chciałem się wepchnąć przez drzwi, ale on chwycił mnie za szyję i rzucił na schody, po czym zatrzasnął drzwi.

Trudna sprawa, pomyślałem, siadając na stopniach.

Upadając, zraniłem sobie ramię. Masowałem nadgarstek, oparty o poręcz, kiedy zauważyłem Remingtona, który wskoczył mi na rękę.

– Witaj, stary przyjacielu!

Kot przysunął łebek w oczekiwaniu na pieszczoty, a ja wpadłem na pomysł.

– Elizabeth, mam twojego kota jako zakładnika! – krzyknąłem wystarczająco głośno, żeby mnie usłyszała. – Jeśli chcesz go odzyskać, zejź na dół.

Znowu zacząłem nadstawiać ucha i usłyszałem kilka niewyraźnych słów, które dały mi jednak pewną nadzieję. „Mówiłam ci, żebyś uważał na kota!” – rzuciła Lisa do swego przystojniaka, który coś tam jej odburknął.

– Jeśli zależy ci na biednym Remingtonie, nie przysyłaj do mnie swojego ochroniarza! – uprzedziłem, schodząc ze schodów.

Niecałą minutę później na ganku pojawiła się Lisa. Była w dziurawych dżinsach, w starych nike’ach air maxach i kusym topie.

– Oddawaj mojego kota!

– Oczywiście, że ci go oddam, ale najpierw musisz mnie wysłuchać!

– Nie, nie zasługujesz na to! Rok temu uciekłeś nad ranem jak złodziej, nie zostawiłeś listu i nawet nie zadzwoniłeś do mnie!

– To prawda, Liso, ale miałem ważny powód.

Nie spytała, co to był za powód, tylko nadal robiła mi wyrzuty.

– Wygląda na to, że zapomniałeś, ale tamtej nocy dużo rozmawialiśmy. Ponieważ uratowałeś mi życie, ja zwierzyłam ci się z bardzo osobistych spraw. Miałam do ciebie zaufanie. Myślałam, że jesteś inny.

– W pewnym sensie jestem inny.

– Tak, jesteś jeszcze gorszy. Co ty sobie myślisz?! Że rzucam się na szyję wszystkich przechodzących koło mnie facetów?!

– W każdym razie niedużo czasu zajęło ci znalezienie mojego zastępcy!

– Bezczelny cham! – prychnęła wojowniczo. – Przecież nie wróciłeś!

Podniosła rękę, żeby mnie spoliczkować, ale chwyciłem ją w ostatniej chwili. Remington skorzystał z tego i zeskoczył na chodnik. Lisa wzięła go na ręce i zawróciła do klatki schodowej.

– Zaczekaj, pozwól, muszę ci to wyjaśnić! – wykrzyknąłem rozkazującym tonem.

– Nie trać energii, Arthurze, Sullivan już mi wszystko opowiedział.

Zrównałem się z nią.

– Jak to?! Co on ci naopowiadał?

– To, co powinien powiedzieć mi dużo wcześniej: że robisz tak ze wszystkimi kobietami, że jesteś żonaty, że masz dzieci...

Co?! Mój dziadek, ale bydlę...

Wybiegłem przed nią i zastawiłem jej drogę, żeby nie mogła wejść do budynku.

– Pozwól mi przejść!

– Przysięgam ci, że to wszystko nieprawda!

– Dlaczego twój dziadek miałby mnie okłamywać?

– Bo on jest nienormalny!

Lisa potrząsnęła głową.

– Ach, nie, nie wierzę ci! Jestem z nim w kontakcie. Wpadam do niego dwa razy w tygodniu i wierz mi, jest jak najbardziej normalny.

– Posłuchaj, Liso... To długa historia.

– Być może, ale ja nie mam ani ochoty, ani czasu jej wysłuchać.

MacDougal Alley

9.00

– Witaj, chłopcze! – przywitał mnie Sullivan na progu swego mieszkania.

– Przestań! Nie jestem żadnym chłopcem!

Rozłożył ramiona, żeby mnie objąć, ale nie byłem w nastroju na czułości. Wszedłem do mieszkania bez przywitania.

– Czuj się jak u siebie w domu! – westchnął dziadek.

I tak właśnie zrobiłem. Wszedłem po schodach do łazienki i zrzuciłem te ośmieszające mnie łachy. Absolutnie jak najszybciej musiałem wziąć prysznic. Czuć było ode mnie pot oraz odór kapusty, w którym zbyt długo przebywałem. Stojąc pod silnym strumieniem gorącej wody, wylałem na siebie pół flakonu płynu do kąpieli, żeby porządnie zmyć z siebie zapachy kuchni z Bronxu. Potem skropiłem się niemodną wodą kolońską Sullivana, w której lubiłem nutę lawendy.

W końcu w „mojej” sypialni włożyłem bawełniane spodnie, koszulę z krótkimi rękawami i lnianą marynarkę. Na komodzie znalazłem cztery banknoty pięćdziesięciodolarowe, z pewnością zostawione dla mnie przez dziadka.

Wsunąłem pieniądze do kieszeni i nie tracąc czasu, zszedłem na dół. Z kolumn głośnikowych rozchodziła się muzyka Billa Evansa, *You Must Believe in Spring*, słynna melodia skomponowana przez Michela Legranda.

Sullivan z cygarem w ustach siedział przy stole w salonie przed laptopem. Na nosie miał małe okulary i wpatrywał się w ekran, na którym było pełno danych giełdowych.

– Co to jest? – spytałem, wskazując na ekran. – Jakiś CD-ROM?

– To jest strona giełdowa, do zawierania transakcji w internecie.

Rozdziawiłem gębę ze zdziwienia.

– Strona w internecie?

– Połączenie komputerowe z giełdowym serwisem informacyjnym, jeśli wolisz. Dzięki internetowi możesz dokonywać transakcji giełdowych u siebie w domu.

– Co to jest internet?

Dziadek nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Mam siedemdziesiąt pięć lat i to ja będę ci wyjaśniał, co to jest internet...

– Oszczędź mi tych ironicznnych uwag, bardzo cię proszę!

– Och, jaki jestem delikatny! A więc internet to ogólnosiwiatowy system połączeń między komputerami, który pozwala na wymianę informacji i korzystanie z wielu serwisów, takich jak...

Przerwałem mu.

– Dziadek zna się na giełdzie?

– Dokonałem kilku lukratywnych transakcji na początku lat pięćdziesiątych – odpowiedział z fałszywą skromnością. – Potem odwrócił ekran w moją stronę. Zobaczyłem różne wykresy. – Zaczyna się właśnie niezwykły okres: nowoczesne technologie bardzo szybko się rozwijają, a to dopiero początek. Od roku inwestuję na

giełdzie i już podwoiłem swój kapitał, wyobrażasz sobie? Gdyby kiedyś mi powiedziano, że można tak łatwo zarobić pieniądze!

Wszedłem za bar i zawiesiłem marynarkę na poręczy wysokiego krzesła. Obok butelek whisky stał stary włoski ekspres do kawy. Żeby ochłonać, przygotowałem sobie podwójne espresso z kroplą brandy.

– Jak ty możesz kupować czy sprzedawać akcje, jeśli nie masz nawet konta bankowego?

Dziadek wzruszył ramionami.

– Pod innym nazwiskiem, to łatwizna. Wyobraź sobie, że Lisa pozwala mi korzystać ze swego konta, w zamian za co wypłacam jej procent od swoich zarobków.

Ledwo się opanowałem.

– A właśnie, porozmawiajmy o Lisie! Dlaczego naopowiadałeś jej o mnie tych horrendalnych kłamstw?!

– Bo ciekawe kłamstwo jest lepsze niż nieciekawa prawda. A tak na poważnie, co chciałbyś, żebym jej powiedział? – Wstał i nalał sobie kieliszek koniaku, nie interesując się nawet kawą. – Uprzedzam cię, że będę cały czas cię oczerniał.

– Ale, do cholery, dlaczego?!

– Nie wolno ci więcej spotkać się z Lisą, to wszystko. Jeśli masz ochotę na kobietę, weź pięć stów, są w sejfie, bary i eleganckie hotele pełne są łatwych dziewczyn.

– Naprawdę w końcu oberwiesz ode mnie po mordzie!

Sullivan wypił zawartość swego kieliszka.

– To wszystko dla dobra Lisy i twojego też.

– W takim razie nie wtrącaj się w moje sprawy. Jestem wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co jest dla mnie dobre, a co nie.

Dziadek potrząsnął głową.

– Nie w twojej sytuacji. Pamiętaj, że ja przeszedłem już przez to, co się tobie teraz przydarza...

– Właśnie, oczekiwałem raczej pomocy z twojej strony!

– No to pomagam ci, odwodząc cię od spotkania się z tą dziewczyną! Skrzywdzisz nie tylko ją, ale i siebie. – Położył mi dłoń na ramieniu i rzekł poważnie: – Widziałeś, do czego to wszystko mnie doprowadziło: zabiłem ukochaną kobietę i ponad dziesięć lat spędziłem w szpitalu psychiatrycznym.

– Dzięki ci za te wszystkie rady, ale to nie daje ci prawa decydowania o moim życiu! Zresztą to przez ciebie znalazłem się w tej sytuacji.

Dziadek zaprotestował:

– Nie możesz zrzucić na mnie odpowiedzialności za wszystkie swoje błędy! To byłoby zbyt proste.

– Ja o nic nikogo nie prosiłem! Żyłem sobie spokojnie! To Frank do mnie przyszedł, Frank, twój syn! Twój syn, który stał się okropnym facetem, bo go porzuciłeś, żeby związać się z tą Sarah! Taka jest prawda!

Dziadek chwycił mnie za kołnierzyk koszulki polo. Mimo wieku był jeszcze silny jak byk.

– Uważaj, co mówisz, smarkaczu!!

– Nie boję się ciebie! – wykrzyknąłem, przypierając go do ściany. – Nie zapominaj, że jeśli jesteś tutaj, jeśli możesz sobie słuchać jazzu, pić whisky, palić cygara, grać na

giełdzie przez komputer, to tylko dzięki mnie! To ja wyciągnąłem cię z tego szpitala! Ja! Nie twój syn, nie twoi kumple, nie mój brat ani moja siostra, ale ja!

Dziadek spuścił oczy, a ja wyrwałem się z jego uścisku.

– Nie chcę cię już nigdy widzieć, Sullivanie! – powiedziałem, wkładając marynarkę. – Spróbuję naprawić stosunki z Lisą, ale nie waż się już nigdy rozmawiać z nią o mnie. – Byłem już w korytarzu, nie mogłem jednak się powstrzymać i zanim zamknąłem za sobą drzwi, rzuciłem na odchodnym: – Jeśli jeszcze będziesz mi bruździł, przysięgam, że następnym razem odstawię cię z powrotem do tego szpitala!

5

– Lisa, jeśli tam jesteś, otwórz!

Taksówką dojechałem pod jej dom na Amsterdam Avenue. Od minuty stukąłem do drzwi, ale w mieszkaniu panowała cisza, tylko kot miauczał od czasu do czasu.

Było prawie południe. Gdzie ona mogła być w środku lata, w pierwszą niedzielę sierpnia? Nie w Juilliard School w każdym razie ani nie w tym barze w East Village.

Zszedłem na dół. Kierowca taksówki – sikh w turbanie – zaparkował swojego forda crowna w wąskiej alejce i jadł drugie śniadanie w cieniu ginkgo biloba. Oparty o maskę samochodu, odgryzał wielkie kęsy pity.

Zdezorientowany rozglądałem się, szukając natchnienia, czekając na jakiś znak.

Skrzynki pocztowe...

Na klatce schodowej ze wszystkich skrzynek wystawała jakaś różowa reklama. Kiedy byłem tu dziś rano, z pewnością nie było tu tych prospektów, a ktoś, kto je roznosił, specjalnie wsadził je tak, żeby wystawały.

Wyciągnąłem jedną z różowych kartek i rozpoznałem szkic twarzy Szekspira z łysiejącą głową, wąsami i ostrą bródką. Krótki tekst w formie zaproszenia głosił:

*Z okazji XXXIV Festiwalu Szekspirowskiego w Parku
w niedzielę, 4 sierpnia, o godzinie 13.30
studenci ostatniego roku Juilliard Drama School
odegrają sztukę Williama Szekspira pt.
Sen nocy letniej
w audytorium Delacorte Theater.
Wstęp wolny*

Podziękowałem niebiosom: tam na pewno znajdę Lisę!

Mój kierowca skończył kanapkę, pokazałem mu więc prospekt. Włączył silnik. Było wczesne popołudnie, bardzo duszne. Chodniki Manhattanu były oblane palącym słońcem. Nigdy jeszcze ruch nie wydał mi się tak płynny. W niecałe dziesięć minut, przejeżdżając wzdłuż Central Park West, dotarliśmy do muzeum przyrodniczego. Sikh zostawił mnie przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, wyjaśniając, jak mam się dostać

do audytorium. Zapłaciłem mu, podziękowałem i przeszedłem przez ulicę, wchodząc do Central Parku.

Banderole zawiadamiały o przedstawieniu. Znałem tę sztukę, grałem w niej w liceum. Idąc za wskazówkami kierowcy taksówki, wkrótce znalazłem się przed teatrem na wolnym powietrzu, pośród drzew, kilka kroków od Belvedere Castle. To w tym bukolicznym miejscu co roku od trzydziestu lat wystawiano bezpłatnie repertuar mistrza ze Stratfordu.

Okrzyżłem audytorium. W parku były tłumy: turyści, amatorzy teatru, dzieci, które rzuciły się na ulicznych sprzedawców lodów i lemoniady.

Zauważyłem Lisę. Stała w towarzystwie aktorów ze swojej trupy, pod wielkim namiotem zainstalowanym w plenerze, który służył za wspólną garderobę. Rozpoznałem modela – pana Kaloryfera na Brzuchu – który dał mi w gębę na klatce schodowej. Teraz zamienił swoje markowe bokserki na niewiele więcej ukrywający kostium Demetriusza. Lisa zaś z wdziękiem nosiła błyszczący diadem i urokliwą suknię Tytanii, królowej elfów. Rola ta pasowała do niej jak ulał.

Powiedzieć, że nie była zachwycona moim widokiem, byłoby eufemizmem. Kaloryfer na Brzuchu chciał nie dopuścić do naszego spotkania, ale tym razem byłem czujny, i to ja zacząłem bójkę, kopiąc go w podbrzusze, co zważyło go na ziemię.

Ponieważ zaatakowano ich przyjaciela, Tezeusz, Egeusz i Lizander postanowili rzucić się na mnie, ale Tytania na to nie pozwoliła.

– Arthurze! Co ja ci złego zrobiłam?! Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?!

Było w jej słowach tyle urazy, że przez chwilę naprawdę zacząłem się zastanawiać, czego chcę od tej dziewczyny.

– Liso, naprawdę musisz mnie wysłuchać!

– Mam co innego do roboty! Niedługo zaczyna się występ. Od ponad pół roku przygotowuję się do występu w tej sztuce. To dla mnie bardzo ważne!

– Wiem, ale moja sprawa nie może czekać. Oto, co ci proponuję: wysłuchasz mnie, a potem, jeśli zdecydujesz, że nie chcesz mnie już więcej widzieć, obiecuję, że zniknę z twojego życia.

– Zgoda! – westchnęła. – Daję ci dziesięć minut.

Odeszliśmy na bok. Ponieważ suknia Lisy była długa i do pleców miała przyczepione wielkie anielskie skrzydła z metalowego drutu, nie mogliśmy odejść zbyt daleko. Przysiedliśmy na jednej z ławek w cieniu jakieś dziesięć metrów od namiotu.

Obok nas nie więcej niż pięcio-, a może sześciolatek rudzielec w okularach lizał lody w rożku, popisując się przed Lisą, podczas gdy jego matka była zatopiona w lekturze ostatniej powieści Johna Le Carrégo.

– Dobrze, więc co jest tak ważne, że nie może poczekać? – odezwała się zirytowana Lisa.

– Nigdy mi nie uwierzysz. To, co mi się przydarza, jest niewyobrażalne... ale dzieje się naprawdę.

– Streszczaj się, dobra?

Wziąłem głęboki oddech, jak przed nurkowaniem, i przez dziesięć minut, nie dając jej dość do głosu, opowiedziałem o wszystkim: o latarni, o stalowych drzwiach w piwnicy, o tym, jak znalazłem się w katedrze Świętego Patryka, o pierwszym razie, kiedy zaskoczyłem ją pod prysznicem, o tym, jak ją uratowałem, kiedy obudziłem się

w pracowni jej byłego chłopaka, o dramacie Sullivana, o klątwie dwudziestu czterech wiatrów...

Kiedy doszedłem do końca opowieści, ze strachem czekałem na to, co ona powie.

– Więc jeśli dobrze zrozumiałam, nie zadzwoniłeś do mnie, bo żyjesz tylko jeden dzień w roku? – spytała spokojnie.

– Tak. Według mojego pokręconego czasu rozstałem się z tobą wczoraj, ale dla ciebie upłynął prawie rok.

– A gdzie jesteś, jak cię nie ma?

– Nigdzie, właśnie! Nie istnieję.

– A jak to się odbywa? Wyparowujesz? – spytała ironicznie. – Tak jak w *Star Treku*?

– Ulatniam się, to wszystko. To nie żadna moc superbohatera ani magia w stylu Davida Copperfielda.

Lisa roześmiała się nerwowo.

– Wyciągnąłeś swego dziadka ze szpitala psychiatrycznego, a tymczasem zdajesz sobie sprawę, że to ty powinieneś się tam znajdować? – Usłyszałem sarkazm w jej głosie, ale jednocześnie ciekawość i niepokój. – Więc co, dziś znikniesz po prostu przede mną?

– Boję się, że tak.

Byłem nawet tego pewien. Od kilku sekund czułem mrowienie w członkach, przed oczami pojawiły mi się czarne plamki i poczułem słodki zapach kwiatu pomarańczy. Ze wszystkich sił starałem się ignorować te impulsy, odpychać je, zapomnieć o nich. Musiałem zostać tu jeszcze chwilę.

Lisa siedziała wciąż obok mnie, zamyślona. Odgadywałem, że jest zdezorientowana. Rozumując logicznie, już dawno powinna uciec ode mnie, ale coś ją jednak tu trzymało.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła. – To może nie jest ważne, ale...

Obudziła moją ciekawość, lecz nie dokończyła zdania.

Nagle zacząłem cały drzeć, z początku nieznacznie, wkrótce potem coraz gwałtowniej. Nie mogłem już tego opanować. Rozejrzałem się, bojąc się o konsekwencje, gdyby ktoś to zobaczył. Ale z wyjątkiem małego rudzielca w okularach nikt na mnie nie patrzył.

– Liso, mów dalej, proszę cię...

Ale Lisa milczała, skamieniała na widok tego, co zaczęło się przed nią dziać.

W uszach mi dzwoniło. Pojawił się ten znajomy odgłos wsysania i odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że się roztapiam.

– Arthurze! – krzyknęła Lisa.

Ale moje ciało już znikło.

Ponieważ to nie było jednoczesne, jak sobie wówczas zdałem z tego sprawę, mój „duch” został jeszcze na miejscu przez dwie lub trzy dodatkowe sekundy.

Dokładnie tyle, żebym ujrzał Lisę w jej pięknej sukni mdlejącą i upadającą na trawnik.

Na ławce obok rudzielec upuścił rozek z lodami i zaczął szarpać matkę za rękę.

– Widziałaś, mamó? Widziałaś? Królowa elfów sprawiła, że znikł jej narzeczony!

1997

Wyjątkowy dzień

*Gdzie mogło uciec moje serce od mego serca?
Gdzie ja mogłem uciec od siebie?*

Święty Augustyn

0

Tym razem przebudzenie jest raczej miłe. Prawie „przytulne”.

Budzę się w zapachu ciepłego pieczywa. Gdy otwieram oczy, leżę na brzuchu, z nosem na posadzce w wiejskim stylu, z terakoty. Trochę mniej bolą mnie stawy, migrenę mam również lżejszą, lepiej oddycham. Z łatwością wstaję i rozglądam się.

Widzę najpierw wielką mieszarkę do ciasta, krajalnicę do pieczywa, szafę do fermentacji, piec z wózkiem do rogalików i bułeczek. Worki z juty, papierowe torebki, na których jest napisane: „Pod Ciepłym Rogalikiem – French Bakery since 1974”.

Strącam mąkę z marynarki i spodni: oto obudziłem się na tyłach rodzinnej piekarni.

1

Usłyszałem, jak ktoś chodzi na piętrze. W pośpiechu, zanim wymknąłem się przez murowane schody prosto na ulicę, nabrałem trochę rogalików i bułeczek do papierowej torebki.

Wylądowałem w wąskim, brukowanym ślepym zaułku biegnącym prostopadle do Bowery, na granicy Little Italy i Nolity. Właśnie wstawał dzień. Srebrzysty księżyc zniknął za wieżowcami. Na wystawie jakiegoś sklepu zobaczyłem błyszczącą tabliczkę z wyświetloną godziną: była szósta dwadzieścia pięć.

Teraz już miałem swoje przyzwyczajenia i zależało mi, żeby się ich trzymać: moneta wrzucona do dystrybutora gazet, odkrycie treści pierwszej strony „New York Timesa”. Tym razem był 31 sierpnia 1997.

Minęło więc trzynaście miesięcy od czasu mojej poprzedniej wizyty. Mimo że teraz się tego spodziewałem, ciężko mi było przełknąć nowinę, że otwieram oczy i oto jest rok później, rok, który minął jak pstryknięcie palcami.

Tego ranka na pierwszej stronie gazet widniało zdjęcie księżnej Diany.

Księżna Diana ginie w wypadku samochodowym w Paryżu

Złapałem taksówkę i już w samochodzie przebiegłem wzrokiem pierwsze zdania artykułu.

Diana, księżna Walii, zmarła tej nocy w Paryżu z powodu obrażeń odniesionych na skutek wypadku samochodowego, który miał miejsce chwilę po północy w tunelu biegnącym wzdłuż Sekwany (...). Według francuskich stacji radiowych oburzony rzecznik prasowy rodziny królewskiej stwierdził, że biorąc pod uwagę agresywność paparazzich wobec księżnej, wypadek ten można było przewidzieć.

Kiedy dojechałem do budynku przy Amsterdam Avenue, byłem zdecydowany zachować się tak, jak obiecałem. Jeśli tym razem Lisa będzie niezadowolona z mojej obecności, zamierzałem odejść i nigdy więcej już się jej nie narzucać.

Sprawdziłem, czy jej nazwisko figuruje wciąż na skrzynce listowej, wbiegłem po schodach i zdecydowanie nacisnąłem dzwonek. Po kilku sekundach usłyszałem dźwięk zbliżających się kroków i odgadłem, że ktoś spogląda na mnie przez wizjer w drzwiach. Kiedy drzwi skrzypnęły, byłem gotów zaakceptować wszystko, nawet lewy sierpowy od Kaloryfera na Brzuchu albo uderzenie wałkiem (choć Lisa nie była kobietą, która trzymałaby w domu wałek do ciasta).

Otworzyła mi ona. Przez chwilę jej śliczna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Pomachałem papierową torebką.

– Nie wiedziałem, czy lubisz rogaliki, czy wolisz bułkę z nadzieniem czekoladowym, więc wziąłem i to, i to!

Po kilku sekundach, podczas których Lisa wyglądała na lekko skonsternowaną, w końcu rzuciła mi się na szyję i wbiła się we mnie całym ciałem, obejmując w pasie nogami. Upuściłem rogaliki, chwyciłem ją za biodra i jednym kopnięciem zamknąłem za sobą drzwi.

2

Moja głowa leżała na jej nagim brzuchu.

Minęła godzina od chwili mojego tutaj przybycia.

Kiedy łapaliśmy oddech, Lisa przesunęła dłonią po mojej szyi i włosach.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy ostatnim razem, tuż zanim znikłeś?

– Tak, miałaś mi coś powiedzieć.

– Arthurze, myślę, że byłam obecna w katedrze Świętego Patryka, kiedy wróciłeś ze swojej pierwszej podróży.

Podniosłem się i wyprostowałem na łóżku.

– Mówisz serio?!

Lisa podciągnęła prześcieradło na piersi.

– To było szesnastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, tak? – Przytaknąłem. – Właśnie przeprowadziłam się do Nowego Jorku, do takiego okropnego mieszkania przy Mott Street. Tamtego dnia pod wieczór wyszłam pospacerować po Piątej Alei z moją współlokatorką, dziewczyną bardzo wierzącą... nawet sobie nie wyobrażasz jak! – Lisa przechyliła się i sięgnęła po butelkę wody mineralnej stojącą na podłodze. – Wtedy kościoły niespecjalnie mnie interesowały, ale dokładnie naprzeciw Świętego Patryka był fajny sklep Victoria's Secret... Ja przymierzałam bieliznę, a moja współlokatorka poszła zwiedzać katedrę, ale ponieważ długo nie wracała, poszłam po nią. Z daleka już zobaczyłam zamieszanie przy ołtarzu. Właśnie kiedy szłam nawą główną, dwóch policjantów wpadło do kościoła i rzuciło się w pościg za facetem, który miał na sobie tylko bokserki w różowe grochy! Dziś jestem pewna, że to byłeś ty. – Ta wiadomość mnie ogłuszyła. Lisa wydawała się bardzo zadowolona. – To niesamowite, prawda? – spytała z szerokim uśmiechem. – Tak bardzo chciałam ci to opowiedzieć!

– To zbyt grubymi nićmi szyte, żeby było zwykłym przypadkiem! – stwierdziłem.

– Oczywiście, że to nie przypadek! Powiem ci, co to znaczy: ja również jestem częścią twojej historii. Ta latarnia nas połączyła tak jak przedtem Sullivana i Sarah!

Wydawała się zachwycona. Ja przeciwnie, zacząłem się bać.

– Sullivan opowiedział ci, jak tragicznie skończyła się jego historia?

– Tak, ale my przełamiemy tę klątwę! – odrzekła bardzo pewna siebie.

Nagle zacząłem mieć wątpliwości. Może Sullivan miał rację, ostrzegając mnie przed wchodzeniem z kimkolwiek w relacje intymne, dopóki nie skończy się moje „znikanie”...

Ale Lisa uniosła prześcieradło, prezentując się w całej krasie. Wyciągnęła się i dłonią dotknęła mego torsu, przyciągając mnie ku sobie. Ustami delikatnie dotykała całego mego ciała, klatki piersiowej i szyi. Palce jej ześlizgnęły się wzdłuż moich pleców i kręgosłupa. Pieściła mi biodra, pośladki, zapraszając znów do swego wnętrza.

W chwili gdy w nią wchodziłem, wszystkie ostrzeżenia Sullivana były ode mnie bardzo daleko.

3

Nie uzgadnialiśmy tego, ale zrozumiałem, że zgadzamy się co do jednego: będziemy żyli dniem dzisiejszym.

Nie pozwolimy, żeby uroda danej chwili została zbrukana ciężką przeszłością czy niepewnością jutra.

Wszystko inne wydawało nam się stratą czasu (a Bóg jeden wiedział, jak bardzo nam czasu brakowało), dzień ograniczył się więc do robienia jednej rzeczy, która była tego warta, czyli do kochania się.

Wczepieni jedno w drugie w ogóle nie wyszliśmy z łóżka.

Przygotowałem dla nas śniadanie. Dwie filiżanki kawy z mlekiem. I te wspaniałe rogaliki i bułeczki, które wyniosłem z piekarni Pod Ciepłym Rogalikiem. Okruchy na prześcieradle. Słońce w naszych jaskach *sunny side up*⁷.

10.00

Lisa wyrzuciła na łóżko wszystkie swoje płyty CD i puszczała mi swoje ulubione piosenki na miniwieży hi-fi, która stała na szafce nocnej. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem riff gitary Radiohead w *No Surprises*, wersję *Killing Me Softly* w wykonaniu Fugees i uporczywy refren *Bitter Sweet Symphony*.

11.00

Odkrycie aktualnych seriali telewizyjnych: na przystawkę *Przyjaciele*, dwa prześmieszne odcinki *Kronik Seinfelda* i jeden *Ostrego dyżuru*, który wywołał we mnie nostalgiczne uczucie, jakbym był w pracy.

14.00

Powtarzam z Lisą sztukę, którą ma niedługo grać w Lincoln Center: *Miłość, przyjacielu, to dym, co z parą westchnień się unosi; to żar, co w oku szczęśliwego płonie; morze łez, w którym nieszczęśliwy tonie... Romeo i Julia*, akt I, scena 1.

16.00

Na półce w kuchni rozemocjonowany odkryłem moją książkę kucharską, tę wierną przyjaciółkę, która pomogła mi pamiętnego wieczoru przygotować prawie bez błędów moją od tej chwili sławną pierś kaczą w miodzie. Spytałem Lisę, co sprawiłoby jej przyjemność na obiad, a potem, w nadludzkim wysiłku, żeby wyrwać się z naszego kokonu, zszedłem do delikatesów na rogu, żeby zrobić zakupy. Po powrocie zabrałem się od razu do szykowania zapiekanych lasagne bolognese. Szczerze mówiąc, udały mi się tylko połowicznie, ale ponieważ miłość jest ślepa, Lisa zapewniła mnie, że to były najlepsze lasagne, jakie jadła w życiu.

18.00

Krótką wanną była zdecydowanie przeznaczona do kąpieli jednej osoby. Ale przyklejeni do siebie staliśmy się jednym ciałem. W radiu leciały Texas, Alanis Morissette i Cranberries. Lisa, w parze unoszącej się nad wanną pełną musującego płynu do kąpieli, przerzucała strony ostatniego numeru „Vogue’a”, podczas gdy ja czytałem „Newsweeki” i „Time Magazine”, spijając bezkrytycznie aktualności ostatnich miesięcy, poznając obsesje i bohaterów tych czasów: Bill Gates – nowy władca świata, niepokoje dotyczące globalnego ocieplenia, dziwny i nowy świat internetu, śmierć Tupaca Shakura w strzelaninie w Las Vegas, powtórny wybór Billa Clintona na prezydenta, rewolucyjny wpływ mikroprocesora firmy Intel na ekonomię, powrót silnego wzrostu gospodarczego w kraju, a jednocześnie coraz więcej dysproporcji społecznych.

20.00

Czas obowiązków. Zaparzyłem zieloną herbatę. Lisa włożyła moją koszulę. Leżąc obok siebie w łóżku, każde z nas z długopisem w dłoni, poświęcaliśmy się swoim sprawom.

Ona musiała sporządzić listę wokół symbolicznej liczby 24 w nadziei, trochę szalonej, rozwiązania zagadki latarni (24 godziny w dobie, 24 karaty w czystym złocie, 24 klatki na sekundę w filmie, 24 uzdrowienia dokonane przez Chrystusa zapisane w Biblii, 24 pierwiastki składające się na ciało ludzkie...).

Ja miałem odpowiedzieć na rodzaj testu Prousta, który ułożyła, żeby mnie lepiej poznać.

23.00

Empañada Papas znajdująca się o dwie ulice od mieszkania Lisy to bar przekąskowy, zawsze pełen gości, hałaśliwy, ale podawano tam znakomite pieczone paszteciki nadziewane mięsem. Siedziałem przy stoliku i patrzyłem na Lisę, która przedzierała się przez tłum z wziętymi z baru dwoma butelkami corony.

Jej uśmiech... wdzięk... jej świetlistość – błyszczała jak diament. Dlaczego nie spotkałem jej wcześniej? Dlaczego nie mieliśmy możliwości wieść normalnego życia? W przytłumionym świetle karmelowe refleksy na skórzanej kurtce idealnie współgrały z miodowym odcieniem jej włosów. Postawiła butelki na stoliku i usiadła obok mnie.

Przez cały dzień zafascynowany obserwowałem, jak zgadzają się nasze gesty, dopełniają uśmiechy, jak nasze umysły pracują na tych samych falach.

Ale wiszący na ścianie meksykański zegar w kształcie czaszki przesuwał sekundę po sekundzie, przypominając mi, że zbliża się godzina odejścia.

*Pamiętaj, czas jest graczem namiętym,
co wygra bez szachrajstw każdą partię.
To reguła święta.*

Te wersy Baudelaire'a, które przypomniały mi się z dawnych lekcji francuskiego, nigdy do tej pory nie wydały mi się tak pasujące do mojej sytuacji.

Dlaczego los był tak okrutny, za co mnie tak strasznie pokarał?

5.00

Sypialnia skąpana była w bladym świetle księżyca. Z rozpaczą popatrzyłem na budzik. Cicho wstałem z żołądkiem ściśniętym strachem.

Koszula, marynarka, spodnie, buty. Lepiej być przygotowanym do odjazdu.

Czułem z tyłu za sobą Lisę. Wydawało mi się, że śpi. Tymczasem poczułem na brzuchu jej dłoń. Całowała mnie delikatnie po ramionach i po szyi.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę odejdziesz! – powiedziała, popychając mnie na wiklinowe krzesło stojące przy jej biurku.

Usiadła mi na kolanach i zdjęła koszulkę.

Dotykałem jej piersi, widocznej przez mgłę błękitnej księżycowej poświaty. Targała mi włosy, szukała wargami moich ust, uniosła się lekko, żebym mógł w nią wejść. Skuliła się i zaczęła się regularnie poruszać.

Wczepiona we mnie odrzuciła głowę do tyłu, tańczyła na moim podbrzuszu z zamkniętymi oczami i rozchylonymi wargami.

Palcami przesunąłem po jej ustach i piersiach. Jednak nagle myśli mi się splątały. Zabrakło mi powietrza. Gwałtowne mrowienie w członkach zahamowało moje ruchy. Zacząłem widzieć podwójnie i poczułem ten straszny zapach kwiatu pomarańczy.

Nie, nie teraz!

Lisa poruszała się na mnie rytmicznie w górę i w dół, coraz szybciej, ja chwyciłem ją za biodra, próbując uchwycić się czegokolwiek, co by mnie mogło zatrzymać: jej zmysłowych jęków, delikatnego zapachu ciała...

Czegokolwiek, by tylko urwać jeszcze kilka dodatkowych sekund...

Tu i teraz.

Lisa popatrzyła mi w oczy. Poczulem, jak zadrżała. Fala spełnienia uderzyła w nią i wciągnęła w siebie.

W chwili gdy osiągała orgazm, otworzyła usta, żeby wymówić moje imię.

Ale mnie już z nią nie było.

□

Cóż za zbrodnię popełniłem, żebym płacił tak wysoką cenę?
Za jaki niewybaczalny błąd pokutowałem?

1998

Znikający człowiek

Na bezpieczne ścieżki wysyła się słabeuszy.

Hermann Hesse

0

Są przebudzenia trudniejsze niż inne, ale to akurat odbywa się łagodnie. Pośród liliowych drobnych kielichów zimowitów, wrzosów i róż. Kiedy odzyskuję świadomość, leżę w świeżo skoszonej trawie, na jakimś trawniku.

Przecieram oczy. Wstaję, rozmasowuję ramiona. Jest dzień, trochę chłodno. Moje pieniądze wciąż są na miejscu, w kieszeni marynarki, ale rozpięte spodnie walają mi się przy kostkach. W pośpiechu się ubieram. Słońce jest dość nisko – jesień przydała drzewom ognistych barw. Stoję w ogrodzie pięknej miejskiej willi.

Na schodkach ganku leży gazeta w plastikowej osłonie, którą gazeciarz musiał tu wrzucić kilka minut temu. Spoglądam na adres – niedaleko Gramercy Park – i na datę: jest 31 października 1998. Halloween.

Ta idylliczna, uspokajająca sceneria nie trwa długo – nagle spokój przerywa gwałtowne szczekanie dwóch ogromnych krótkowłosych psów. Molosy zaczynają mnie gonić, w biegu przeskakują przez ogrodzenie. Spadam z drugiej strony kraty. Uciekłem tym bestiom, ale mam rozciętą łydkę.

1

Taksówka wiezie mnie na Amsterdam Avenue. Schody. Dzwonek, jeszcze jeden, i jeszcze... Lisa w końcu otwiera, ale w jej oczach dostrzegam zdumienie. Egoistycznie czuję ulgę, gdy widzę, że w mieszkaniu nie ma innego mężczyzny. Trudno jednak nam się odnaleźć, przemóc ten poślizg w czasie, który komplikuje nam życie, przemóc opresyjną stronę tej sytuacji. Za każdym razem trochę mi smutno, że muszę się dostosować do jej nastroju i rozkładu dnia. Tymczasem wiem, że powinienem być cierpliwy, zostawić jej czas, by przywykła do mojego nagłego pojawiania się, nie wiadomo skąd, ale każde z nas inaczej postrzega rzeczywistość, a nasze doznania nigdy nie są synchroniczne: ona nie widziała mnie od roku, podczas gdy ja mam wrażenie, że rozstaliśmy się zaledwie kilka godzin temu...

Jestem bowiem mężczyzną, który znika. Człowiekiem bez przyszłości, w zawieszeniu. Tym, którego charakteryzuje głód życia, ale nie może niczego obiecać. Tym, który musi żyć szybko, każdy dzień musi wypełnić podwójnie, potrójnie, poczwórnie... Tym, który żeby zostawić po sobie jak najwięcej wspomnień, musi rozciągnąć czas.

2

Jestem mężczyzną, który znika, ale wszystko pamięta.

Tak jak inne, ten dzień minął niczym błyskawica. W bólu, w pośpiechu, w przewidywaniu pustki, która po nim zostanie dla nas obojga.

Pamiętam grymaśne miny dyń przygotowanych na Halloween, dekoracji okien i ogrodów.

Pamiętam księgarnię niedaleko Union Square, w której czytaliśmy wiersze Emily Dickinson.

Pamiętam saksofonistę, który stał przed Bethesda Fountain i grał *Bye Bye Blackbird*.

Pamiętam, jak staliśmy w kolejce w Madison Park, żeby zjeść hamburgera w barze Shake Shack.

Pamiętam, jak na boisku do koszykówki przy Mulberry Street zmierzyłem się ze smarkaczem, który był ode mnie wyższy o co najmniej dwadzieścia centymetrów.

Pamiętam parę, która kłóciła się zawzięcie w nadziemnej kolejce do Brooklynu, ale i tak oboje sprawiali wrażenie, że się kochają.

Pamiętam, jak Lisa się zaśmiewała na diabelskim młynie na Coney Island.

Pamiętam, jak wsadziłem jej nieposłuszny kosmyk za ucho.

Gwałtowne powiewy wiatru na drewnianej promenadzie biegnącej wzdłuż brzegu morza.

Pamiętam tego sprzedawcę lodów, który maczał rożki z lodami waniliowymi w polewie z ciepłej czekolady.

Pamiętam, jak siedzieliśmy na plaży w Brighton Beach i paliliśmy papierosy, obserwując zachód słońca.

Pamiętam, jak wracaliśmy na Manhattan.

Pamiętam, jak mijaliśmy na ulicach poprzebierane dzieci, które pukały do drzwi, krzycząc: „Trick or treat!”.

Pamiętam te delikatesy koło Columbia University, gdzie sprzedają najlepsze kanapki z pastrami w mieście.

Pamiętam stare kino na Upper West Side, w którym wyświetlano filmy z Chaplinem.

Pamiętam, jak męczyliśmy się, wmawiając sobie, że ten dzień się nigdy nie skończy.

□

Nad ranem, w chwili gdy los znów mnie od niej odrywał, w chwili gdy za każdym razem mocniejszy prąd porażał mi mózg, pamiętam, że pomyślałem sobie, iż nie mogę

już tak dłużej żyć i ona też nie.

1999

Statki widma

(...) większość tych, którzy mają choć trochę zdrowego rozsądku, wie, że w miarę upływu czasu miłość się zmienia. W stosunku do energii, jaką jej poświęcamy, albo ją zatrzymujemy, albo chcemy ją zatrzymać ostatkiem sił, albo ją tracimy.

Colum McCann

0

Najpierw uczucie zimna.

Lodowaty powiew, który piecze mnie w twarz i mrozi członki. Polarna fala, przesywająca mnie pomimo ubrania na wskroś, aż do kości.

Potem ten zapach.

Woń suszonych ryb, alg i ropy naftowej, tak nieprzyjemna, aż robi mi się niedobrze. Zanim jeszcze zdołałem wstać, żołądek podszedł mi do gardła i zwymiotowałem żółcią. Zniosłem się kaszlem, o mało co się nie udusiłem, wreszcie wstałem. Brzuch mam ściśnięty strachem. Za każdym obudzeniem się jest to samo, boję się niewiadomego, tego, że nie mam pojęcia, gdzie się znajdę i jakie niebezpieczeństwo będzie na mnie czyhać.

Otwieram oczy i odkrywam pejzaż jednocześnie piękny i smutny.

Jeszcze jest noc, ale niebo już się rozjaśnia. Jak okiem sięgnąć widzę statki wyrzucone na brzeg: zardzewiałe kadłuby wszystkich rozmiarów: stare parowce, statki towarowe, żaglowce z połamanymi masztami, kutry rybackie, taksówki wodne, barki, a nawet jeden lodołamacz. To cmentarzysko statków.

1

Nie wiedziałem, gdzie jestem.

Na horyzoncie ani jednego znajomego wieżowca. Kilka stojących nieruchomo dźwigów, kominy fabryczne i rozżarzony płomień jakiejś rafinerii.

Oto najbardziej niegościnne miejsce na świecie. Wokół nie widziałem ani jednego człowieka. Ciszę przerywało tylko kapanie wody, odgłosy zgrzytania i pękania

dobytą od strony omasztozań i krzyk mew, które krążyły nad tym krajobrazem skamieniałym pod granatowym niebem.

Trząsałem się z zimna i szcząkałem zębami. Chłód był nie do wytrzymania. Miałem na sobie tylko te płócienne spodnie, koszulkę polo i lekką marynarkę, niechroniącą w ogóle od niskich temperatur. Po policzkach spływały mi łzy.

Zeby się rozgrzać, zacząłem masować sobie ramiona i chuchać w dłonie, ale to nie wystarczało. Gdybym stał nieruchomo, szybko bym zmarzł.

Stopy wpadały mi w grząską ziemię. Nie było żadnej rampy ani nabrzeża. To nie była stocznia, tylko cmentarzysko starych porzuconych statków rdzewiejących w stojącej wodzie.

Pejzaż końca świata, apokaliptyczny, straszny.

Jedynym sposobem wydostania się stąd było pójście plażą. Zostawiłem za sobą to złomowisko i przeszedłem sto metrów po błocie aż do jedynego murowanego kawałka nabrzeża, przez który doszedłem do piaszczystego brzegu.

Ziębnięty, z pochyloną głową, żeby ochronić się od lodowatego wiatru wiejącego mi prosto w twarz, zacząłem biec.

Po kilku krokach nie czułem już swego ciała. Moje płuca stanęły w ogniu i za każdym razem, gdy brałem oddech, lodowate powietrze parzyło mi nos i gardło. Byłem sztywny z zimna.

Nawet mózg mi zmarzł, nie mogłem w ogóle myśleć.

Biegłem już od ponad dwudziestu minut, gdy dotarłem do terenu zabudowanego małymi dwupiętrowymi domkami pokrytymi deskami z malowanego drewna. Zatrzymałem się przed pierwszym z nich. Pośrodku swego ogródka jakiś staruszek owinięty ciepłą kurtką palił ognisko ze zwiędłych liści.

– Zgubił się pan? – spytał, kiedy mnie zauważył.

Miał stetsona na głowie i długie wąsy poźółkłe od tytoniu.

Schylony wpół, z rękami opartymi o kolana, ledwo dyszałem. W głowie mi się kręciło i serce waliło mi w piersi.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem między dwoma urwanymi oddechami.

Stary podrapał się po głowie i mlasnął tytoniem w ustach, jak na westernach.

– Gdzie jesteśmy? Jesteśmy na cmentarzysku starych statków w Witte Marine.

– Gdzie to dokładnie jest?

– W Rossville, na Staten Island.

– Daleko od Manhattanu?

– Od miasta? Ba, autobusem do promu jedzie się przeszło godzinę. A potem jeszcze trzeba przepłynąć zatokę i tak dalej. – Nie mając pojęcia, co robić dalej, stałem i przymarzałem do ziemi. – Nie wyglądasz najlepiej, chłopcze... – zauważył stary. – Nie chcesz wejść i ogrzać się przy szklaneczce dobrego grzanego wina?

– Dziękuję panu bardzo.

– Nazywam się Zachary, ale możesz nazywać mnie Prymka, jak wszyscy.

– Arthur Costello...

Poszedłem za nim do domu.

– Mogę ci dać jakieś ubrania – zaproponował. – Mam pełną szafę ubrań twego rozmiaru. Należały do mego syna, Lincolna. Pracował jako wolontariusz w Czerwonym

Krzyżu. Zginął dwa lata temu w wypadku na motocyklu. Trochę był do ciebie podobny...

Podziękowałem mu znowu.

– Jaki mamy dzień? – spytałem, gdy znaleźliśmy się na ganku.

– Piątek.

– Jaka data?

Wypluł sok z tytoniu i wzruszył ramionami.

– No, według tego, co wypisują ci wszyscy dziennikarze, wydaje się, że jest ostatni dzień przed końcem świata. – Zmarszczyłem brwi. – O północy wszystkie maszyny mają zwariować – ciągnął stary. – Podobno daty zostały źle zapisane. Ja uważam, że to bujdy.

Nie za bardzo go rozumiałem. Wszedłem za nim do pokoju dziennego, gdzie stał włączony telewizor. Patrząc na pasek w dole ekranu, zrozumiałem od razu.

Był 31 grudnia 1999 roku.

Wigilia „końca świata”.

2

Kiedy dotarłem do mieszkania Lisy, zastałem drzwi zamknięte. Straciłem mnóstwo czasu, żeby się wydostać ze Staten Island i przejechać prawie cały Manhattan aż do Morningside Heights. Jak co roku w czasie świąt tłumy turystów krążyły po mieście. Tego 31 grudnia dodatkowe zamieszanie związane z „pluskwą milenijną”⁸ jeszcze komplikowało sytuację. Wszędzie było pełno policji. Większość ulic wokół Times Square było zamkniętych dla ruchu i w Midtown zrobił się straszny korek.

Tymczasem mojej ukochanej nie było w domu.

A raczej była wszędzie. Pod koniec tego 1999 roku sylwetka Lisy, sfotografowana na biało-czarnych plakatach i billboardach kampanii Calvina Kleina, widniała w każdym miejscu przeznaczonym na reklamy w całym Nowym Jorku. Widziałem ją na ściankach z pleksiglasu na przystankach autobusowych, na budkach telefonicznych, widziałem ją na bokach autobusów i na drzwiczkach taksówek. Było to zdjęcie skromne i bardzo estetyczne: miała na nim mokre włosy, piersi zakryte częściowo złożonymi rękami i stała, ze swoją sylwetką liany, na jakiejś plaży w Hamptons.

Nadstawiłem ucha, próbując usłyszeć miauczenie Remingtona. Ale kota również tam nie było.

Żeby się upewnić, walnąłem kilka razy mocniej w drzwi.

– Nie ma co się tak denerwować! Widzi pan, że panienki nie ma w domu.

Na progu mieszkania obok pojawiła się stara sąsiadka, Lena Markovic, z wałkami we włosach i trucizną na ustach. Za nią pojawił się łebek Remingtona, który podszedł po chwili i zaczął mi się ocierać o nogi.

– Dzień dobry, pani Markovic. To pani pilnuje kota Lisy?

– Co za spostrzegawczość, młody człowieku!

– Wie pani może, gdzie ona jest? – spytałem, biorąc Remingtona na rękę.

– Miała szczęście i pojechała na wakacje. Ja, z moją emeryturą...

– Dokąd pojechała? – przerwałem, podchodząc do niej bliżej.

Stara machnęła ręką.

– Na wyspy.

– Na wyspy? Na jakie wyspy?

– A bo to ja wiem?

Babsko zaczęło mnie denerwować. Była zupełną przeciwnością strażnika na cmentarzysku statków, Zachary’ego, jego złowróżbnym odbiciem, gdyż on, w odróżnieniu od niej, bardzo chciał mi pomóc.

– Musiała pani zostawić jakiś numer telefonu... – Nie ustępowałem.

Markovicowa pokręciła głową przecząco, ale wiedziałem, że kłamie. Zrobiłem szybki krok naprzód, żeby wejść do niej do mieszkania. Starła się mi w tym przeszkodzić, ale bez wahania odepchnąłem ją, zamykając za sobą drzwi. Została na klatce schodowej w szlafroku i w kapciach.

Mieszkanie składało się z dwóch zagraconych i niewietrzonych pokoi. Pięćdziesiąt metrów kwadratowych zastygłe w latach siedemdziesiątych: posadzka z poólkłych kwadratów linoleum, tapeta w geometryczne wzory, meble z płyt laminowanych, kanapy ze skaju w kolorze naturalnej skóry. Telefon stał w korytarzu na półce ze sklejki pociągniętej melaminą. Obok niego leżały kalendarz, notatnik, notes z telefonami i bloczek samoprzylepnych karteczek. Na jednej z nich była informacja, której szukałem: Elizabeth Ames, Blue Lagoon Resort, Moorea. I dwunastocyfrowy numer telefonu.

Moorea. Wpatrywałem się w nazwę wyspy i chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, że Lisa spędza sylwestra na wyspach Polinezji Francuskiej i że w tym roku nie uda mi się z nią zobaczyć.

Nie!

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

– Blue Lagoon Resort, czym mogę służyć? – Usłyszałem głos mówiący po francusku.

– Chciałbym rozmawiać z panną Elizabeth Ames.

– Oczywiście, proszę pana, ale... Dzwoni pan ze Stanów Zjednoczonych, prawda? Bo ta różnica czasu... Tutaj jest dopiero piąta rano.

– Proszę ją obudzić, to bardzo ważne. Proszę powiedzieć, że dzwoni Arthur Costello.

– Dobrze, proszę pana, zobaczę, co da się zrobić.

Podczas gdy czekałem na połączenie z Lisą, widziałem, jak drzwi od mieszkania sąsiadki drżą pod uderzeniami. Wyjrzałem przez wizjer: tak jak się obawiałem, Lena Markovic ściągnęła pod swoje mieszkanie prawie wszystkich sąsiadów. Nadstawiłem ucha: zgromadzeni na klatce ludzie zdecydowali, że trzeba jak najprędzej wezwać policję.

– Arthur? Jesteś na Manhattanie?

Zamknąłem oczy. Słyszeć jej głos było jednocześnie ulgą i cierpieniem.

– Jestem u ciebie, a raczej u twojej uroczej sąsiadki. Obudziłem się cztery godziny temu w najnędzniejszym zakątku stanu Nowy Jork, jaki można sobie wyobrazić! Tak bardzo pragnę cię zobaczyć! Jest mi tak przykro!

– Posłuchaj, Arthurze...

Od razu wyczułem z jej głosu, że coś nie gra. Żadnego entuzjazmu, zero ekscytacji. Nie podzielałamoich uczuć, byłem tego prawie pewien. Poczułem, jak rośnie we mnie

złość.

– Mogę wiedzieć, co robisz w Polinezji?

– Jestem tutaj z częścią mojej trupy teatralnej. Pojechaliliśmy przywitać Nowy Rok w ciepłym kraju.

Gotowałem się w środku. Ona fundowała sobie wakacje na drugim końcu świata, wiedząc, że w każdej chwili mogę się pojawić? Wyjechała, wiedząc, że możemy się minąć! To stwierdzenie wyprowadziło mnie ostatecznie z równowagi.

– Nie rozumiem! Pojechałaś wylegiwać się na słońcu, wiedząc, że ja lada chwila wrócę?! Powinnaś na mnie poczekać, słowo daję!

Teraz ona podniosła głos.

– A co ty sobie w końcu wyobrażasz?! Że ja przestanę żyć?! Nie będę miała żadnych przyjaciół, żadnego życia, kiedy ciebie nie ma? Że będę siedziała zamknięta w mieszkaniu, czekając cierpliwie, aż nadejdzie ten jeden jedyny dzień w roku, który będziemy mogli spędzić razem? Czekam na ciebie już czternaście miesięcy, Arthurze, czternaście miesięcy!

Westchnąłem. Aż za dobrze ją rozumiałem. Ale moje serce było zdruzgotane.

Nagle usłyszałem – albo może mi się wydawało – męski głos.

– Nie jesteś w pokoju sama? Jest tam z tobą jakiś facet?

– To nie twoja sprawa.

Ta zazdrość okazała się dla mnie zupełnie nowym uczuciem. Nigdy dotąd nie byłem zaborczy. Wybuchłem.

– Jak to, nie moja sprawa?! Myślałem, że jesteśmy razem! Że mnie kochasz!

Lisa przez chwilę milczała.

– Nigdy ci nie wyznałam miłości, Arthurze! – odpowiedziała wreszcie. – A nawet gdyby, nie widzę sensu w tej naszej historii. Kochać ciebie oznacza dla mnie cierpienie. To gorzej niż być żoną więźnia, którego mogłabym przynajmniej odwiedzać. Gorzej niż być żoną żołnierza, który przyjeżdżałby choć na przepustki!

Dokładnie pod oknem zawyła syrena. Wychyliłem się i zobaczyłem dwa radiowozy zatrzymujące się przy chodniku. Wysypali się z nich umundurowani policjanci i weszli na klatkę budynku Lisy.

Kompletnie wyprowadzony z równowagi przypominałem Lisie słowa, które wymówiła kilkanaście miesięcy wcześniej.

– Ty sama mówiłaś, że połączyła nas ta latarnia i że ty też stanowisz część mojej historii!

To ją zupełnie załamało.

– W takim razie myliłam się! Co chcesz, żebym ci powiedziała?! Nie pierwszy raz wpadam w przesadny entuzjazm w stosunku do faceta. Już prawie raz straciłam przez to życie, tego chyba nie zapomniawsz! – Odgłos walenia w drzwi spowodował, że podniosłem głowę. Kiedy policjanci uderzali w nie raz po raz, rozkazując mi otworzyć, Lisa wymierzyła mi ostateczny cios: – Nie możesz ode mnie wymagać, bym przestała żyć normalnie, czekając na ciebie. Nie chcę się dalej z tobą spotykać. Nigdy więcej! Nie mogę ci pomóc i nie chcę już dłużej cierpieć! – powiedziała i rozłączyła się.

Z wściekłości rozbiłem plastikowy telefon, rzucając nim o regał. W tej samej chwili drzwi ustąpiły i rzuciło się na mnie dwóch funkcjonariuszy nowojorskiej policji.

Poddałem się bez żadnego oporu. Założyli mi kajdanki, po czym zwlekli mnie za sobą po schodach na chodnik.

– Następny, który spędzi sylwestra w celi! – rzucił jeden z policjantów, wsadzając mnie na tylne siedzenie forda crowna.

Nie mylił się: w tym roku gra się skończyła.

2000

Pokój rosyjski

Popatrzył na morze i zdał sobie sprawę, jak nieskończenie jest samotny. Ale w ponurych ciemnościach głębi wciąż widział migotliwe widma załamującego się światła.

Ernest Hemingway

0

Znów zimno.

Lodowate przenikające powietrze, które przeszywa mnie na wskroś i paraliżuje.

Trzęsę się cały. Nie mogę oddychać, wargi mam spierzchnięte, włosy mokre, twarz pokrytą cienką warstwą lodowatego pudru.

Z trudnością unoszę powieki, próbuję wstać, ale ślizgam się i ląduję twarzą w śnieżnym dywanie.

Znów wstaję, chwytając się poręczy jakichś schodów i mrużę oczy, żeby odcyfrować nazwy ulic.

Jestem w East Side, na chodniku jakiejś wyludnionej ulicy... na rogu Avenue A i Tompkins Square Park.

Zaskakująca jak na Manhattan cisza oszałamia mnie.

Wokół wszystko pokryte jest białą pierzyną. Od grubej warstwy śniegu odbija się perłowszare niebo, na tle którego wirują w powietrzu pojedyncze płatki.

1

Na szczęście byłem ciepło ubrany. Miałem na sobie wciąż kurtkę z futrzanym kapturem z Czerwonego Krzyża, sweter i wyściełane futrem boty, które dał mi Zachary, strażnik cmentarzyska statków. Moje ostatnie wspomnienie nie było zbyt wesołe: spędziłem sylwestrową noc w celi komisariatu 24 dystryktu w towarzystwie pijaków i narkomanów. Szampana nie było, za to miałem silną migrenę i mdłości, zupełnie jakbym był na kacu.

Zrobiłem kilka ostrożnych kroków po prostopadłej ulicy. Fryzjer łopata odgarniał śnieg przed wejścia do swojego zakładu. Nadstawiłem ucha, żeby usłyszeć wiadomości nadawane przez radio, które miał przy sobie.

Burze śnieżne, które ogarnęły cały północny wschód kraju, zapowiadają największy tego typu pogodowy kataklizm od ostatnich pięciu lat. W Nowym Jorku, gdzie już rankiem spadło ponad trzydzieści pięć centymetrów śniegu, pług śnieżny zaczyna usuwać śnieg z głównych ulic. Burmistrz, Rudolph Giuliani, ogłosił, że trzy główne lotniska miasta zostaną wkrótce otwarte, ale wielu mieszkańców Brooklynu i Queensu nie ma wciąż prądu. Zamiecie śnieżne niewątpliwie przeszkodzą w jutrzejszych obchodach Nowego Roku...

W tym miejscu przerwałem słuchanie, bo na chodniku naprzeciwko jakiś zakutany w budrysówkę mężczyzna zamachał do mnie ręką. Z początku go nie poznałem. Miał na głowie futrzaną czapkę i aż po oczy owinięty był szalikiem, wyglądał jak w kominiarce. Ale po chwili usłyszałem:

– Cześć, chłopcze! Co za przyjemność znów cię spotkać!

2

Obejmowaliśmy się tak blisko dwie minuty. Och, co za przyjemność sprawiło mi spotkanie Sullivana! Przez te trzy ostatnie lata tęskniłem za dziadkiem znacznie bardziej, niż chciałem to przyznać.

– Kiedy wróciłeś? – spytał z dłońmi wciąż na moich ramionach.

Miał już ponad osiemdziesiąt lat, ale wciąż był w formie: szedł elastycznym krokiem, miał sylwetkę zapaśnika, spojrzenie jasne i bystre, brodę gęstą i krótko ostrzyżoną.

– W tej chwili! – odrzekłem. – Obudziłem się na chodniku, tam, na rogu ulicy.

– Widzisz, przypadek nie istnieje! – pogratulował sobie trochę sentencjonalnie. – Chodź ze mną, tu jest strasznie zimno!

– Dokąd idziemy?

– Do jedyne go miejsca, w którym dziś się w Nowym Jorku nie zamarznie!

I tak poszliśmy do dyskretnie umiejscowionej przy Dziesiątej Ulicy Russian & Turkish Baths.

Ta rosyjsko-turecka łaźnia była słynną, liczącą ponad sto lat instytucją na Lower East Side. Słyszałem już o niej, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ją odwiedzić. Sullivan przeciwnie, wydawało się, że był jej stałym klientem. Przywitał się z Igorem, pracownikiem recepcji, po rosyjsku: był to dwumetrowy umięśniony jak kulturysta wielkolud. Na sobie miał tradycyjną bluzę z haftowanego lnu, a spędzał czas, rzeźbiąc nożem o dwudziestocentymetrowym ostrzu kawałek drewna. Kiedy zobaczył dziadka, wbił nóż w ladę kontuaru i podszedł do nas.

Dał nam szlafroki, ręczniki, dwie pary kłapek i zaprowadził nas do szatni. Z powodu nawałnicy śnieżnej łaźnia była prawie pusta. Po przebraniu się poszedłem za Sullivanem labiryntem korytarzy i schodków. Minęliśmy hammam, jacuzzi, łaźnię parową i salę fizjoterapii, aż dotarliśmy do miejsca, które stanowiło gwóźdź programu, czyli do tak zwanego „pokoju rosyjskiego”. Było to wielkie pomieszczenie, wyposażone w ogromny piec wypełniony gorącymi kamieniami. Suchy i szorstki upał panujący we

wnętrzu od razu spowodował, że poczułem się dużo lepiej. Wskutek gorąca pory skóry rozszerzyły się, zatoki odetkały, a krew zaczęła płynąć w moich żyłach z nową energią.

Sullivan usiadł na wyższej i gorętszej wystającej półce.

– Wolę od razu ci to powiedzieć – zaczął, zapraszając mnie gestem, żebym usiadł obok. – Lisy obecnie nie ma w Nowym Jorku. – Nie starałem się nawet ukryć zawodu. – Jest w Wenecji, robi zdjęcia dla jakiejś marki biżuterii... – W Wenecji... Nawet jeśli Lisa nie chciała już być częścią mego życia, to świadomość, że moja ukochana znajduje się ponad siedem tysięcy kilometrów stąd, dobiła mnie. W milczeniu zacząłem masować sobie skronie. – Wszystko mi opowiedziała... – dodał dziadek. – Wierz mi, powzięliście słuszną decyzję.

– Nie zostawiła mi wyboru... – W „pokoju rosyjskim” robiło się coraz cieplej. Spojrzałem na termometr na ścianie. Wskazywał prawie trzydzieści trzy stopnie. – Ta dziewczyna od razu mi się spodobała – powiedziałem, pocierając powieki. – Zmienna, upierdliwa, porywczą...

Sullivan – który znał ją lepiej ode mnie – nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ale tymczasem ja nagle i niespodziewanie rozplakałem się.

– Cholera, naprawdę nie wierzę, że już jej nigdy nie zobaczę!

Dziadek, trochę zmieszany, podał mi ręcznik.

– Arthurze, zapomnij o niej!

– To niełatwe... – odrzekłem, wycierając łzy.

– Wiem, ale pomyśl: nie możesz żądać od niej, by na ciebie czekała. Nie możesz oczekiwać, że będzie ci wierna. To byłoby nieludzkie.

Po raz pierwszy poddałem się.

– Z pewnością masz rację – wyszeptałem i zamknąłem na chwilę oczy, ulegając leczniczej atmosferze sauny. – Ale tobie udało się utrzymać miłość Sarah... – dodałem po chwili.

Sullivan wzruszył ramionami i westchnął głęboko. Jak za każdym razem, kiedy wracał wspomnieniami do przeszłości, oczy mu błyszczały, a twarz jakby się zapadała.

– To była inna kobieta, inne czasy, inne pokolenie... A poza tym zobacz, jak to się skończyło. Zabiłem tę, którą kochałem, i nie udało mi się uratować mojej córki.

Znałem jej historię, ten tragiczny koniec, ale tamtego dnia, słysząc to po raz enty, coś mnie podkusiło.

– Ale jak namówiłeś Sarah, żeby na ciebie czekała? Jak sobie dałeś radę, żeby cały czas cię kochała, mimo że widywała cię tak rzadko?

Dziadek wstał i zaczął się wachlować dłońmi. Myślałem, że szykuje się, żeby mi odpowiedzieć, tymczasem wziął drewniane wiaderko z lodowatą wodą i oblał mnie całego.

– Orzeźwiający, co?

Wrzasnąłem, a on wybuchł śmiechem.

Kiedy rzuciłem mu mordercze spojrzenie, do pomieszczenia weszły dwa kolosy, dwaj Rosjanie z wygolonymi głowami, wytatuowani od stóp do głów i ubrani tylko w szorty i podkoszulki.

– To czas masażu – zaanonsował Sullivan.

Nieufnie zgodziłem się poddać rytuałowi. To, co nazywało się masażem, było w istocie energicznym wcieraniem w ciało oliwy, a następnie rytmicznym

biczowaniem gałązkami dębu i brzozy. Najpierw niechętnie, ale w końcu pozwoliłem na to oklepywanie, wdychając świeży zapach lasu i rozmawiając cały czas z dziadkiem, który leżał na stole obok.

– Co robiłeś przez trzy ostatnie lata?

– Zarobiłem dużo pieniędzy.

– Naprawdę? Na giełdzie?

Dziadek chrząknął zadowolony.

– W dziewięćdziesiątym piątym roku sprzedałem moje trzy sztaby złota. I całość kapitału umieściłem na rynku. W ciągu pięciu lat wartość indeksu giełdowego Nasdaq wzrosła pięciokrotnie. Odsprzedałem wszystko na początku roku, zanim rynek się zawalił.

– Był jakiś krach?

– Nie, zwykle pęknięcie bańki technologicznej. Wszystko to było do przewidzenia. Wiesz, co mówił Keynes: „Drzewa nigdy nie sięgną nieba”. Ta zapaść na rynku finansowym będzie trwała dłuższą chwilę, a wielu inwestorów, którzy bezmyślnie robią to, co inni, wszystko straci. Idioci! – zachichotał szyderczo. – Potrzeba im było jednak pięciu lat, zanim się zorientowali, że kupowali i sprzedawali powietrze! Te wszystkie nierentowne start-upy, obiecanki cacanki...

– A ty, dziadku, byłeś sprytniejszy od nich wszystkich?

– No pewnie! – prychnął z satysfakcją.

– A co zrobiłeś z tymi wszystkimi pieniędzmi, które zarobiłeś?

– Odłożyłem je dla ciebie.

Roześmiałem się smutno.

– Trudno będzie mi je wydać!

– Nie pogardzaj pieniędzmi, Arthurze! To miara naszej wolności. Twoje życie będzie jeszcze długo trwało i uwierz mi: zawsze znajdzie się moment, w którym fakt posiadania oszczędności może zaważyć na sukcesie danego planu.

3

– To dla ciebie! – oznajmił dziadek, wręczając mi paszport.

Kiedy otworzyłem dokument ze swoją fotografią, przypomniałem sobie nagle Stana Falszerza z Alphabet City.

– Dokument jest autentyczny, ale dane zostały sfabrykowane, czy tak?

– Tak – przytaknął Sullivan. – Bardzo ładna robota. Prawie tak prawdziwy jak prawdziwy.

Była szósta wieczorem. Staliśmy w kolejce do Russ & Daughter, sklepu z pysznymi bajglami na East Houston Street, w którym, według Sullivana, można było kupić najlepsze bajgle w całym mieście.

Po łaźni wróciliśmy do domu. Spędziłem całe popołudnie przed kominkiem, oglądając telewizję i kartkując stare gazety. Dowiedziałem się w ten sposób o śmierci Franka Sinatry, Stanleya Kubricka, Joego DiMaggia, Yehudiego Menuhina. Z przerażeniem przeczytałem artykuły na temat strzelaniny w liceum w Columbine.

Zrozumiałem, że Bill Clinton uniknął impeachmentu po aferze z Monicą Lewinsky i że od kilku dni, wskutek powtórnego liczenia głosów, które trwało pięć tygodni, państwo miało nowego prezydenta, George'a W. Busha, syna Busha seniora...

– Następny, proszę!

Podszedłem do lady. Trudno było mi zamaskować burczenie w brzuchu, tak byłem wygłodniały. Zamówiłem dwa bajgle z sezamem, z łososiem, kaparami, cebulą i twarogiem, po czym usiadłem obok Sullivana przy stoliku niedaleko wejścia.

Sullivan, ledwo co usiadł, rozłożył stary plan Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów.

– Przez ostatnie lata pracowałem nad historią naszej latarni, kiedy ją zbudowano, w jakim stylu. Przejrzałem wszystkie dostępne materiały, żeby zrozumieć klątwę, która nad nami ciąży.

– I znalazłeś coś istotnego?

– Niestety, nic. To potwierdza moją teorię, że nie można cofnąć klątwy, która raz została rzucona.

– Ja nie zamierzam się poddać! – oświadczyłem, w gryzając się w swój bajgiel.

– Zrobisz, co zechcesz, ale zaczynasz walkę z góry przegraną, a nie jestem pewien, czy taka strata czasu z twojej strony jest najlepszą postawą.

Zjadł kawałek śledzia w occie.

– Uważam, że nasza latarnia jest metaforą życia – oznajmił. – A dokładniej metaforą przeznaczenia. Nie możesz walczyć z przeznaczeniem.

Skończyłem swojego pierwszego bajgla i zacząłem podskubywać ziarnka sezamu oblepiające drugiego.

– Nie wierzę w przeznaczenie.

– Ja mam na myśli raczej niezmienny porządek rzeczy. Wiesz, w jaki sposób definiowali przeznaczenie filozofowie antyczni?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– „Nieśmiertelna przyczyna rzeczy, wskutek której minione fakty zaistniały, obecne istnieją, a przyszłe muszą zaistnieć” – wydekłamał.

– Nie mógłbym nigdy uważać, że wszystko w życiu jest zaplanowane z góry. To byłoby zbyt łatwe: brak odpowiedzialności jednostki, brak poczucia winy, brak motywacji do działania...

– Pewne rzeczy zdarzają się, bo muszą się zdarzyć, i jedyną metodą, żeby nie cierpieć, jest zaakceptować je i nie buntować się przeciwko nim! – rzekł Sullivan sentencjonalnie.

Popatrzyłem na niego sceptycznie. Miałem wrażenie, że tymi swoimi gotowymi formułkami pragnął wszystko zagmatwać.

Podsunałem mu inny pomysł.

– Czy nigdy nie myślałeś, że to, co nam się przydarzyło, to jest rodzaj kary?

– Kary?

– Kary za jakieś grzechy.

Odwrócił wzrok i spojrzał przez okno na obsypane śniegiem miasto, jakby unieruchomione, skamieniałe pod grubą warstwą śniegu.

– Ale za jakie? – spytał.

Nie miałem pojęcia.

Jak tylko wróciliśmy do domu, Sullivan dołożył do ognia grubą szczapę, nalał nam obu po szklaneczce sherry i zapalił cygaro.

Przez cały wieczór starał się mnie nauczyć korzystania z internetu. Na małym kolorowym komputerze w plastikowej obudowie nauczył mnie surfować po sieci i wysyłać e-maile.

Potem nalał sobie kolejną szklaneczkę i wreszcie zasnął w swoim fotelu. Ze słuchawkami na uszach spędziłem noc w cyberprzestrzeni. Założyłem sobie adres mailowy, wysłuchałem ostatnich przebojów (odurzającego *Maria, Maria* Carlosa Santany, *Californication* Red Hot Chili Peppers, *Beautiful Day* U2 i piosenki *Stan* jakiegoś rapera, który nazywał się Eminem), wreszcie całe godziny spędziłem na stronach gazet internetowych i na forach dyskusyjnych, na których rozmawiano zarówno o fenomenie Harry'ego Pottera, jak i o ostatnim artykule naukowym na temat rozszyfrowania struktury genomu ludzkiego. Byłem w trakcie eksplorowania strony Red Soxów (mojej ulubionej ekipy baseballowej), kiedy zobaczyłem, że słońce wschodzi.

Sullivan się obudził. Bez pośpiechu zjadłem z nim śniadanie. Potem wziąłem prysznic, włożyłem czyste ubranie, dobre buty i tę grubą kurtkę z futrzanym kapturem z Czerwonego Krzyża.

– Nie zapomnij wziąć pieniędzy! Nigdy nie wiadomo, gdzie możesz wylądować! – poradził mi dziadek, otwierając sejf i wsuwając mi do kieszeni zwitek banknotów pięćdziesięciodolarowych.

Byłem gotów do podróży, siedziałem na kanapie z miną alpinisty czekającego na początek wspinaczki.

– Widzimy się za rok, tak? W moim wieku liczy się każda chwila – powiedział Sullivan gderliwie.

– Oczywiście! – obiecałem. – A w moim wieku czas biegnie o wiele za szybko!

– Czy tak bardzo ci zależy na tej czerwonej kurtce? – spytał dziadek żartobliwie, żeby ukryć wzruszenie spowodowane moim rychłym odejściem.

– Po prostu ją lubię...

Zapach kwiatu pomarańczy zaczął mi łaskotać nozdrza i poczułem, jak zaciska mi się żołądek. Ten smutek, który towarzyszył każdemu odejściu, ten strach, gdzie się obudzę...

– Jakie było najgorsze miejsce, w którym się ocknąłeś? – zapytałem Sullivana.

Podrapał się po głowie.

– To było lato sześćdziesiątego czwartego roku, w samym środku zamieszek w Harlemlu. Jakiś gliniarz wyrzucił mnie pałką tak mocno, że do dzisiaj mam bliznę. – Kiedy moje ciało zaczęło drżeć, usłyszałem, jak mówi do mnie zrędlawie: – Czym się uczesałeś, grabiami? Wiesz, Arthurze, fakt przeskakiwania czasu nie upoważnia cię do rezygnacji z dbałości o wygląd...

2001

Dwie wieże

(...) bardzo rzadko dwie osoby pragną tej samej rzeczy w tym samym momencie. Czasem staje się to najcięższym aspektem losu człowieka.

Claire Keegan

1

Obudziło mnie palenie w przełyku. Ta cholerna zgaga!

Otwieram oczy, spoglądam na zegarek. Trochę po wpół do siódmej. Pierwsze promienie słońca przebijają się przez żaluzje. Słyszę chrapanie jakiegoś faceta, który śpi obok mnie.

Philip, myślę... A może Damian.

Mam mdłości i silną migrenę. W głowie mętlik. Ostrożnie wstaję z łóżka, biorę stanik, dzinsy, bluzkę, kurtkę... wychodzę z sypialni, kierując się do łazienki, w której biorę prawie lodowaty prysznic: to taki szok termiczny, żeby dojść do siebie.

Energicznym gestem namydlam twarz. Muszę odzyskać zapal i energię. A przede wszystkim jasność myśli. Moje życie się sypie. Wypadłam z torów, płaczę się bez celu, robię byle co. Zbyt dużo alkoholu, zbyt dużo przyjęć, zbyt dużo sypiania z coraz gorszymi facetami.

Wychodzę spod prysznic, wycieram się czystym szlafrokiem, który znalazłam w szafie, ubieram się błyskawicznie i na palcach wracam do sypialni. Nie mam najmniejszej ochoty na poranne dyskusje z tym facetem, który na szczęście wciąż chrapie.

W salonie podchodzę do dużego okna, z którego widzę kolorowy neon restauracji The Odeon. Jestem w TriBeCa, na rogu Thomas Street i Broadwayu. Kiedy chwytam torebkę, zaczynam sobie trochę przypominać wczorajszy wieczór: zaproszenie na jakiś wernisaż w galerii obrazów, a po nim kolacja w Nobu i koktajle w różnych okolicznych barach.

W windzie wyjmuję komórkę i sprawdzam SMS-y.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochana Liso!

Myślę o tobie intensywnie.

Mama

Cholera, o tym też zapomniałam: dziś kończę dwadzieścia osiem lat.

2

Nigdy nie widziałam tak błękitnego nieba!

Z kubeczkiem cappuccino w dłoni idę Church Street.

W odbiciu szyb poprawiam fryzurę. Mam sesję zdjęciową w Battery Park dla jakiegoś kobiecego pisma. Wciąż gram w teatrze i chodzę na castingi, ale na życie zarabiam tylko zdjęciami. Wiem, że to nie będzie trwało wiecznie, i te urodziny właśnie mi o tym przypomniały. W zeszłym roku miałam już dużo mniej telefonów. W modzie potrzeba świeżej krwi, a moja data przydatności jest coraz krótsza.

To godziny szczytu, chodniki są czarne od tłumu. Tysiące ludzi zmierza do swoich miejsc pracy. Mężczyźni, kobiety, biali, czarni, Azjaci, Latynosi... Mieszanka wszystkich ras, strumień energii.

Dochodzą do moich uszu strzępy rozmów. Praca, dzieci, rodzina, problemy sercowe, problemy łóżkowe. O ósmej rano w Nowym Jorku życie każdego to powieść.

Na miejsce przychodzę przed czasem. Stalowy błękit nieba i lekki wiatr powodują, że uroda południowego końca Manhattanu zapiera dech.

– Hej, Lisa!

Rozpoznaję Audrey Swan, fotografkę, która ma robić zdjęcia. Bardzo ją lubię. Wiem, że łączy nas taka sama spokojna rezygnacja. W wieku lat dwudziestu ona chciała zostać reporterką wojenną, ja zaś marzyłam o karierze aktorskiej w stylu Meryl Streep. Dziś obie robimy zdjęcia dla Ralpha Laurena.

Witamy się serdecznie.

– Wypadłaś z łóżka? – pyta mnie Audrey. – Dziewczyny będą tu najwcześniej za pół godziny!

Idę z nią do namiotu wzniesionego pośrodku parku, w którym zainstalowano kabiny do makijażu. Ona zabiera moje rzeczy i proponuje kawę.

Sobie też nalewa i razem siadamy na ławce przy promenadzie, po której krążą tam i z powrotem przechodnie i ludzie uprawiający poranny jogging.

Gadamy w świetle słońca przez kilka minut, za nami płyną promy, widać Statuę Wolności i Ellis Island.

Omawiamy problemy sercowe, łóżkowe i w ogóle życiowe.

Nagle jakiś młody facet na rolkach zatrzymuje się przed nami. Ręką zasłonił czoło, żeby nie dać się oślepić słońcu, patrzy w kierunku północy na niebo z dziwnym wyrazem twarzy.

Po chwili my również się odwracamy.

Jedna z wież World Trade Center stoi w płomieniach.

3

– To nie może być nic poważnego. Z pewnością mały samolot turystyczny zawadził o ścianę budynku... – tłumaczy niezręcznie jakiś rowerzysta.

Przez kwadrans wpatrujemy się nerwowo w słup czarnego dymu unoszący się ku niebu. Audrey wzięła do ręki aparat i strzela zdjęcia szczytu wieży, która znajduje się o niecałe dwieście metrów od nas. Jakaś biegaczka wspomina zamach z 1993 roku, w którym zginęło sześć osób, ale wszyscy wciąż jeszcze myślą, że to jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Potem na niebie pojawia się następny samolot. Samolot, którego nie powinno tam być ani nie powinien lecieć tak nisko. Samolot, który najwyraźniej robi ostry zwrot po to, by uderzyć w drugą wieżę.

Nad promenadą słychać jęk rozpacz. Katastrofa, którą obserwujemy, jest tak surrealistyczna, że przez chwilę nie rozumiemy, co się dzieje. Ale nie mija minuta, gdy uświadamiamy sobie, że jesteśmy nie tylko obserwatorami, lecz także aktorami dramatu, który rozgrywa się przed naszymi oczami. Ogarnia nas panika.

Większość ludzi zaczyna biec na wschód, w kierunku mostu Brooklińskiego, ale ja decyduję się pobiec za Audrey w kierunku miejsca zamachu.

Uzbrojona w swój obiektyw Audrey, pośród nadjeżdżających radiowozów, unieśmiertelnia zdumienie, obawę i strach. Prawie namacalna zgroza ratowników, zszokowane spojrzenia, tłum w panice, chaos, błędzenie, ucieczka spod płonącego ula.

Na chodnikach i ulicach horror: zakrwawione, spalone, porozrywane ciała zastygłe w paroksyzmie bólu. Scena jak z okrutnej wojny. Bejrut pośrodku Manhattanu.

Wszędzie leży rozbite szkło, gruz i powyginane kawałki metalu. W powietrzu fruwać tysiące kartek papieru. Wszędzie panuje straszliwy bałagan i jest pełno dymu – apokalipsa. Słychać krzyki, płacz, wzywanie Boga.

Potem w tłumie roznosi się plotka: trzeci samolot rozbił się na budynku Pentagonu. Policjanci również nie wiedzą, co się dzieje, każą wszystkim uciekać na północ.

Szukam spojrzeniem Audrey, ale ona gdzieś znikła. Wołam ją, nie odpowiada. Do tej pory się nie bałam, ale nagle ogarnia mnie panika. Rzucam się biegiem w kierunku Church Street, gdy rozlega się wokół monstrualny huk, ryk Lewiatana, ogniste tchnienie smoka.

Odwracam się i zamieram na widok niemożliwego: jedna z wież zaczyna się zapadać. Jakby trafiona błyskawicą, opada w dół, wchłaniana przez ziemię w oparach betonu i kurzu.

Skamieniałam ze strachu. Wokół mnie ludzie krzyczą, biegną, dyszą... za wszelką cenę starając się ujść z życiem, uchronić się przed lawiną prochu i stali, która opada na wszystko dokoła i grzebie to, co napotka na swojej drodze.

Znów słychać jakiś wybuch. Widzę, jak fala szczątków, gruzu i metalowych sztab płynie ze straszliwym bulgotem w moim kierunku.

Wiem, że zginę.

Cholera, a więc to by było tyle...

Jest ósma wieczorem, tego pamiętnego jedenastego września. Siedzę przy barze Empañada Papas, dwie ulice od mojego mieszkania.

W chwili gdy burza kurzu zaczęła mnie otaczać, poczułam, jak dłoń Audrey chwyta moją dłoń i przyjaciółka wciąga mnie do pobliskiego sklepu spożywczego. Ukryłyśmy się za zamrażarką, ścisnęłyśmy nogi, głowy zakryłyśmy rękami i skurczyłyśmy się, przeczekując uderzenie cyklonu. Sklep zakołysał się jak łupina orzecha na falach, zanim zalał go metalowy potop i znikł pod gruzami. Kiedy się podniosłam, wokół panowała nuklearna noc. Powietrze stało się szaroczarne, ciężkie. Cała byłam pokryta grubą skorupą popiołu.

Dałam znak kelnerowi i powtórzyłam zamówienie. Tu, na północy Manhattanu, jesteśmy daleko od World Trade Center, ale tego wieczoru w całym mieście panuje gorączkowa atmosfera: coś między oblężeniem a godziną policyjną.

Bar, zwykle pełen wesoło bawiących się klientów, jest w trzech czwartych pusty. Ci, którzy tu przyszli, wpatrują się w ekrany swoich komórek albo barowego telewizora, w którym dziennikarze i różni „eksperci” starają się rozszyfrować ten zamach.

Biorę łyk alkoholu.

Dziś, tak jak wielu nowojorczyków, mogłam wszystko stracić.

Ale właściwie co?

Życie? Miłość?

Gdybym zginęła, kto tak naprawdę tęskniłby za mną dziś wieczorem?

Moi rodzice, może... Ale oprócz nich?

Dziwne wspomnienie tłucze mi się po głowie. Tego ranka, kiedy ta betonowa fala ruszyła w moim kierunku, kiedy byłam przekonana, że zaraz zginę, to jego twarz pojawiła się przed moimi oczami.

Twarz Arthura Costella.

Nie twarz mojej mamy ani mojego taty, ani żadnego innego mężczyzny.

Dlaczego on? Nie widziałam go już trzy lata, ale wspomnienie o nim wciąż we mnie żyje.

Z nim było mi tak dobrze. Czulałam się pewna siebie, spokojna, godna miłości...

Kiedy na mnie patrzył, miałam to rzadkie uczucie, że jestem na swoim miejscu. Byłam wówczas kobietą, którą zawsze pragnęłam być.

Ale jak żyć z człowiekiem, który istnieje tylko przez jeden dzień w roku?

Z takim, którego nie ma jak przedstawić rodzicom.

Z którym nie da się niczego zaplanować.

Do którego nie można się przytulić w wieczory z chandrą.

Holy shit!

Wykańczam swojego drinka jednym haustem.

Dziś wieczorem tak bardzo go potrzebuję, że dałabym wszystko, żeby znów stanął na progu.

Tak więc dziecinnie składam dłonie, zamykam oczy i zaczynam się modlić jak wtedy, gdy miałam dziesięć lat. Boże, proszę cię, sprowadź do mnie Arthura Costella! Boże, proszę cię, sprowadź do mnie Arthura Costella!

Oczywiście nic się nie dzieje. Zrezygnowana podnoszę rękę, żeby zamówić kolejnego drinka.

Nagle od strony kuchni dobiega nas hałas tłuczonego szkła, wszyscy aż podskakują z wrażenia. Tak jakby ktoś wypuścił z rąk wielką stertę talerzy. Później słyhać krzyk, ludzie milkną. Niespokojne spojrzenia kierują się na zaplecze. A drzwi kuchni otwierają się nagle z hałasem i ukazuje się w nich przybysz znikąd.

Potargany facet w kurtce Czerwonego Krzyża z futrzanym kapturem.

Część czwarta
Klan Costellów

2002

Trzeci oddech

Tego najważniejszego nie da się przewidzieć. Każdemu z nas z pewnością zdarzały się wielkie radości tam, gdzie nic ich nie zapowiadało. Tęsknimy za nimi tak bardzo, że żałujemy nawet nieszczęść, jeśli były ich źródłem.

Antoine de Saint-Exupéry

0

Znajomy odgłos przejeżdżających samochodów.

Ciepły powiew wiosennego wiatru. Przebudzenie raczej przyjemne.

Otwieram oczy. Odgaduję światło brzasku. Leżę na ciemnozielonej ławce z drewna i metalu. Ławka stoi na chodniku przy szerokiej alei obrośniętej platanami.

Mimo ciepła i przyjemnego otoczenia od razu wyczuwam, że jest inaczej niż zwykle.

Zaniepokojony rzucam okiem na numery rejestracyjne samochodów, dostrzegam nazwę jakiejś restauracji, tonącej w zieleni – Closerie des Lilas – przyglądam się słupowi ogłoszeniowemu obok ławki – afisz na nim zapowiada rychłą premierę filmu zatytułowanego *Hiszpańska oberża* – teraz przypatruję się nazwie ulicy – boulevard Montparnasse.

W końcu, nasłuchując, stwierdzam, że wszystkie rozmowy wokół mnie odbywają się po francusku.

Po raz pierwszy nie obudziłem się w Nowym Jorku.

Jestem w Paryżu!

1

Ruszyłem biegiem bulwarem, szukając budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Sullivana. W budce przed kościołem Notre Dame des Champs spał jakiś kloszard, ale i tak nie mógłbym zadzwonić, bo aparat był na kartę, której nie miałem. Zarzuciłem pomysł skorzystania z telefonu i zacząłem łapać taksówkę. Pierwszemu kierowcy, który się zatrzymał, wyjaśniłem, że mam tylko dolary, ale że podwoję stawkę, jeśli jak najprędzej dowiezie mnie na lotnisko. Taksówkarz nawet nie odpowiedział i szybko odjechał. Drugi na szczęście był bardziej sympatyczny i zgodził się mnie zabrać.

Popatrzyłem na zegar na tablicy rozdzielczej: była siódma trzydzieści rano. Na siedzeniu leżał egzemplarz „Le Monde’a”, z 12 czerwca 2002 roku. Zobaczyłem na pierwszej stronie wielki tytuł i zdjęcie piłkarza Zinédine’a Zidane’a.

**Mistrzostwa świata w piłce nożnej:
Francja wyeliminowana. Mistrzowie z 1998 roku,
drużyna Niebieskich, zostali dramatycznie
pobici przez Duńczyków dwa do zera**

Tym razem nie zadowolilem się dziewięciomiesięcznym skokiem w czasie, przeskoczyłem jeszcze na inny kontynent.

Patrzyłem przez okno na nazwy miejscowości, które mijaliśmy, wskazujące na miejsca, o których istnieniu nawet nie słyszałem. Porte de Bagnolet, Noisy-le-Sec, Bondy, Aulnay-sous-Bois, Villepinte... Nie było zbyt dużego ruchu. W niecałe trzy kwadranse byliśmy na lotnisku Charles’a de Gaulle’a. Tak jak doradził mi taksówkarz, wysiadłem przy terminalu 2E, tam gdzie według niego znajdował się oddział Delta Airlines, żebym mógł kupić bilet. Dzięki przezorności Sullivana miałem pełne kieszenie pieniędzy i paszport, który, miałem nadzieję, wciąż był ważny.

Były jeszcze miejsca na lot o dziesiątej trzydzieści pięć. Zapłaciłem za bilet gotówką i bez trudu przeszedłem przez kontrolę paszportową. W poczekalni tuż przed wejściem na pokład samolotu zafundowałem sobie kawę i brioszkę z rodzynekami. Potem wymieniłem kilka dolarów na euro i kupiłem kartę telefoniczną. Lepiej upewnić się, że Lisa jest w Nowym Jorku, zanim wsiądę do samolotu. Kilkakrotnie wykręciłem numer do dziadka, ale nikt nie odebrał. To dziwne, zwłaszcza że w Nowym Jorku była trzecia rano. Albo dziadek spał jak suseł, albo nie było go w domu.

W kiosku kupiłem amerykańskie czasopisma. We wszystkich międlono do znudzenia o wojnie z terroryzmem George’a W. Busha i o tej jego osławionej „osi zła”. Po chwili zaproszono nas na pokład samolotu. Szybko znalazłem się na swoim fotelu, ściśnięty między matką starającą się uciszyć swego berbecia i jakimś przepoconym nastolatkiem, który słuchał na pełen regulator muzyki ze swojego walkmana.

Przez dłuższą część podróży wspominałem wydarzenia z poprzedniego dnia. To znaczy z poprzedniego dnia zeszłego roku...

Tego katastrofalnego jedenastego września zmaterializowałem się w kuchni Empañada Papas i z zaskoczeniem odkryłem, że Lisa siedzi przy barze, tak jakby na mnie czekała. Widząc mnie, rzuciła mi się na szyję, cała we łzach. Zamachy na wieże WTC wywołały w niej niezaspokojony apetyt na życie. Mimo straszego chaosu spotkaliśmy się i kochaliśmy bez zahamowań, w pośpiechu, nie myśląc o jutrze.

Kiedy „wyparowywałem”, ona głęboko spała i rozstaliśmy się, nie robiąc żadnych planów na wspólną przyszłość. Czego mogłem teraz oczekiwać? Czy Lisa przyjmie mnie z uśmiechem, czy znów da mi w twarz?

Wydawało mi się, że podróż ciągnie się w nieskończoność. Kiedy airbus wylądował wreszcie na JFK, od razu wskoczyłem do taksówki, podając adres mieszkania przy Morningside Heights.

Było prawie południe, kiedy dojechaliśmy do tej ulicy. Poprosiłem szofera, żeby zaczekał, i przeskakując po dwa stopnie, wbiegłem na właściwe piętro. Nacisnąłem dzwonek, ale nikt mi nie otworzył. Mimo że zachowywałem się cicho, kłótniwa sąsiadka, Lena Markovic, musiała mnie usłyszeć, bo wyszła na klatkę uzbrojona w rozpylacz z gazem łzawiącym. Starła się mnie nim spryskać, ale zwałem co sił w nogach. To nie był dobry moment, żeby znów złapała mnie policja. Wsiadłem do mojej taksówki i kazałem się zawieźć na Washington Square. Zapukałem do mieszkania Sullivana, z tym samym skutkiem co u Lisy. Miałem zawrócić, gdy w kołatce z głową lwa zauważyłem kopertę z moim imieniem.

Cześć, chłopcze!

Nigdy nie wierzyłem w Boga.

Ale może nie mam racji.

Być może rzeczywiście istnieje jakiś Wielki Projektant, który ma nadzór nad naszym przeznaczeniem. Być może nawet czasami jest łaskawy...

Tak chciałbym, żebyś pojawił się dzisiaj!

Chciałbym, żebyś mógł być tego świadkiem, podobnie jak ja prawie czterdzieści lat temu.

Nie wierzę w Boga, a tymczasem od kilku tygodni modłę się w samotności do niego. Nie mam przy sobie nikogo wierzącego, nie wiem, jakich używać słów, nie wiem, co mógłbym obiecać w zamian.

Jeśli więc rzeczywiście jest gdzieś na tej planecie Bóg i jeśli wrócisz dzisiaj, nie trać ani minuty! Przyjedź do nas jak najprędzej, na oddział położniczy Bellevue Hospital.

Pospiesz się!

Będziesz tatą!

2

Pędzę.

W towarzystwie pielęgniarki biegnę korytarzami szpitala.

Ostatnim razem byłem tu osiem lat temu. Wówczas Lisa połknęła koktajl alkoholowy zaprawiony pigułkami nasennymi, a następnie podcięła sobie żyły. Chciała sobie zadać śmierć.

Dziś ofiarowuje życie.

Koło fortuny musi się obracać. Trzeba umieć odparowywać ciosy. Trzeba być twardym. Wysłuchać krytyk, przeczekać deszcz, nie utopić się w potopie... W większości przypadków koło fortuny w końcu się odwraca, no, może nie zawsze, ale często.

I dzieje się to przeważnie w chwili, gdy w ogóle się tego nie spodziewamy.

Otwieram drzwi pokoju numer 810.

Lisa leży na łóżku porodowym. Obok stoją Sullivan i położna. Lisa jest okrągła, wspaniała, rozpromieniona, słowem, zupełnie inna! Na mój widok krzyczy i wybucha płaczem.

– Tak czekałam na ciebie! – mówi, kiedy się obejmujemy.

Potem wpadam w ramiona Sullivana.

– Cholerny świat, wiedziałem! – wykrzykuje dziadek, zgniatając mnie w swoich ramionach.

On też ma oczy pełne łez. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego.

– Skąd przybywasz?

– Z Paryża. Opowiem ci.

Patrzę na ogromny brzuch Lisy. Nie mogę uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Nie mogę uwierzyć, że to nasza kolej zostać rodzicami.

– Jestem lekarzem – mówię do położnej. – Jak sprawa wygląda?

– Skurcze zaczęły się o dziesiątej. Wody odeszły godzinę temu. Rozwarcie na sześć centymetrów.

– Anestezjolog zrobił znieczulenie zewnątrzoponowe?

– Tak, ale chyba zbyt silne, i to spowolniło skurcze – mówi mi Lisa. – Nie czuję w ogóle nóg.

– Nie denerwuj się, najdroższa. Zaczekamy, aż to minie, i zrobimy ci drugi zastrzyk, słabszy.

Położna Betty zostawia nas samych na chwilę. Lisa korzysta z tego i pokazuje mi zdjęcia z kolejnych USG.

– To jest chłopczyk! – mówi z dumą. – I dobrze, że wróciłeś właśnie dziś, bo wyobraź sobie, że czekam na ciebie, nie chcę wybierać sama imienia!

Prawie przez godzinę rzucamy sobie wzajemnie różne propozycje. Sullivan wtrąca swoje trzy grosze i w końcu wszyscy godzimy się na Benjamina.

– Aha, aha, następnym razem, kiedy raczysz nas odwiedzić, nie pomył adresów! – ostrzega mnie Lisa.

– Jak to? Nie rozumiem...

– Nie wyobrażałeś sobie chyba, że będę wychowywać twego syna w tym malutkim mieszkanku! Przeprowadziłam się!

Tym razem to Sullivan wyjmuje polaroid z kieszeni. Pokazuje mi zdjęcia pięknego domu z cegły w Greenwich Village. Rozpoznaję róg Cornelia Street i Bleecker, niedaleko Oyster Bar, do którego zaprosił mnie na ostrygi w 1995 roku. Rozemocjonowany widzę w pełniumeblowany pokój dziecienny: łóżeczko, przewijak, komoda, wózek, fotelik samochodowy, fotel do karmienia...

Przeglądając zdjęcia, rozumiem wreszcie, do czego posłużyły pieniądze zarobione na giełdzie.

Tym mierzy się wolność...

– Doktor idzie – uprzedza mnie Betty.

– Ale to ja jestem doktorem.

– Być może, ale nie będzie pan przyjmował porodu żony.

– Nawet o tym nie myśl! – dodaje Lisa.

Czekając na ginekologa, położna sadza Lisę w stosownej pozycji, opiera jej stopy na podpórkach, przypomina, jak się zachowywać podczas porodu, żeby panować nad skurczami i skoncentrować na oddechu. Lisa myśli, że to wciąż ćwiczenia, ale nagle dociera do niej, że poród się zaczął.

– No, proszę przeciw w czasie każdego skurczu! – rzuca ginekolog, który zjawia się w pokoju jak jakiś *guest star*.

Przez następne dziesięć minut trzymam Lisę za rękę, pomagam, jak umiem: puszczam do niej oko, kiwam głową, żartuję.

Doświadczenie lekarskie podpowiada mi, że wszystko toczy się normalnie. Dość prędko widzimy główkę noworodka.

Brałem udział w kilku porodach w swoim szpitalu i wiem, że skurcze, które teraz nadchodzą, będą najbardziej bolesne. Lisa puszcza moją dłoń i skowyczy z bólu. Traci oddech, dusi się, prawie się załamuje, potem zbiera resztki energii i ostatkiem sił staje do walki.

I nagle koniec! Spokój. Czas jakby się zatrzymał.

Przez kanał rodny przeszła reszta ciała dziecka. I już bobas wierci się i płacze na piersiach Lisy. Cały pokurczony, liliowy, a już pełen życia.

Przecinam pępowinę i nachylam się nad nim. Lisa mnie obserwuje. Jestem bardzo wzruszony. Łzy, pot, krew... Pole bitwy w wojnie, z której wszyscy uszliśmy z życiem.

Teraz jest nas trójka.

3

Pod okiem położnej i dziadka robię memu synkowi pierwszą kąpiel. Nie spieszę się, chcę mu się dokładnie przyjrzeć. Jest duży, ma wypukły tors, maleńkie, choć jak na noworodka długie i smukłe, paluszki. Ma już czarną czuprynkę, dwoje szeroko otwartych, wspaniałych oczu.

– Dzięki za dom! – powiedziałem, wycierając maleńkie ciało.

– Nie ma za co! – odrzekł Sullivan. – Nie martw się, zajmę się twoją rodziną podczas twojej nieobecności.

– A ty, jak się czujesz? Zdrowie w porządku?

Dziadek się roześmiał.

– Nie martw się o mnie, chłopcze. To dziecko przyniesie mi drugą młodość!

Betty z dziadkiem odchodzą, ja przytulam do siebie małego Bena i siadam w fotelu naprzeciw okna, które wychodzi na osłoneczone dachy miasta.

Czuję jego skórę na swojej skórze.

I cicho płaczę.

Długi moment siedzę tak z moim synkiem, tym małym człowieczkiem poczętym w chaosie dnia pełnego popiołu i strachu.

Jaki on będzie? Jak da sobie radę w tym pełnym niebezpieczeństw świecie? Jak będę mógł go kochać, chronić, jeśli prawie nigdy mnie przy nim nie będzie?

Wycieram łzy ramieniem. Czuję wagę odpowiedzialności, która miesza się ze szczęściem.

Wiem, że za kilka godzin odejdę.

Ale po raz pierwszy czuję się silniejszy, lepiej zorganizowany.

Spoglądam na małego człowieczka, który zasnął. To jego obecność daje mi siłę! Uśmiecham się.

Cholera, ale przygoda!

Myślę o wszystkim, co się zdarzyło i co w końcu do tego doprowadziło.

Muszę odeprzeć wszystkie ciosy, które na mnie spadną. Dla niego.

Któregoś dnia ten piekielny cykl się skończy.

Dzisiejszy dzień był bardzo ważny. Wojna wciąż trwa, ale czuję, że wygrałem ważną bitwę.

Nic już odtąd nie będzie takie jak przedtem.

Upajam się tą chwilą.

Zaczyna się nowe życie.

2003–2010

Czas mija

Był jeszcze zbyt młody, by wiedzieć, że serce zapomina o złych momentach, a upiększa dobre, i że dzięki temu fortelowi żyjemy w zgodzie z przeszłością.

Gabriel García Márquez

1

Czas zaczął biec swoim tempem.

Wciąż budziłem się do życia raz w roku, zawsze na Manhattanie, a w każdym razie w stanie Nowy Jork. Czasem obudzenie następowało w miejscach bardzo miłych (na przykład na targu kwiatowym przy Dwudziestej Ósmej Ulicy, na miękkiej kanapie w Campbell Apartment, a nawet pewnego letniego ranka na plaży w Rockaway Beach), a czasem w miejscach zdecydowanie niesympatycznych (na przykład na Hart Island, gdzie mieszczą się zbiorowe groby zmarłych mieszkańców Nowego Jorku, po których nikt się zgłosił, albo podczas defilady w Dzień Świętego Patryka, niemal zdeptany przez tłum, czy na miejscu zabójstwa, w jakimś podejrzanym pokoju hotelowym na Bedford-Stuyvesant, obok jeszcze ciepłych zwłok, z których spływała krew...).

Wypracowałem sobie pewną rutynę. Przede wszystkim zwracałem uwagę, żeby w momencie odejścia zawsze mieć na sobie ciepłe ubranie i dobre buty, zegarek i wystarczająco dużo pieniędzy. Potem, jeśli to było możliwe, gdy się budziłem, natychmiast wsiadałem do taksówki i jechałem do domu, do mojej rodziny.

Benjamin rósł bardzo prędko. Zbyt prędko.

Przez cały rok Lisa wklejała zdjęcia do ogromnych albumów i kręciła filmy, dzięki czemu za każdym powrotem mogłem mieć wrażenie, że trochę nadrabiam stracony czas. Oglądając te pamiątki, odkrywałem z błyszczącymi oczami pierwsze uśmiechy mego synka, jego pierwsze „tata”, „brawo”, „kuku”, „pa, pa”, jego pierwsze dwa ząbki, z którymi wyglądał jak Królik Bugs, jego pierwsze niepewne kroki, jego pierwsze książki z obrazkami, jego pluszowe zabawki, puzzle, jego kaprysy, złości, jego ożywione kołysanie się za każdym razem, kiedy słyszał jakąś muzykę.

Później jego pierwsze zdania, jego pierwsze uderzenia piłki, jego rysunki, ludzi lub domów, on w stroju kowboja, on na rowerku o trzech kółkach.

Nigdy nie udało mi się wrócić na rozpoczęcie roku szkolnego ani obejrzeć spektaklu na zakończenie roku. To nie ja objaśniałem mu różnice kolorów i nie ja nauczyłem go

liczyć. Również nie ja przepytywałem go z alfabetu, nie ja odczepiłem mu pomocnicze boczne kółka od rowerka ani nie ja zjąłem mu dmuchane rękawki na basenie.

Kiedy wracałem do domu, robiłem, co mogłem, żeby być prawdziwym ojcem. Bo byłem ojcem znikającym, który zawsze pojawiał się niespodziewanie, czasem nie w porę, i który znikał równie szybko, jak się pojawiał.

2

Ale jednak mieliśmy świetne dni. Dni, w których na kilka godzin stawaliśmy się tym, czym pragnęliśmy być najbardziej na świecie: rodziną jak każda inna.

□

2006, Coney Island. Dzień Niepodległości. Ben ma cztery lata. Niosę go na barana. Słońce stoi w zenicie. Trzymamy się z Lisą za ręce i spacerujemy po drewnianej promenadzie biegnącej wzdłuż plaży, wspominając z nostalgią, jak dziewięć lat wcześniej przyjechaliśmy tu w środku zimy. Kąpiemy się wszyscy troje razem, jemy hot dogi w Nathan's Famous, idziemy na diabelski młyn i na kolejkę górską w wesołym miasteczku. Wieczór spędzamy z Sullivanem i oglądamy spektakl sztucznych ogni na brzegach East River.

□

Październikowa niedziela w 2007 roku. Obudziłem się o kilkadziesiąt metrów od domu, pod latarnią na Christopher Street. Właśnie minęło południe, kiedy dzwonię do drzwi naszego domu. Otwiera mi dziadek. Jak za każdym razem długo się obejmujemy.

– Doskonale, że się zjawiłeś! – mówi mi.

Marszczę brwi, a on ciągnie mnie do jadalni. Przy stole siedzą rodzice Lisy, spotykam ich po raz pierwszy.

– Mówiłam wam, że on istnieje! – krzyczy wesoło Lisa i rzuca mi się w ramiona. – Tato, mam, przedstawiam wam „znikającego człowieka”.

I dzień mija w towarzystwie moich teściów, tak jakbyśmy się znali od zawsze.

□

Koniec maja 2008 roku, ósma wieczorem. To Manhattanhenge: „przesilenie manhattańskie”. Na ulicach zebrały się tłumy, żeby obejrzyć zachód słońca, który dwa razy do roku zrównuje się idealnie z siatką szerokich alei Manhattanu na osi wschód – zachód.

Lisa z Benem stoją przed domem. Mój synek siedzi na swoim rowerku, a jego mama odwrócona jest do mnie plecami i nie widzi, jak się zbliżam.

– To tata! – wrzeszczy Ben, zauważając mnie. – Tata!

Zaczyna pedałować jak wariat i widzę, jak Lisa się odwraca. Będzie niedługo w ósmym miesiącu ciąży.

– Teraz będzie dziewczynka! – mówi, wtulając głowę w moje ramię.

Jestem tak samo wzruszony jak za pierwszym razem.

– Ale tym razem przybywam za wcześnie, żeby towarzyszyć ci w porodzie...

Lisa rozkłada ręce, żeby mi pokazać, że to nic nie szkodzi.

– Czekałam na ciebie, żeby wybrać imię, ale mam taką małą sugestię: może byśmy nazwali ją Sophia?



Sobotni ranek lata 2009 roku, w ochronnym kokonie naszego domu. Lisa oddaje się niezdrowej przyjemności pochłaniania bułki ze słonym masłem i nutellą, ja biorę do ręki gitarę i gram akordy do jednej z piosenek Leonarda Cohena.

So Long, Marianne.

Na swoim wysokim krzesełku mała Sophia, moja piękna księżniczka, towarzyszy mi, uderzając zamasyście w rytm łyżką o plastikowy talerzyk. Benjamin przebrany za Indianina podskakuje, wykonując Taniec Deszczu wokół wyspy kuchennej.

Na blacie roboczym leży numer „Time Magazine”, a na jego okładce umieszczono zdjęcie tygrysa bengalskiego i niepokojący napis:

**Zmiany klimatyczne:
w kierunku zanikania gatunków**

Obserwuję moje dzieci i myślę, że są fantastyczne. Tylko dzięki nim jeszcze się trzymam. Pomagają mi nie załamać się i mieć wiarę w przyszłość. Ale za każdym razem, kiedy spoglądam na nie, przypomina mi się napis na miedzianej tabliczce w latarni: „Po wicherze, w której zawieją dwadzieścia cztery wiatry, nic nie ostanie”. Za każdym razem cichy głosik przypomina mi ostrzeżenie Sullivana: „Musisz przyzwyczać się do myśli, że wszystko, co zbudujesz podczas najbliższych dwudziestu czterech lat, zawali się jak zamek z piasku nieodwracalnie zniszczony nadpływającą falą. To jest prawdziwa klątwa latarni: rankiem dwudziestego czwartego dnia wszystko zniknie. Żadna z osób, które spotkałeś, nie będzie ciebie pamiętać”.

Nie zapominam słów dziadka, ale postanowiłem żyć tak, jakby historia niekoniecznie musiała się powtórzyć. Niczym więzień, który liczy dni do wyjścia na wolność, ja liczę lata, które dzielą mnie od dwudziestej czwartej podróży, od mojego sądu ostatecznego.



Któregoś wieczoru wiosną 2010 roku niosę Bena na rękach do łóżka. Zasnął przy *Avatarze*, którego oglądaliśmy całą rodziną na kanapie w salonie.

Kładę go do łóżka i opatulam, bardzo mocno całuję. Chcę zabrać z sobą jak najwięcej jego zapachu, musi mi wystarczyć do przyszłego roku. Kiedy zamierzam wyjść z pokoju, Ben łapie mnie za rękaw.

– Idziesz już, tato?

– Tak, kochanie! – odpowiadam i siadam na łóżku.

– A dokąd idziesz?

– Nigdzie, Ben, wiesz dobrze, już rozmawialiśmy o tym.

Mój synek prostuje się na łóżku i poprawia poduszkę.

– Nie idziesz do swojej drugiej rodziny? – pyta głosem, w którym słyszę strach.

– Nie, Ben, nie mam żadnej drugiej rodziny, co ci przyszło do głowy? Mam tylko was: mamę, dziadka, Sopię i ciebie. Nie ma nikogo innego.

Czochram go po głowie. On nie ustępuje, złości się.

– Ale kiedy cię z nami nie ma, musisz gdzieś być! To niemożliwe, żeby było inaczej!

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, że to trudno zrozumieć, ale dla mnie czas upływa inaczej. Mama ci to już wiele razy tłumaczyła.

Ben wzdycha.

– Czy kiedyś wszystko stanie się normalne?

– Mam nadzieję.

– Kiedy?

– Za pięć lat – odpowiadam. – W roku dwa tysiące piętnastym.

Ben liczy w myślach.

– W dwa tysiące piętnastym roku będę miał trzynaście lat.

– Zgadzam się z tobą, że to jeszcze daleko. No, śpij już.

– Czy mogę zobaczyć, jak będziesz znikał?

– Nie, to nie żadna zabawa ani sztuczka magiczna. A poza tym nie odchodzę już teraz, jeszcze trochę chcę pobyć z mamą.

Znów go otulam i całuję.

– Jak mnie nie będzie, liczę na ciebie: masz być miły dla twojej siostry, a przede wszystkim dla mamy.

Ben kiwa głową i mówi:

– Kiedy ciebie nie ma, to ja jestem głową rodziny!

– Nie, Ben. Głową rodziny jest mama. Ty jesteś mężczyzną w rodzinie. Zgoda?

– Zgoda!

3

Czas mijał jak z bicia trzaśł.

Już dobiegał końca rok 2010.

Ameryka skończyła z rodziną Bushów i zapowiadała się era Obamy.

Z każdym powrotem obserwowałem kolejne zmiany na świecie. Wszędzie zapanował internet, który wchłaniał wszystko: muzykę, książki, kino. Ludzie nie rozstawali się ze swoimi komórkami, co chwila do nich zaglądali, iPhone, Facebook,

Google, Amazon... Wszystko stawało się wirtualne, cyfrowe, niematerialne: korespondencja, zakupy, wymiana poglądów, przyjaciele, rozrywki.

Nie rozumiałem wielu rzeczy z dziedziny kultury. Nie znałem młodych aktorów, nowych zespołów rockowych, nowych celebrytów, przy czym często nie pojmowałem, dlaczego stali się sławni.

Pamiętam, jak na początku lat osiemdziesiątych mój ojciec mówił, kiedy godzinami słuchałem kaset na swoim walkmanie: „Ten aparat stworzy całe pokolenia, nie dość, że głupków, to jeszcze głuchych!”, albo: „Madonna to dziwka, David Bowie to transwestyta, a Eric Clapton to narkoman”. Teraz wydawało mi się, że sam stałem się takim starym zgredem reakcjonistą jak ci, których nie znosiłem jako nastolatek.

Byłem podróżnikiem, który podróżował na skróty w czasie i żył tylko chwilami.

Brakowało mi słów i punktów odniesienia.

Byłem jak rozbitek wyrzucony na brzeg, zagubiony i zdezorientowany w świecie, w którym czułem się obco i którego się bałem.

Rodzina była moją jedyną kotwicą.

I moim jedynym horyzontem.

2011

Pokonane serca

*To nie miłość przeszkadza w życiu,
ale jej niepewność.*

François Truffaut

0

Duszne gorąco dobrze ogrzanego pomieszczenia.

Mojego policzka dotyka coś aksamitnego.

Siedzę bardzo wygodnie, opieram szyję o coś rozkosznie miękkiego.

Potem muzyka, dźwięczny głos, ballada o rozstaniu, smutek utraconej miłości. Przez kilka chwil dają się unieść rytmowi piosenki. Znam ją zresztą, to piosenka Abby, *The Winner Takes it All*.

Otwieram oczy.

Siedzę w fotelu na sali teatralnej. Wokół mnie tłum widzów wpatrzonych w scenę, na której rozgrywa się akcja musicalu *Mamma Mia!*

Rozglądam się, podnoszę wzrok. Wyjątkowo duża scena, wysoki sufit, kształt podscenia... Już tu kiedyś byłem.

Jestem w Winter Garden Theater na Broadwayu. Byłem tu z mamą, która na krótko przed śmiercią zabrała mnie na musical *Koty*.

Wstaję i pośród pomruków niezadowolenia przeciskam się między sąsiadami, żeby wyjść z rzędu foteli. Idę bokiem w górę sali, schodzę do foyer i opuszczam teatr.

1

Broadway, wieczór.

Po kilku krokach znalazłem się w rozgorączkowanej atmosferze Times Square, otoczony tłumem, autobusami, wózkami sprzedawców hot dogów... Na billboardach wyświetlano romantyczne reklamy różnych marek biżuterii. Na chodnikach uliczni sprzedawcy starali się wciskać klientom balony w kształcie serca wypełnione helem i bukiety podwiędłych już kwiatów. Było trochę po siódmej wieczorem, 14 lutego 2011 roku, walentynki.

Kiedy łąpałem taksówkę, przypomniałem sobie ten lipcowy poranek 1992 roku, kiedy Jeffrey Wexler wyciągnął mnie z więzienia. Wynająłem wówczas samochód gdzieś niedaleko stąd i od tamtej pory właściwie tu nie byłem. W ciągu dwudziestu lat miejsce to zmieniło się w wielkie centrum rozrywki pod gołym niebem. Sklepy Disneya i butiki z asortymentem dla dzieci i rodziców wyparły stąd dawne peep-show i kina porno. Bezdomni, narkomani i prostytutki ustąpili miejsca turystom.

Nadjechała taksówka, ford escape hybrid. Wsiadłem i dziesięć minut później byłem w kwiaciarni na Bleecker Street, żeby kupić Lisie oryginalny bukiet z białych i różowych storczyków.

Z kwiatami w ręku pukałem do drzwi, cały ożywiony na myśl o spotkaniu z żoną i dziećmi.

Ale to nie Lisa mi otworzyła.

– Dobry wieczór, w czym mogę panu pomóc? – spytała jakaś ledwo dwudziestoletnia blondynka, w za dużej bluzie dresowej z logo Stockholm School of Economics.

– Gdzie jest moja żona?

– A kim pan jest?

– A kim pani jest?! – podniosłem głos, zirytowany.

Blondynka przestraszyła się i przymknęła drzwi.

– Jestem opiekunką do dzieci. Opiekuję się Benjaminem i Sophią, kiedy pani...

– Tata! Tata! – wykrzyknął Ben na mój widok.

Podniosłem go i zakręciłem nim w powietrzu.

– Cześć, wielkoludzie! Ależ ty urosłeś!

Nie zwracając uwagi na Szwedkę, wparowałem do mieszkania.

Sophii nie było w salonie. Położyłem bukiet na stole i wszedłem na górę do jej pokoju. Moja córeczka spała głębokim snem w swoim łóżku.

– Ona już śpi? – wyszeptałem do siebie ze zdziwieniem.

– Sophia była dzisiaj trochę chora... – wymamrotała opiekunka jakby stropiona.

– To znaczy?

– Bronchit, zapalenie zatok i uszu, wszystko razem.

Delikatnie pocałowałem Sophię i przyłożyłem dłoń do jej czoła.

– Ona ma gorączkę.

– Wiem – odpowiedziała blondynka. – Ale nie chciałam jej budzić. Dam jej później paracetamol.

Zszedłem do kuchni.

– Wiesz, gdzie jest mamusia, Ben?

– Wyszła.

– Widzę, że wyszła, ale dokąd?

Ben potrząsnął głową.

– Gdzie jest moja żona? – zapytałem dziewczynę.

– Nie wiem. Nie wiedziałam nawet, że Lisa jest zamężna, a tak czy inaczej, ona mi się nie spowiada, dokąd chodzi...

Nie słuchałem jej dłużej. Lisa musiała gdzieś zostawić jakiś kontakt, na wszelki wypadek. Popatrzyłem przy telefonie, potem zajrzałem do wazonika, do którego odkładało się klucze i inne drobiazgi, wreszcie sprawdziłem na lodówce. Mała karteczka

wyrwana z notesu przyczepiona była magnesem do drzwiczek. Lisa napisała na niej: Restauracja Bouley, 163 Duane Street i numer telefonu.

Restauracja... W walentynkowy wieczór!

– Ona tam jest?

– Mówię panu, że nie wiem!

– Cholera! – rzuciłem blondynce wrogie spojrzenie.

Ben złapał mnie za rękaw.

– Tata, nie wolno mówić brzydkich słów!

Ukląkłem przy nim.

– Masz rację. Słuchaj, pójdę po mamę i zaraz wrócę, zgoda?

– Mogę pójść z tobą?

– Nie ma po co, wrócę za pół godziny. Jeśli będziesz grzeczny, przygotuję ci lasagne.

– Ale ja już jadłem.

– Może w takim razie jakiś deser? Lody z sosem karmelowym i pieczonymi migdałami!

– Mama nie lubi, jak jem lody. Mówi, że to jest tłuste i słodkie.

Westchnąłem, czochrając mu włosy.

– Zaraz wracam, synku!

2

Zrezygnowałem z łapania taksówki. Był bardzo duży ruch, TriBeCa znajdowała się niedaleko stąd, a lekki jogging na pewno mi nie zaszkodzi.

Skierowałem się na południe, pobiegłem MacDougal Street, Szóstą Aleją i Broadwayem aż do Duane Street.

– Czy zarezerwował pan stół, proszę pana?

Zdyszany i spocony wszedłem do tej eleganckiej restauracji, wyglądając, jakbym urwał się z choinki. Miałem na sobie tę starą czerwoną kurtkę z futrzanym kołnierzem i dżinsy, wszyscy goście zaś byli w garniturach i wieczorowych sukniach.

– Chcę tylko sprawdzić, czy jest tutaj moja żona.

– Mogę po nią pójść, proszę pana – odpowiedział kierownik sali, sprawdzając ekran komputera. – Na jakie nazwisko była rezerwacja?

– Dziękuję panu bardzo, ale wolałbym sam sprawdzić.

– Ależ proszę pana, nie może pan...

Przemierzyłem hol i wszedłem do głównej sali.

Był to rzeczywiście walentynkowy wieczór i przy stolikach siedziały głównie pary.

Bouley była typową restauracją na romantyczny wieczór: wystrój miała bardzo elegancki, wyrafinowany i przytulny zarazem: kandelabry, łukowo sklepiony sufit, na ścianach malarstwo w stylu prowansalskim.

Zauważyłem Lisę przy stoliku niedaleko kamiennego kominka pośrodku sali. Była wystrojona, zrelaksowana i siedziała twarzą do mężczyzny odwróconego do mnie plecami.

Kiedy mnie zauważyła, przez jej twarz przebiegł grymas niezadowolenia. Złożyła swoją płócienną serwetkę, wstała i podeszła do mnie szybkim krokiem, zanim zdążyłem dojść do stolika.

– Co ty tu robisz, Arthurze?

– To raczej ja powinienem cię o to zapytać.

– Pracuję. Staram się zarobić na życie, żeby utrzymać naszą rodzinę.

– Jedząc kolację przy świecach w walentynkowy wieczór? Drwisz sobie ze mnie?!

Sala umilkła i dziesiątki par oczu popatrzyło na nas z przyganą. Nadbiegł kierownik sali i poprosił, żebyśmy dokończyli rozmowę w holu.

– Arthurze, nigdy w życiu nie świętowałam walentynek. To jest wyjście służbowe. Nie rób mi sceny, błagam cię!

– A ty nie bierz mnie za idiotę! Co to za facet?!

– To jest Nicolas Hull, renomowany pisarz i scenarzysta. Chce mi powierzyć rolę w serialu, który przygotowuje dla AMC.

– Więc wystarczy, żeby cię ktoś skusił atrakcyjną propozycją, i już idziesz z nim do restauracji wystrojona jak dziwka?!

– Nie wolno ci mnie obrażać!

Ale byłem zdenerwowany, zacząłem więc robić jej wyrzuty, powiedziałem, że wychodzi z domu, zostawiając chore trzyletnie dziecko. Lisa nie chciała się zgodzić na rolę wyrodnej matki.

– Jest luty, Sophia ma katar, tak jak dziewięćdziesiąt procent dzieci w tym mieście. To normalne w zimie. Ale tego nie możesz wiedzieć, bo ciebie nigdy nie ma w domu!

– Wiesz przecież, że to nie moja wina! Wiesz też, jak cierpię z tego powodu, wiesz, że moje życie jest koszmarem!

– A dla mnie to nie koszmar?!

Kłóciliśmy się, ale ja czułem przede wszystkim zapach jej perfum, wanilii i fiołków. Wyglądała fantastycznie. Miękkie, jedwabiste rozpuszczone włosy opadały jej na nagie ramiona i koronkowy top. Na nadgarstkach podzwaniały jej dwa emaliowane kółka. Musiała całe godziny przygotowywać się dla kogoś, kto nie był mną. Nie wybiera się obiektu do zakochania! Lisa zawsze odczuwała potrzebę testowania swego wpływu na mężczyzn. To było dla niej jak powiew świeżego powietrza. Rodzaj barometru mierzącego poziom kobiecości. Wiedziałem to od samego początku, cóż, to się nie zmieniło. Ale było powodem mojego smutku, a teraz doprowadzało mnie do szału.

Staralem się niczego po sobie nie okazać. Przecież byłem tutaj tylko przez dwadzieścia cztery godziny! Jeszcze mogę wszystko naprawić – pomyślałem naiwnie. Ale myliłem się.

– Liso, wracajmy do domu, do naszych dzieci!

– Nie mogę wyjść przed końcem spotkania. Naprawdę chcę dostać tę rolę. Wiem, że mogę ją dostać!

Straciłem cierpliwość.

– Możemy się widzieć tylko przez dwadzieścia cztery godziny w roku, a ty mi najspokojniej w świecie oznajmiasz, że wolisz dokończyć kolację z jakimś obcym facetem, zamiast spędzić wieczór ze mną?!

– Daj mi dwie godziny i wrócę do ciebie do domu. Chcę mieć czas elegancko zakończyć to spotkanie.

– Nie, nie wrócisz do tego typu!

Chwyciłem ją za rękę, ale ona się wyrwała.

– Przestań nas ośmieszać! Nie proszę cię o pozwolenie! Nie jestem twoją własnością!

– Liso, wracaj ze mną, bo inaczej...

– Inaczej co? Uderzysz mnie?! Za włosy zaciągniesz mnie do domu?! Opuścisz mnie?! Bo w tym akurat jesteś mistrzem, Arthurze! – Zrobiła w tył zwrot, żeby wrócić do stolika. – Znikający skurwysyn! – rzuciła w moim kierunku, odchodząc.

3

Wyszedłem z restauracji wściekły i załamany.

Na chodniku parkingowy przyjmował kolejny samochód, otwierając drzwiczki roadstera kabrioletu kobiecie, która siedziała za kierownicą: piękności o długich prostych włosach i sznurowanych skórzanych muszkieterkach nad kolana.

Nie zastanawiałem się długo. Podbiegłem i wyrwałem jej kluczyki, które wręczała parkingowemu.

– Hej, proszę pana!

Korzystając z zamieszania, usiadłem za kierownicą i odjechałem z piskiem opon.

Opuściłem Manhattan drogą biegnącą wzdłuż rzeki Hudson i wjechałem na State Highway prowadzącą do Bostonu.

Jechałem, wciskając gaz do dechy przez prawie cztery godziny, przyspieszałem, jak tylko mogłem, lekceważąc zasady bezpieczeństwa. Uciekałem, roztrzęsiony, zagubiony, skonsternowany zachowaniem kobiety, którą kochałem. Czuję, że puszcza jakaś tama. Byłem zmęczony, wyczerpany, niezdolny wziąć się w garść. Jaki miałem wpływ na wydarzenia? Żadnego. O niczym nie decydowałem, poddawałem się losowi. Od dwudziestu lat nie miałem żadnego wpływu na swoje życie. Występowałem na jego scenie nieregularnie, że tak powiem. Walczyłem, próbowałem dawać sobie radę. Nie uciekałem od starć, ale jak się bić, kiedy nie wiadomo nawet, z jakim wrogiem mam się zmierzyć?

Gdy tylko znalazłem się w Bostonie, obudziły się moje stare przyzwyczajenia. Zaparkowałem roadstera w jakiejś uliczce w Charlestown i pchnąłem drzwi irlandzkiego pubu MacQuillan, w którym byłem kiedyś stałym klientem.

Wreszcie jakieś miejsce, które się w ogóle nie zmieniło! Bar istniał od końca XIX wieku. Panowała tu identyczna atmosfera jak w czasach, gdy miałem dwadzieścia lat – ten sam kontuar w kształcie podkowy, ten sam klimat tawerny, to samo ciemne drewno od podłogi po sufit.

Na ścianach pożółkłe zdjęcia przypominające minione dni „zbytku i swawoli”. Pokryta trocinami podłoga nadawała barowi wygląd knajpy na Dzikim Zachodzie. Whisky i piwo płynęły strumieniami.

Wdrapałem się na stół barowy i zamówiłem pierwszy kufel.

To Frank pokazał mi ten bar, którego klientami byli przeważnie mężczyźni. Nie przychodzili na podryw ani w poszukiwaniu przyjaźni, ani żeby delektować się nowymi wyrafinowanymi drinkami, nie, przychodzili po prostu, żeby pić – zapomnieć o ciężkim

dniu, pracy, problemach, żonach, kochankach, dzieciach i rodzicach. Przychodzili, żeby się upić. Żeby się zalać w pestkę. Co też i ja uczyniłem, pijąc na zmianę piwo i whisky. Na umór. Aż nie mogłem wymówić ani słowa ani utrzymać się na nogach. Kiedy bar zamknięto, dowlokłem się ostatkiem sił do mojego nowego samochodu i w nim zasnąłem.

4

Odsypiałem alkohol aż do świtu, ale obudziło mnie raczej zimno. W ustach miałem pustynię, w głowie watę. Włączyłem silnik i nastawiłem ogrzewanie na maksa. Ruszyłem na południe. Przejechałem Harvard Bridge i dotarłem aż do Jamaica Plain. Była siódma rano, kiedy parkowałem roadstera na parkingu cmentarza Forest Hills.

O tej godzinie bramy cmentarza były jeszcze zamknięte, ale mimo straszliwego kaca przeskoczyłem przez murek w jego niskiej części.

Sto hektarów parku pokrywał szron. Białe nalot zatarł granice ścieżek. Roślinność była zwarzona zimnem. Woda w fontannach zamarzała. Pomniki wyglądały tak, jakby bóg zimy polarnym tchnieniem zamroził ludzi w ruchu.

Z oddechem przesiąkniętym alkoholem i z ciężką głową podbiegłem zboczem, wdychając lodowate powietrze, które drażniło mi płuca. Z drugiej strony wzgórza odkryłem lśniącą powierzchnię jeziora, w której odbijały się porośnięte drzewami pagórki i błękitne niebo.

Zszedłem leśną ścieżką aż do wysypanych żwirem alejek pomiędzy mogiłami i grobowcami. Nad kwaterą, w której znajdował się grób mego ojca, unosiła się lekka mgła.

FRANK COSTELLO

2 STYCZNIA 1942

6 WRZEŚNIA 1993

*Byłem tym, kim ty jesteś,
ty staniesz się tym, czym ja jestem*

– Cześć, Frank. Nie jest zbyt ciepło, co? – Czułem się bardzo dziwnie. Bardziej niż kiedykolwiek miałem do niego pretensje o to, że zmarnował mi życie. Ale w głębi duszy chciałem z nim móc znów porozmawiać. – Tutaj jest pięknie, ale martwo! – stwierdziłem, opadając na murek. – Czas musi ci się dłużyć. Pewnie się nieźle nudzisz, co? – W kieszeni znalazłem paczkę papierosów i zapaliki, które zostawiła mi kelnerka w MacQuillanie. Zapaliłem jednego, delektując się. – Nawet tego już nie możesz... Z drugiej strony, palenie cię zabiło, więc... – Wydmuchałem kolejny dym, który zawisł na chwilę w lodowatym powietrzu, zanim znikł. – W rezultacie to ty miałeś rację. W życiu nie można nikomu ufać. Dziękuję ci, że mnie tak wcześniej o tym uprzedziłeś, nawet jeśli w owej chwili tego nie doceniłem. – Jakiś ptak zaskrzeczał i zerwał się z gałęzi, wznosząc płatki śniegu, które pokryły drzewo poprzedniego wieczoru. – Ach,

no i muszę ci wreszcie powiedzieć: zostałeś dziadkiem. Tak, tak, naprawdę. Mam dziewięcioletniego synka i trzyletnią córeczkę. Nie jestem zbyt dobrym ojcem, ale mam wytłumaczenie. Odwrotnie niż ty. – Wstałem z murka i podszedłem do kamiennej płyty. Grób był nagi. Żadnych kwiatów, roślin, żadnej tabliczki. – Mam wrażenie, że twoje dzieci nie odwiedzają cię zbyt często, co? Tak naprawdę nikt za tobą nie tęskni. Zawsze myślałem, że to tylko mnie nie darzyłeś uczuciem, ale się myliłem: ich też nie lubiłeś. – Znów się zaciągnąłem i dym wydał mi się bardziej gorzki niż za pierwszym sztachnięciem. Obcasem zgmiotłem niedopałek. – Dlaczego nas nie kochałeś, Frank? – Podszedłem jeszcze bliżej do płyty, aż potknąłem się o podmurówkę. – Wiesz, ostatnio długo się nad tym zastanawiałem i wydaje mi się, że znam początek odpowiedzi. Nie kochałeś nas, bo miłość osłabia. To fakt: z chwilą gdy masz dziecko, boisz się je utracić. Z chwilą gdy masz dziecko, twoje fortyfikacje się wałają. Jesteś bezbronny, kruchy. Jeśli ktoś chce cię skrzywdzić, nie musi atakować ciebie. Stajesz się łatwym celem. – Mgła się rozeszła. Zza grobowców przeświecały pierwsze promienie słońca. – Ty nie chciałeś okazać słabości. Chciałeś pozostać nietykalny. Chciałeś być wolny, nawet jeśli ceną była samotność. Mam trochę racji, prawda? Nie kochałeś nas, żeby się nie odsłonić. Nie kochałeś nas, żeby się chronić.

Zerwał się wiatr. Przez minutę czekałem na odpowiedź, która nie nadeszła.

I nagle poranna bryza przyniosła mi ciepły, wiosenny, jak z innego świata, zapach, który mnie zmroził.

Kwiat pomarańczy.

Nie, to niemożliwe!

Dostałem dreszczy, nogi ugięły się pode mną, a ja starałem się pojąć, co się dzieje. Była ledwie siódma rano! Przebywałem tu zaledwie od dwunastu godzin.

Nie mogę teraz nagle zniknąć!

Ale mój mózg przeszła błyskawica.

I zamarznęta ziemia uciekła spod moich stóp.

Znikłem.

2012

Jedno bez drugiego

Czuć się samotnym, do tego byłem przyzwyczajony. Ale nienawidzić siebie jest gorsze od samotności.

John Irving

0

Świeża, wzmacniająca woń lawendy.

Leśna woń sosnowej żywicy. W oddali słyszę wciągającą melodię przerywaną znajomymi trzaskami płyty winylowej: to Dean Martin śpiewa *Volare*.

Mam palpacje serca i jestem spocony. Bardzo trudno mi otworzyć oczy. W gardle mi wyschło i odnoszę wrażenie, że w ustach mam pełno piasku, oprócz tego dręczy mnie silna migrena, jakby wielki kac.

W brzuchu mi burczy. Staram się poruszyć, ale łapie mnie skurcz.

W końcu silne pragnienie zmusza mnie do otwarcia oczu. Jest dzień. Powoli dochodzę do siebie. Patrzę na zegarek: trochę po czwartej po południu.

Leżę na starej kanapie Chesterfield, znajduję się w jakimś przytulnym sklepie jakby prosto wyjętym z lat pięćdziesiątych. Spoglądam na półki wokoło: słoiczki z kremami, mleczka kosmetyczne, mydła, pędzle, adapter. Wstaję, zataczam się i udaje mi się odszyfrować napis na witrynie.

Jestem w zakładzie fryzjerskim w East Harlem.

1

– Niech pan siada, chłopcze! – Słyszę za plecami.

Podskakuję na widok właściciela zakładu, starego Murzyna z siwą brodą, który na głowie nosi borsalino i ubrany jest w koszulę, kamizelkę i spodnie w paski podtrzymywane szelkami.

Gestem dłoni zaprasza mnie na fotel fryzjerski z czerwonej skóry.

– Nie słyszałem, jak pan wszedł, ale trzeba przyznać, że jestem głuchy jak pień! – odzywa się Murzyn i wybucha serdecznym śmiechem.

– Bardzo pana przepraszam, ale ja...

– Niech mi pan mówi: Djibril.

– Djibril, strasznie chce mi się pić! Czy mógłby mi pan dać szklankę wody i aspirynę?
– Na pewno się znajdzie! – odpowiada Djibril i znika na zapleczu.

W kącie salonu sterta pism leży na starym mahoniowym okrągłym stoliku na jednej nóżce, nad którym, co widać w słońcu, unoszą się tumany kurzu. Najnowsza gazeta to „Entertainment Weekly” z 24 lutego 2012 roku. Na okładce zdjęcie blondynki z krótkimi włosami, o zimnym spojrzeniu.

Lisa Ames
Spotkanie z bohaterką *Past Forward*,
nowego wspaniałego serialu

Lisa jest szczuplejsza, bardziej prowokująca i wyrafinowana niż kobieta, którą znałem. Przerzuciłem pismo i tekst wywiadu. A więc udało jej się dostać rolę, o której marzyła. Miałem się z tego cieszyć czy też żałować?

– Proszę, młody człowieku! – Djibril wrócił z syfonem pełnym wody i z paracetamolem.

Wziąłem dwie tabletki i popiłem je trzema szklankami wody gazowanej. Po chwili poczułem się lepiej, mimo że wciąż miałem okropnego kaca.

Z konsternacją przejrzałem się w lusterku. Skończyłem czterdzieści sześć lat i teraz było to ewidentne. Oczy miałem zapadnięte, ciemniejsze niż zwykle, pod nimi sińce, a w kącikach kurze łapki. Czarne włosy zmieniły się na sól z pieprzem, a na czole i szyi pojawiły się zmarszczki. Byłem bardzo blady, skóra sflaczała, a rysy twarzy straciły wyrazistość i charakter. Od nosa biegły dwie bruzdy aż do linii warg, dotykając policzków i powodując, że wyglądałem na przygnębionego.

□

Wykończony padłem na fotel. Djibril zakrył mi twarz gorącym ręcznikiem, który pachniał miętą i pieprzem. Kiedy się relaksowałem, słyszałem, jak ostrzy brzytwę o skórzany pas. Namydlił mi twarz pędzlem, po czym przejechał brzytwą po policzkach i szyi. Oddałem się całkowicie w jego ręce, wspominając nieszczęścia poprzedniego dnia.

Kłótnia z Lisą spowodowała, że pogubiłem się i odjechałem w siną dal. Straciłem dzień, który mogłem spędzić z dziećmi.

Fryzjer splukał mi twarz letnią wodą i oczyścił małe zadrapanie ałunem. Na zakończenie przyłożył mi do twarzy i powiek kolejny ciepły ręcznik pachnący miętą. Miałem zamknięte oczy, kiedy usłyszałem dzwonek zwiastujący nowego klienta. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, zbierając siły, kiedy dobiegł mnie znajomy głos:

– No jak tam, synku, chcemy mieć gładką skórę, co?

Zadrzałem z wrażenia i ściągnąłem ręcznik z twarzy. Na fotelu obok sadowił się Sullivan.

Dziadek schudł. Pogłębiły mu się bruzdy na twarzy. Wyglądał na zmęczonego, choć spojrzenie miał wciąż rażne i figlarne.

– Cieszę się, że cię widzę! – powiedziałem, obejmując go. – Przykro mi, że minęliśmy się ostatnim razem.

– Tak, Lisa mi opowiedziała. Spieprzyłeś sprawę, synku.

– Wina leżała po obu stronach – broniłem się.

Sullivan chrząknął, po czym spojrzał na Djibrila.

– To mój wnuk, Arthur. Opowiadałem ci o nim.

Stary Murzyn znów wybuchł śmiechem.

– To on, ten facet, który znika?

– Właśnie!

Djibril położył mi rękę na ramieniu.

– Wiesz, że goliłem twego dziadka już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku?

Znamy się od ponad pięćdziesięciu lat!

– Racja, staruszkule! A może byś tak poszukał buteleczki whisky w swoich zapasach, żeby to uczcić?

– Mam butelkę dwudziestoletniego bushmillsa, powiesz mi, co o niej sądzisz! – odrzekł Djibril i znikł na zapleczu.

Sullivan wyjął z kieszeni komórkę i wystukał jakiś numer.

– Dzwonię do Lisy. Jest w Kalifornii, kręci ten swój serial.

Ta informacja wytrąciła mnie z równowagi. Byłem zdecydowany ratować moje małżeństwo i nie tracić już ani dnia, więc brak możliwości spotkania się z moją żoną tego roku przygnębił mnie.

– Sophia jest z nią, ale twój syn został w Nowym Jorku – oznajmił dziadek, żeby mnie trochę pocieszyć.

Zamieniwszy kilka słów z Lisą wręczył mi telefon.

– Dzień dobry, Arthurze!

Usłyszenie świeżego, zdecydowanego głosu Lisy było dla mnie zawsze tak samo przyjemne.

– Dzień dobry, Liso. Jest mi bardzo przykro z powodu ostatniego razu.

– Może ci być przykro. Czekałam na ciebie całą noc. A przede wszystkim czekał na ciebie twój syn.

Z komórką przyklepioną do ucha wyszedłem na chodnik, żeby móc swobodnie rozmawiać. Przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Może mógłbym przyjechać do ciebie do Kalifornii? Jeśli od razu pojedę na lotnisko...

– To tylko by nam zaszkodziło! – ucięła tę kwestię zdecydowanie. – Ale gdybyś spędził trochę czasu z Benem, byłoby bardzo dobrze.

– Ale wszystko z nim w porządku? – zaniepokoiłem się.

– Nie, właśnie nie! – rzuciła oskarżycielskim tonem, nie starając się w ogóle tego ukryć. – Nie można sobie dać z nim rady. Nie uczy się, bije się ze wszystkimi, kradnie, ucieka... W domu to samo, jest nie do opanowania, w ogóle nie można się z nim dogadać, mówiąc delikatnie. Potrafi być bardzo impulsywny. Sytuacja mnie przerosła. Jedyne twój dziadek znajduje z nim wspólny język. A i to nie zawsze.

Rozpacz, którą wyczytałem w jej głosie, zmroziła mnie.

– Może trzeba by poradzić się psychologa...

- Nie czekaliśmy na ciebie z tą decyzją, wyobraź sobie. Ben już od kilku miesięcy chodzi do lekarza specjalisty, szkoła wymusiła to na nas.
- A co lekarz o tym mówi?
- Według lekarza jego zachowanie jest wołaniem o pomoc. Ale ja nie potrzebowałam porady psychologa, żeby wiedzieć, że Ben źle znosi naszą sytuację. To znaczy właściwie twoją sytuację...
- No tak, to znowu moja wina! Myślisz, że to dla niego dobrze, że mieszkasz cztery tysiące kilometrów od niego?
- Spotykamy się co tydzień. A ja nie jestem Penelopą, nie mogę siedzieć w domu i grzecznie na ciebie czekać, faszerując się środkami nasennymi i antydepresantami. Popatrzyłem na przechodniów po drugiej stronie ulicy. Przez ostatnie dwadzieścia lat Harlem również się zmienił. Pojawili się ludzie różnych ras, w tym biali, przechodziły całe rodziny, słychać było śmiech dzieci...
- Za trzy lata wszystko się skończy! – powiedziałem tak bardzo przekonująco, jak tylko mogłem.
- Nie, tego, co się stanie za trzy lata, nie wie nikt!
- Liso, nie możemy się kłócić przez te kilka chwil, które nam zostały... Kochamy się i...
- Nie, ty mnie nie kochasz! – przerwała mi raptownie. – W każdym razie nigdy nie kochałeś mnie takiej, jaka jestem naprawdę. Ty kochasz wyobrażenie, jakie masz o mnie, a w rzeczywistości jestem zupełnie inną osobą. – Chciałem się sprzeciwić, ale nie pozwoliła mi. – Muszę kończyć! – rzuciła sucho i rozłączyła się.

2

- Gólnij sobie, synku! – Sullivan podał mi szklaneczkę z whisky. Odmówiłem, ale on nalegał. – Dawaj, nie obrażaj swojej irlandzkiej krwi! Pamiętasz, jak się mówi: w Irlandii pije się whisky tylko w dwóch przypadkach: kiedy się ma pragnienie i kiedy się nie ma pragnienia.
- Popatrzyłem na Djibrila.
- Nie ma pan może kawy?
- Młody człowieku, niech pan spojrzy, co jest napisane przy wejściu: „Fryzjer”, a nie „Bar”! – odpowiedział, klepiąc się po udach.
- Sullivan zaczął grzebać w kieszeni i wyjął z niej dwa kartonowe bilety, które położył przed sobą.
- Knicksi grają z Cleveland dziś wieczorem na Madison Square Garden. Kupiłem te bilety dla mnie i dla Djibrila, ale lepiej, żebyś ty wziął na ten mecz swego syna.
- Jeśli zaplanowaliście iść we dwóch, nie chciałbym...
- Nie przejmuj się nami – wtrącił Djibril. – Idź na mecz ze swoim synkiem, my z Sullivanem pójdziemy zamiast tego do Red Roostera na kurczaka w curry albo na sznycel jagnięcy. A może nawet wpadniemy na drinka do klubu nocnego przy Sto Dwudziestej Czwartej? I wiesz co? Zrobię ci tej kawy!

Kiedy zostaliśmy na chwilę sami, zwierzyłem się Sullivanowi z tego, co mnie dręczyło.

– W zeszłym roku stało się coś dziwnego. Coś bardzo dziwnego...

Sullivan westchnął głęboko, sięgnął po swoje lucky strike'i, wyciągnął z paczki papierosa i wsadził go sobie za ucho.

– Moja podróż trwała krócej niż zwykle – wyznałem. – Dużo krócej. Dwanaście godzin zamiast dwudziestu czterech.

Sullivan wypuścił długi płomień ze swojej sztormowej zapalniczki.

– Tego się obawiałem... – rzekł, odpalając papierosa. – Miałem to samo. Moje cztery ostatnie pobyty były znacznie krótsze.

– Jak to?

– Za każdym razem były krótsze o połowę: najpierw trwały dwanaście godzin, potem sześć, wreszcie trzy.

– A ostatni?

– Ostatni trwał nieco ponad godzinę.

Zapadła cisza. Nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział mi dziadek. Zamarłem. Ale po chwili ogarnęła mnie wściekłość.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?! – ryknąłem, uderzając pięścią w konsolę.

Sullivan, zmęczony, przetarł oczy.

– Bo to by niczego nie zmieniło, Arthurze. Tylko podcięłoby ci skrzydła...

Wziąłem ze stołu oba bilety i wyszedłem z zakładu.

Koszmar trwał.

3

Szkoła, do której chodził mój syn, znajdowała się przy skrzyżowaniu Green Street z Washington Place w ceglanym budynku koloru ochry przylegającym do gmachu New York University.

Oparty o mur po przeciwnej stronie ulicy obserwowałem uczniów, którzy pośród śmiechów i zamieszania wysypywali się na boisko szkolne. Dzieci te nie miały jeszcze dziesięciu lat, a już zachowywały się jak dorośli: dziewczynki ubrane były jak młode kobiety, chłopcy odgrywali dorosłych cwaniaków.

Kiedy zobaczyłem Benjamina, prawie go nie poznałem. On również urósł. Jego śliczne blond włosy stały się dłuższe, miał na sobie ciemne džinsy, kurtkę lotniczą z futrzanym kołnierzem i te same trampki firmy Stan Smith, które ja nosiłem w jego wieku.

– Dlaczego to ty po mnie przychodzisz? – spytał, rozkładając swoją hulajnogę.

– Tylko nie okazuj zbyttnio, że się cieszysz! – rzuciłem, ściskając go w ramionach.

Wyrwał się z moich objęć i ruszył na hulajnodze w kierunku parku.

– Dziś spędzamy męski wieczór! – oznajmiłem, idąc za nim. – Mam dwa bilety na Knicksów.

– Nie mam ochoty. Nie lubię kosza! – odburknął Ben, rozpędzając się w najlepsze.

– To nic, polubisz! – krzyknąłem za nim, kiedy mnie mijał.

Nie będzie łatwo...

W rzeczywistości było to dużo trudniejsze, niż myślałem. Przez cały wieczór spędzony w Madison Square Garden przyglądałem się synowi ze ściśniętym gardłem. Traktował mnie jak obcego, uciekał spojrzeniem, kiedy patrzyłem na niego porozumiewawczo, odpowiadał mi monosylabami.

No cóż, byłem ojcem nieobecny i wystawiał mi teraz za to rachunek. W głębi duszy doskonale go rozumiałem. Nawet podczas tych krótkich okresów, kiedy przebywaliśmy z sobą, byłem tak przejęty i zestresowany, że nigdy nie poświęciłem mu całkowicie uwagi. Częściowo zawsze byłem gdzieś indziej: myślałem już o przyszłości, bałem się, gdzie się obudzę następnym razem. Nigdy nie poświęciłem czasu – nigdy go nie miałem – na to, żeby przekazać mu cokolwiek. Nie wpołem mu fundamentalnych zasad, nie przekazałem swojego systemu wartości, nie podsunąłem książki mądrości, która mogłaby mu pomóc w pokonywaniu przeszkód życiowych. Ale co miałem mu przekazać, skoro sam odziedziczyłem po własnym ojcu jedynie negatywne spojrzenie na świat, a moja egzystencja ograniczała się do z góry przegranej walki z meandrami czasu?

Knicksi pokonali Cleveland Cavaliers 120 do 103. Mimo zimna Benjamin nalegał, żebyśmy wracali na piechotę. Kiedy znaleźliśmy się przed domem, spojrzałem na zegarek.

– Chciałbyś może zjeść kanapkę z homarem?

Podniósł swoją śliczną buzię i spojrzał na mnie oczami, których nie znałem, w których błyszczał niepokój.

– Wiesz, co naprawdę sprawiłoby mi przyjemność? – Spodziewałem się najgorszego i najgorsze przyszło. Benjamin otworzył usta i powiedział ze złością: – Żebyś już nigdy nie wracał! Żebyś na zawsze znikł z naszego życia! – Zamilkł. – Zostaw nas w spokoju! – wykrzyknął po chwili. – Zapomnij o nas! Przestań krzywdzić mamę! Tylko to potrafisz, krzywdzić ludzi!

Jego słowa rozdarły mi serce z siłą sztyletu.

– Jesteś niesprawiedliwy, Ben. Dobrze wiesz, że to wszystko to nie moja wina...

– Przestań ciągle mówić, że to nie twoja wina! Nikogo nie obchodzi, czyja to wina! Nie ma cię, to wszystko! I powiem ci jeszcze coś: żeby nie stresować Sophii, mama nigdy jej nie powiedziała, że jesteś jej ojcem! Ale ty i tak nawet nie zauważyłeś, że ona nigdy nie nazywała cię tatą?!

Miał całkowitą rację, i to było dla mnie nie do zniesienia.

– Słuchaj, Ben. Wiem, że ta sytuacja jest dla ciebie bardzo trudna i ciężko ci ją zrozumieć. Ale wiedz, że to nie będzie trwało wiecznie. Jeszcze trzy lata i wszystko wróci do normalności.

– Nieprawda.

– Jak to: nieprawda?

Po buzi Bena spływały wielkie łzy. Wziąłem go w ramiona.

– Za trzy lata Sophia i ja nie będziemy żyli... – wyjęczał mi na ucho.

– Ależ skąd, co ty mówisz, kto ci to powiedział?!

– Sullivan...

Jak mogłem, starałem się ukryć złość, która we mnie narastała, i zabrałem Bena do Oyster Bar. Restauracja była prawie pusta. Usiedliśmy przy stoliku w głębi sali,

zamówiłem dwie kanapki i dwie cole.

– Powiedz mi, co dokładnie powiedział ci Sullivan.

Benjamin przetarł oczy, wziął łyk coli i wyjaśnił mi między dwoma szlochami:

– Od kilku miesięcy dziadek nie czuje się dobrze. Kaszle i dużo pije. Któregoś wieczoru mama zrobiła naleśniki i poprosiła mnie, żebym mu je zaniósł. Poszedłem do niego, zapukałem, ale nie otworzył mi. Miałem już odejść, kiedy zobaczyłem, że drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedłem i zobaczyłem go. Był kompletnie pijany i leżał na podłodze w salonie.

– Kiedy to było?

Ben wzniósł oczy ku górze, zastanawiając się.

– Trzy miesiące temu. Pomogłem mu wstać. Czuć było od niego alkohol. Trochę przy nim zostałem i spytałem, dlaczego tyle pije. Powiedział, że robi to po to, żeby zapomnieć o strachu. Spytałem go, czego się boi. I wtedy opowiedział mi swoją historię, twierdząc, że tobie przydarzy się to samo. Rankiem po dwudziestym czwartym powrocie wszystko zniknie. Gdy się obudzisz, mama cię nie pozna, a mnie i Sophii po prostu nie będzie.

Papierową serwetką wytarłem łzy, które spływały mu po policzkach. Staralem się go pocieszyć.

– To rzeczywiście przydarzyło się Sullivanowi, ale to nie znaczy, że nas spotka to samo!

– Dlaczego z nami miałyby być inaczej?

– Bo my się kochamy i tworzymy rodzinę. Jesteśmy klanem Costellów. Wiesz, co mówił Szekspir? Miłość, kiedy nie może iść, czołga się. Wiesz, co to znaczy?

– Że miłość jest zawsze silniejsza od wszystkiego innego?

– Właśnie. I dlatego nie masz się czego bać.

Przez kilka sekund królowała mądrość Szekspira, ale potem rzeczywistość wzięła górę.

– Czy myślisz, że mama cię wciąż kocha? – spytał Ben, skubiąc frytki. – Bo wydaje mi się, że jej się podoba ten facet, Nicolas.

Ukryłem smutek i zapytałem:

– Nicolas Hull, ten pisarz?

Mój syn, zmieszany, przytaknął.

– Taa, ten pisarz. Jak on do nas przychodzi, potrafi ją rozśmieszyć, i słyszałem, jak ona mówi do kogoś przez telefon, że on się o nią troszczy.

Popatrzyłem synkowi prosto w oczy i powiedziałem jak najbardziej przekonującym tonem:

– Posłuchaj, Ben. Nie możesz we mnie wątpić. To ja jestem mężczyzną, którego mama naprawdę kocha. Bo jestem waszym ojcem, twoim i Sophii. I kiedy wrócę na dobre, ja również będę ją rozśmieszał i opiekował się nią.

Zobaczyłem, że trochę go przekonałem. Zaczął chętniej jeść. Gdy skończyliśmy nasze kanapki z homarem, wróciliśmy do domu, gdzie czekała na nas opiekunka.

Tak jak robiliśmy, kiedy był mały, obaj umyliśmy zęby w łazience, a potem położyłem go do łóżka, otuliłem kołdrą i życzyłem mu dobrej nocy.

– Mamy jeszcze trzy trudne lata przed sobą, Ben. Uda nam się je przeżyć szczęśliwie, jeśli będziemy stanowić zwartą drużynę i będziemy sobie ufać. Musisz mi w tym

pomóc, musisz być grzeczny i przestać robić głupstwa, okay?

– Okay. Jestem mężczyzną w tym domu.

– Jasne, że tak!

– A ty jesteś znikającym mężczyzną! Mama zawsze cię tak nazywa.

– To prawda – przytaknałem. – Jestem znikającym mężczyzną.

I rzeczywiście, nagle zacząłem drżeć.

– Dobrej nocy, kochanie! – powiedziałem, gasząc światło, żeby nie widział, jak się trzęsę.

– Dobrej nocy, tato.

Ze łzami w oczach powlokłem się do drzwi, wyszedłem z pokoju i znikłem, zanim zdążyłem postawić stopę na pierwszym stopniu schodów.

□

Co za zbrodnię popełniłem, że musiałem za nią płacić aż tak wysoką cenę?

Co za niewybaczalny błąd był powodem takiej pokuty?

2013

Pora deszczowa

*Życie składa się z łańcucha połączonych
z sobą rozstań.*

Charles Dickens

0

Szepty.

Zapach skóry i starych książek.

Pracowita cisza, w której ledwo słyhać szelest przewracanych kartek. Zduszony kaszel. Dźwięk uderzanych palcami klawiszy komputerowych. Lekkie skrzypienie desek parkietu.

Moja głowa leży na drewnianej powierzchni pachnącej pastą do podłogi. Otwieram oczy i wyprostowuję się energicznie. Ręce zwisają mi z oparcia fotela. Wokół mnie w nieskończoność ciągną się półki z tysiącami książek, widzę pięknie rzeźbione boazerie, ogromne żyrandole, spatynowane starością rzędy stolików, na których umieszczono stylowe mosiężne lampy bankierskie z zielonymi kloszami...

Jestem w wielkiej sali Nowojorskiej Biblioteki Publicznej.

1

Jeszcze oniemiały, wstałem z fotela i zacząłem oglądać salę.

Nad głównym wejściem znajdował się ogromny zegar ścienny, który wskazywał dwunastą dziesiątą. Godzina lunchu. Faktycznie wiele miejsc było pustych. Minąłem witrynę z dziennikami, rzucając okiem na pierwsze strony – *Konieczność pomocy humanitarnej w Syrii; Po śmiertelnej strzelaninie w Newtown kluczowe głosowanie Senatu na temat kontroli dostępu obywateli do broni palnej...* – i sprawdziłem datę. Był 15 kwietnia 2013 roku.

Zbliżała się fatalna data. Teraz już tylko dwie podróże dzieliły mnie od końca mojej tułaczki w labiryncie czasu. Dwie podróże, a potem nie wiadomo co.

W głębi sali wydzielono przestrzeń dla korzystających z komputerów, gdzie każdy mógł wejść. Wpadłem na pewien pomysł. Usiadłem przed jednym z ekranów

i zacząłem się łączyć z internetem. Niestety, otwarcie sesji wymagało użycia kodu, którym dysponowali tylko posiadacze legitymacji bibliotecznej.

Uzbroiłem się w cierpliwość, obserwując stoliki obok. W pewnym momencie zadzwoniła komórka mojej sąsiadki. Dziewczyna wstała i odeszła na bok, nie wyłączając komputera. Usiadłem na jej miejscu i otworzyłem nowe okno, w którym pojawiła się nazwa wyszukiwarki. Parę kliknięć wystarczyło, żebym otworzył w Wikipedii stronę kochanka mojej żony.

Nie dołączono zdjęcia, natomiast była tam zwięzła notka biograficzna:

NICK HULL

Nicolas Stuart Hull, urodzony w Bostonie 4 sierpnia 1966 roku, amerykański pisarz i autor scenariuszy.

Ukończył Uniwersytet Duke'a, wykłada literaturę na uniwersytetach w Berkeley i Chicago.

Jego trylogia *Skok*, wydawana w latach 1991–2009, osiągnęła niezwykły sukces i przyniosła mu międzynarodową sławę.

W 2011 roku dla kanału AMC napisał serial telewizyjny *Past Forward*, którego był producentem i showrunnerem⁹.

Miałem przejrzeć kolejne linki, kiedy usłyszałem za plecami:

– Hej, co pan robi na moim miejscu?

Wróciła moja sąsiadka. Przeprosiłem ją i opuściłem bibliotekę schodami wychodzącymi na Bryant Park.

Było to miejsce, które bardzo dobrze znałem: Midtown między Piątą a Szóstą Aleją. Greenwich Village była oddalona zaledwie o cztery stacje metra, więc piętnaście minut później znalazłem się na Washington Square. Przed powrotem do siebie postanowiłem zbadać sytuację i wpaść przedtem do Sullivana.

Kiedy stanąłem przed jego drzwiami, ku memu zaskoczeniu znów znalazłem kopertę zatknietą za kołatkę.

Ostatnim razem dziadek zawiadamiał mnie w ten sposób o bliskich narodzinach mego syna. Tym razem nowiny nie były tak dobre.

Chłopcze,

od dawna się nie widzieliśmy i zaczynam już za Tobą bardzo tęsknić.

Jeśli wpadniesz na pomysł odwiedzenia mnie w najbliższych dniach, proszę, przyjdź do Bellevue Hospital.

Nie zwlekaj zbyt długo.

Moja stara zbroja zaczyna rdzewieć.

2

Oddział opieki paliatywnej.

Leczenie i opieka nad umierającymi.

We wszystkich znanych mi szpitalach był to zawsze osobny oddział. Lekarze mieli zapewnić umierającym komfortowe warunki, ale również wysłuchać ich zwierzeń, uśmierzyć strach przed śmiercią, zająć się ich ostatnią wolą.

W towarzystwie pielęgniarki pchnąłem drzwi do pokoju dziadka. Było tam jasno, spokojnie, idealne miejsce do przemyśleń i refleksji skąpane w łagodnym popołudniowym świetle. Liczbę aparatury medycznej ograniczono do minimum, chcąc zapewnić dziadkowi godny i bezbolesny koniec.

Dziadek leżał pośrodku łóżka, zmienił się nie do poznania. Twarz miał zapadniętą i szarą, skórę błyszczącą. Wychudły, z wystającymi kośćmi, wyglądał przeraźliwie staro i tak, jakby się skurczył.

Rak płuc w fazie terminalnej – to samo świństwo, na które zmarli przedtem jego ojciec i syn.

Dziwna tradycja rodzinna.

Sullivan domyślił się, że przyszedłem, i otworzył jedno oko.

– Pamiętasz... – odezwał się zdyszany – poznaliśmy się w pokoju szpitalnym i w pokoju szpitalnym się pożegnamy...

Miałem łzy w oczach i ściśnięte gardło. Nie próbowałem nawet zaprzeczać, obaj wiedzieliśmy, że to koniec.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zaniósł się kaszlem. Pielęgniarka podłożyła mu pod plecy poduszkę i wyszła, zostawiając nas samych.

– Przyszedłeś niemal w ostatniej chwili! – rzekł dziadek, cały czas z trudem łapiąc oddech. – Staralem się oszczędzać, żeby nie odejść bez pożegnania z tobą.

Znałem to zjawisko, które mnie zawsze fascynowało. W ostatnich chwilach życia często u wielu pacjentów następował nagły przypływ energii, czy to w oczekiwaniu na wizytę kogoś bliskiego, czy też dlatego, że chcieli przekazać swoje ostatnie życzenia.

Sullivan odchrząknął i ciągnął ochryłym głosem:

– Chciałem się z tobą pożegnać, ale przede wszystkim chciałem ci podziękować za to, że wyciągnąłeś mnie z piekła. Wywożąc mnie z Blackwell, ofiarowałeś mi dwadzieścia lat życia, na które już straciłem nadzieję. Wspaniała wygrana, prawda? – Łzy spływały mi po policzkach. Sullivan chciał podtrzymać mnie na duchu. – Nie płacz – powiedział, biorąc mnie za rękę. – Miałem wspaniałe życie, częściowo dzięki tobie. Dwadzieścia lat temu, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłem prawie martwy. To ty mnie wskresiłeś! Zorganizowałeś mi kolejną część życia, część pasjonującą, podczas której byłem bardzo szczęśliwy! Dzięki tobie spotkałem Lisę i moje prawnuki... – Teraz i on płakał. Łzy płynęły mu bruzdami pomarszczonej twarzy. Przytrzymał mnie mocniej, żebym pomógł mu się wyprostować. – Dziś martwię się o ciebie, Arthurze. Przygotuj się na nadejście strasznych rzeczy! – Popatrzyłem w jego podeszłe krwią, błyszczące oczy starca trawionego wysoką gorączką. Mrugał bardzo szybko. Wyglądał jak nawiedzony przepowiadający koniec świata. – Po dwudziestej czwartej wicherze nie zostanie ci nic – powtórzył jak mantrę. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale to właśnie się stanie! Rankiem dwudziestego czwartego dnia, kiedy oprzytomniejesz, nikt nie będzie o tobie pamiętał.

Potrząsnąłem głową i teraz ja starałem się go pocieszyć.

– Nie, nie wierzę, że tak się stanie. Frank pamiętał wasze spotkanie na lotnisku! Pamiętał, że go poprosiłeś o zamurowanie wejścia do piwnicy. Widzisz, nie wszystkie konsekwencje twoich czynów znikły.

Ale to nie było wystarczającym argumentem, żeby zmienić przekonanie Sullivana.

– Wszystko to, co zbudujesz, zawali się. Dla twojej żony będziesz kimś obcym, a twoje dzieci znikną i... – przerwał, gdyż znów dopadł go atak kaszlu, wyglądało, jakby się topił. Kiedy kaszel minął, znów zaczął mnie ostrzegać. – Nie ma straszniejszego bólu! A kiedy boli zbyt mocno, kiedy uważasz się za skrzywdzonego przez los, jesteś gotów na wszystko, byle tylko ból znikł. – Zadyszka utrudniała mu oddychanie. – Przeszedłem przez to, chłopcze, i mogę cię zapewnić, że z powodu tego nieznośnego bólu będziesz mógł zginąć lub stracić rozum! Obiecuj mi, Arthurze, że nie pójdiesz w moje ślady. Nie wolno ci poddać się cierpieniu, musisz się oprzeć pokusie wiecznych ciemności! – Znów stracił oddech i wczepił się w moją dłoń. – Nie wolno ci być samotnym, Arthurze. W życiu, jeśli się jest samotnym... – przerwał, zbierając resztki sił – ...jeśli się jest samotnym, człowiek umiera.

To były jego ostatnie słowa.

Zostałem przy nim, jak długo to było możliwe. Aż do chwili, gdy poczułem znajome drżenie w całym ciele. Zanim odszedłem, zauważyłem zdjęcie, które trzymał przy sobie, stało na stoliku nocnym. Ja sam je zrobiłem, za pomocą samowyzwalacza, któregoś pięknego letniego dnia w 2009 roku.

Na zdjęciu stoi cała nasza piątka. Przytulamy się do siebie. Obok rozpromienionej Lisy Ben wygłupia się w swojej piżamce Tygryś kupionej w sklepie Disneya, Sophia dzielnie eksponuje swoje jedyne dwa zęby, a Sullivan, patriarcha, trzyma mnie dumnie za ramię. Moment idealny, upamiętniony na zawsze. Rodzina. Klan Costellów.

Już ogarnięty silnymi drgawkami zdążyłem jeszcze wsunąć zdjęcie do kieszeni marynarki.

Zanim roztopiłem się w czasie, rzuciłem dziadkowi ostatnie, pożegnalne spojrzenie.

Był jedynym człowiekiem, który zawsze stał za mną.

Jedynym, który mnie nigdy nie zawiódł.

Jedynym, który mnie nigdy nie zdradził.

2014

Prawdziwa jest ta druga

W każdym są dwie osoby. Prawdziwa jest ta druga.

Jorge Luis Borges

0

Wybuch.

Hałas, krzyki, zamieszanie.

Odgłos bębenków, fanfary, uderzenie gongu, petardy. Obrzydliwy zapach jakiejś ryby w maceracie. Wonie egzotycznych przypraw, smażonego oleju, wędzonego mięsa.

Z trudnością wracam do siebie, jestem cały obolały. Metalowy pręt uciska mnie w policzek, drugi ściska mi tors. Mam wrażenie, że ostatkiem sił wiszę nad przepaścią. Nagle spadam.

Boże!

Wybudzenie jest brutalne.

Otwieram oczy. Faktycznie jestem w trakcie zsuwania się po żelaznej rampie. Wyciągam rozpaczliwie ramiona i staram się czegoś uchwycić.

Gdy tylko udaje mi się trochę przyhamować, otwieram oczy i widzę... ogromną i groźną głowę czerwonego smoka.

1

Jeden smok, potem drugi.

Armia smoków, lwów, koni faluje przed moimi oczami, poruszana ukrytymi przed naszym wzrokiem ludźmi.

Byłem kilka metrów nad ziemią, głowa zwisała w dół, ramiona kołysały się bezwładnie. Z trudem się wyprostowałem. Znajdowałem się na podeście zewnętrznych metalowych schodów przeciwpożarowych przymocowanych do fasady ceglanego budynku.

Na ulicy panowało istne szaleństwo – ruszała właśnie kolorowa parada: wielobarwne wozy, kolorowe flagi, akrobaci, tancerze, gigantyczne zwierzęta z papier mâché.

Znałem tę wąską uliczkę, te ciemne, brudnawe budynki i maleńkie sklepiki, nad którymi widniały ideogramy i skrzące się neony. Byłem w Chinatown na Mott Street. Tam, skąd co roku wychodził pochód z okazji chińskiego Nowego Roku. Z tego powodu panowała tu świąteczna atmosfera: wstążki trzepotały na wietrze, w powietrzu krążyło konfetti i co chwila strzelały petardy, żeby wystraszyć złe duchy.

Zbiegłem po schodach na chodnik. Na jakimś słupie zobaczyłem przyklejony afisz, na którym znalazła się dzisiejsza data – niedziela, 2 lutego 2014 roku – oraz trasa pochodu: Worth Street, East Broadway, a potem Roosevelt Park.

Zanurkowałem w falujący, zbity tłum, żeby wydostać się z pochodu.

Schodząc Mulberry Street, zauważyłem, że wiele taksówek ma zamontowaną na dachu reklamę, która jakby ze mnie drwiła, zapowiadając nową powieść Nicolasa Hulla pod tytułem *Lover*.

Przystanąłem w Columbus Park, płucach Chinatown, gdzie panował spokój. Było ładne zimowe popołudnie, dość ciepłe, z czystym niebem i ożywczym wiatrem, a między gałęziami drzew migotało stojące w zenicie słońce.

Tu, w spokojnej, przyjacielskiej atmosferze siedzieli przy kamiennych stolikach starzy Chińczycy grający w madzonga i domino, nieopodal ćwiczyli adepci tai-chi, byli też muzycyści oraz młodzi rodzice piknikujący z dziećmi.

– Tata!

Zadrzałem. Odwróciłem się i na drewnianej ławce zobaczyłem nieznaną dziewczynkę z blokiem do rysunków na kolanach. Potem dziewczynka uśmiechnęła się i serce zabiło mi szybciej. To była moja Sophia!

Była jedna szansa na milion, żebym spotkał ją przypadkiem. Sullivan miał rację. Każda moja podróż miała swój głęboki, ukryty sens. Rządziła tym wszystkim jakaś logika.

– Jak tam, moja księżniczko? – spytałem, siadając przy niej.

Nie zauważyłem, kiedy urosła.

To banalne stwierdzenie wszystkich rodziców w moim przypadku nabierało dodatkowego znaczenia.

Kiedy ją opuściłem, była maleńkim dzieckiem, a teraz zobaczyłem dziewczynkę z długimi włosami o złotych refleksach przytrzymanymi perłowymi spinkami i w eleganckiej sukience z białym kołnierzykiem.

– Wszystko dobrze, tatusiu!

Rozejrzałem się badawczo. W odległości dziesięciu metrów siedziała na ławce szwedzka opiekunka, wpatrzona w ekran swojej komórki.

– Poznałaś mnie, Sophio?

– Oczywiście. Mama często pokazuje mi twoje zdjęcia.

Ledwo powstrzymałem się od płaczu.

– Gdybyś wiedziała, jak się cieszę, że cię widzę! – wykrzyknąłem, ściskając ją w ramionach.

Wziąłem ją za rączkę i odciągnąłem dalej od szwedzkiej niańki.

– Chodź, skarbie, kupimy coś na podwieczorek!

Poszliśmy w kierunku wózków ulicznych sprzedawców i zamówiłem cappuccino, oranżadę i mieszankę miejscowych specjałów: kandyzowanego imbiru, suszonych owoców, chińskich wafelków i frytek z korzenia lotosu...

– Wszyscy w domu mają się dobrze? – spytałem, rozpakowując nasze zakupy na stoliku z kutego żelaza.

– Dobrze! – powiedziała, odgryzając kawałek ciasteczka.

Rozłożyła flamastry i blok do rysunków i zaczęła rysować.

– A twój braciszek? Dogadujecie się?

– Tak. Ben jest bardzo miły.

– A mama?

– Mamy często nie ma, jest w pracy.

Upiłem trochę kawy.

– Cały czas spotyka się z Nicolasem?

– Tak, oczywiście – odrzekła Sophia, spoglądając na mnie. – Teraz wszyscy mieszkamy u niego.

Aż podskoczyłem z wrażenia. Poprosiłem Sopię, żeby powtórzyła, bo nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

– Ale wiesz, ja mam tam swój pokój – sprecyzowała.

– Od kiedy mieszkacie u niego?

– Od kilku miesięcy. Przeprowadziliśmy się niedługo przed Świętem Dziękczynienia.

Westchnąłem i złapałem się za głowę.

– Tato, nie bądź smutny!

Skończyłem kawę.

– Mama wciąż jest na mnie obrażona?

Sophia popatrzyła na mnie ze znużeniem.

– Tak, tak mi się wydaje – stwierdziła, potrząsając butelką oranżady. Potem wręczyła mi ją, żebym jej otworzył. – Ale mama wie, że to wszystko nie twoja wina, że ty na to nic nie możesz poradzić – dodała.

Pogłaskałem ją po główce.

– Posłuchaj, kochanie, wszystko to niedługo się skończy. Od przyszłego roku będziemy się widywać bez przerwy. Każdego dnia!

Moja córeczka potrząsnęła głową przecząco.

– Nie, chyba nie – odparła.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ben mi powiedział, że my umrzemy. Dowiedział się od Sullivana.

Zbuntowałem się.

– Ależ skąd, moja kochana córeczko, cóż to za bzdury!

– Powiedziałeś brzydkie słowo!

– Tak i jeszcze je powtórzę! Nikt nie umrze, okay?

– Okay – odrzekła, bardziej żeby mi zrobić przyjemność.

Wlałem jej trochę oranżady do kartonowego kubeczka.

– Myślisz, że mama wciąż mnie kocha?

– Nie wiem... – odpowiedziała zakłopotana.

– A myślisz, że kocha Nicolasa Hulla?

– Tato, nie wiem, ja mam tylko sześć lat!

Usłyszałem głos wołający: „Sophia!”. Nachyliłem się do przodu. W drugim końcu parku opiekunka zauważyła, że jej podopieczna gdzieś się zapodziała. Nie miałem dużo czasu.

– Gdzie mieszka Nicolas?

– Zapomniałam.

– Kochanie, postaraj się sobie przypomnieć!

Sophia zrobiła skupiony wyraz twarzy.

– Kiedy jesteśmy w windzie, trzeba nacisnąć trzydzieści trzy – powiedziała po chwili.

– Dobrze, ale w jakiej dzielnicy?

– Nie znam się na dzielnicach.

– No to... No to powiedz mi, gdzie możesz dojść pieszo, kiedy wychodzisz z domu.

– Hm... Czasem chodzimy na hamburgery do restauracji, która nazywa się The Odeon.

– Dobrze, znam tę restaurację, to jest w TriBeCa. Jak wygląda ten dom, w którym mieszkacie?

– Jest kompletnie nowy! Ludzie nazywają go czasem wieżą Jenga¹⁰.

– Dobrze, teraz już znajdę sam! – powiedziałem, targając jej włosy. – Jesteś bardzo inteligentna, córeczko!

– Sophia!

Tym razem opiekunka nas zauważyła. Wstałem z krzesła i pocałowałem córkę.

– Do widzenia, skarbie! Widzimy się za rok! Będę miał wtedy mnóstwo czasu dla ciebie i zrobimy razem wiele rzeczy, zgoda?

– Zgoda! – odpowiedziała Sophia, uśmiechając się do mnie najładniej, jak potrafiła. – Masz, to dla ciebie!

Wręczyła mi rysunek. Wziąłem kartkę do ręki, złożyłem ją i wsunąłem do kieszeni, po czym wyszedłem z ogrodu północnym wyjściem.

2

Kryształowa rzeźba, wąska i smukła, królująca nad otoczeniem z wysokości swoich dwustu pięćdziesięciu metrów.

Wznosząca się na przecięciu Worth Street i Broadwayu TriBeC4 była jedną z tych nowoczesnych luksusowych rezydencji, które zaczęły wyrastać na Manhattanie jak grzyby po deszczu pod koniec pierwszego dziesięciolecia XXI wieku.

Pod względem konstrukcji wieża zbudowana była ze szklanych domów o różnych rozmiarach i formach, które postawiono jeden na drugim. Każde piętro było inne, a wieżowiec z daleka przypominał stos książek, który ledwo utrzymuje się w pionie. Z pewnością budowla miała swoich przeciwników, ale była oryginalna i wyróżniała się na tle starych domów tej dzielnicy o bogatej historii.

Jak wejść do takiego budynku? – pomyślałem, kiedy taksówka zatrzymała się pod nim.

Jeden z dwóch portierów w liberii podbiegł, żeby mi otworzyć drzwiczki. Z pewnym siebie wyrazem twarzy wysiadłem i wszedłem do wieżowca. Nikt mnie nie zaczepił. Hol znajdował się na wysokości mniej więcej dziesięciu metrów nad chodnikiem i wyglądał jak miks terminalu lotniska i sali w muzeum sztuki współczesnej: szklane ściany,

obrazy o minimalistycznej, abstrakcyjnej treści, las bonsai wzdłuż ściany obrośniętej zielenią.

Monumentalny przezroczysty pomost prowadził do grupy wind obsługujących mieszkania. Kiedy wsiałem do jednej z nich, zauważyłem, że działała na kod albo na odcisk palca. Bez tego nie można było dostać się na piętra. Już miałem zrezygnować, kiedy jakiś chłopiec wyglądający na gońca hotelowego z paczkami z luksusowych sklepów wszedł do środka, kiwnął mi głową na przywitanie i wystukał kilka cyfr na klawiaturze. Nacisnął guzik prowadzący do jednego z apartamentów na szczycie wieży i z rozbiegu zapytał:

– A pan na które piętro, proszę pana?

– Trzydzieste trzecie.

Pozwoliłem mu wcisnąć odpowiedni guzik i kilka sekund później stałem przed wejściem do mieszkania Nicolasa Hulla.

Drzwi były uchylone.

– Przypadki nie istnieją... – Usłyszałem jakby szept Sullivana.

Wszedłem cicho do przedpokoju, a potem do salonu umeblowanego nowocześnie, ale przytulnie. Późnopołudniowe słońce przenikało do mieszkania ze wszystkich stron, czyniąc zeń miejsce surrealistyczne. Znalazłem się w kokonie łagodnego miedzianego, prawie żywego światła, które wydawało się krążyć dookoła mnie. Strumień złotego pyłu owijał się wokół mnie niczym boa dusiciel.

Przez wielkie szklane okno wyszedłem na balkon chroniony przezroczystymi balustradami. Rozciągał się stąd widok na East River, most Brookliński, na złotą koronę Municipal Building i nową błyszczącą wieżę One World Trade Center.

Imponująca panorama! Widok zapierał dech w piersiach, ale jakoś nie czułem się tu najlepiej. Ten szklany statek był zbyt nierzeczywisty. Miałem wrażenie, że przebywając w nim, jestem odcięty od wszystkiego, co naprawdę lubiłem, od ludzi, od szorstkiej atmosfery ulicy, od społeczeństwa, od życia.

Wróciłem do mieszkania. Na ścianach zobaczyłem znajome fotografie Lisy i dzieci: śmiech, porozumienie, momenty szczęścia utrwalone na kliszy. Dowód, że ich życie biegło dalej beze mnie.

Dowód, że nie byłem im niezbędny.

Zatrzymałem się przed wspaniałym portretem mojej córeczki utrzymanym w kolorze sepii. Spotkanie z nią zrobiło na mnie duże wrażenie i choć było to przed chwilą, już za nią tęskniłem! Zacząłem przechadzać się po salonie, jednocześnie grzebiąc w kieszeni, żeby wyjąć kartkę, na której Sophia narysowała coś dla mnie.

W rogu stało duże biurko z orzechowego drewna, a na nim sarta książek oczekujących na wpisanie dedykacji. Były to egzemplarze ostatniego dzieła gospodarza domu. Gruba powieść, na okładce której widniała reprodukcja obrazu Magritte'a przedstawiającego pocałunek mężczyzny i kobiety, których twarze przykryte były białymi chustami. I te srebrzyste litery – tytuł i nazwisko autora – odcinające się od ciemnego tła.

L-O-V-E-R
Nicolas Stuart Hull

Rozłożyłem kartkę, którą tak ostrożnie włożyłem do kieszeni, ale zamiast rysunku, który obiecała mi córka, zobaczyłem napis wykaligrafowany drukowanymi literami:

CZY CHCESZ POZNAĆ SEKRET, TATO?

Poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz. Odwróciłem kartkę i przeczytałem:

TEN PISARZ TO TY

Nie od razu zrozumiałem, co córeczka chciała mi powiedzieć. Znów przyjrzałem się okładce książki.

L-O-V-E-R
Nicolas Stuart Hull

Nagle zakręciło mi się w głowie. Litery zaczęły skakać mi przed oczami, tworząc anagram. Zrobiło mi się słabo.

ARTHUR SULLIVAN COSTELLO

W panice chwyciłem egzemplarz książki i odwróciłem go. Z tyłu znajdował się biogram autora i jego zdjęcie.
To byłem ja.

3

– Nie mów mi, że jesteś zdziwiony!

Ktoś wszedł do pokoju. Odwróciłem się i zobaczyłem siebie. Mojego klona. Drugiego mnie, tyle że trochę aroganckiego, pozbawionego skrupułów, problemów, mojej powagi, niepokoju, który nosiłem w sercu przez te wszystkie lata.

Znieruchomiałem. To stało się tak znienacka. I zacząłem się bać.

– Kto ty jesteś? – wydukałem.

– Jestem tobą, oczywiście! – potwierdził mężczyzna, podchodząc do mnie. – Poważnie, przez dwadzieścia cztery lata nigdy nie przyszło ci do głowy to rozwiązanie?

– Jakie rozwiązanie?

Mężczyzna roześmiał się kpiąco i chwycił paczkę lucky strike'ów, która leżała na biurku.

– Twój ojciec się pomylił. Głównym problemem życia wcale nie jest to, że nie można nikomu zaufać... – Przyłożył zapalnik do końcówki papierosa. – Nie, prawdziwy problem polega na tym, że ma się tylko jednego prawdziwego wroga: siebie samego. – Podeszedł do komody i nalał sobie szklaneczkę japońskiej whisky. – Chcesz poznać prawdę

o latarni? – Patrzyłem na niego w milczeniu, zdumiony. – Prawda jest taka, że niektóre rzeczy są nieodwracalne. Nie możesz ich wymazać. Nie możesz się cofnąć w przeszłość. Nie możesz uzyskać wybaczenia. Musisz żyć z tym całym balastem i starać się nie siać więcej spustoszenia. To wszystko.

Krople potu wyszły mi na czoło. Czułem, jak rośnie we mnie groźna fala złości.

– A jaki to ma związek z latarnią?

Mężczyzna zaciągnął się papierosem z widoczną rozkoszą.

– Aa, zgoda, bierzesz mnie za idiotę! – odparł kpiąco. – Po prostu widzę, że nie chcesz poznać prawdy.

Miałem tego dość.

Moje spojrzenie przyciągnął nóż do papieru, który leżał na biurku. Piękny przedmiot, miniaturowa katana inkrustowana kością słoniową. Wściekły o to, że ten drugi ja tak bezkarnie igra z moim życiem, chwyciłem nóż i wymierzyłem go w mojego sobowtóra. Podszedłem bliżej.

– Dlaczego chcesz ukraść mi moje życie? Nie pozwolę na to! Zamierzam odzyskać moją żonę i dzieci! Nie chcę ich stracić!

Jego usta wykrzywiły się, kiedy wybuchnął głośnym śmiechem.

– Nie chcesz ich stracić? Ależ, idioto, już ich straciłeś!

Żeby go uciszyć, wymierzyłem mu kilka ciosów kataną w brzuch. Cały we krwi upadł na jasny parkiet.

Kilka chwil stałem nieruchomo jak słup soli, próbując zrozumieć tę przerastającą rozum sytuację.

I potem po raz ostatni przestałem widzieć wyraźnie, obraz przed moimi oczami zaczął migać jak na starych telewizorach z czasów mojego dzieciństwa. Poczułem mrowienie w całym ciele, które nagle przebiegł gwałtowny skurcz, i zacząłem się trząść w zupełnie niekontrolowany sposób. Moje ciało zaczęło jakby schnąć, zmieniać się w proch, unicestwiać się, znikać w zapachu spalonego cukru.

Usłyszałem jeszcze głuchy wybuch, jakby wystrzał z broni z tłumikiem. I w chwili gdy wyparowywałem, zobaczyłem moją żonę i dzieci.

Wówczas zrozumiałem oczywistość.

Przeciwnie do tego, o czym byłem cały czas przekonany, to nie ja znikalem!

Znikali oni.

2015

Dzień dwudziesty czwarty

*Noc. Nic. To był jego horyzont. Był sam.
„Sam” ma synonim: „śmierć”.*

Victor Hugo

0

Otwieram oczy.
Ja...

Część piąta
Nieskończona powieść

Przegląd prasy (2012–2015)

Fikcja to po prostu prawda ukryta pod kłamstwem.

Stephen King

Arthur Costello próbuje pisać dla dzieci

(„Publishers Weekly” - 8 października 2012)

Znany autor thrillerów i powieści fantastycznych, w tym wielu bestsellerów, w nadchodzącym tygodniu wystąpi w księgarniach jako autor młodzieżowy. Jego nowa powieść nosi tytuł *Dziewczynka z Mulberry Street* i jest pierwszym utworem przeznaczonym dla młodych czytelników.

Książeczka liczy zaledwie dwieście stron, zawiera historie zupełnie niepodobne do tych z jego dotychczasowych powieści. Wydana u tego samego wydawcy co poprzednie, u Doubledaya, *Dziewczynka z Mulberry Street* ukaże się w sprzedaży w poniedziałek, 15 października. „Na dziesiąte urodziny mego synka Benjaminą postanowiłem zrobić mu prezent, napisać specjalnie dla niego książkę” - powiedział autor na konferencji prasowej. Oto treść: kilkunastoletnia Ophelia, grzebiąc na strychu rodzinnego domu, znajduje przejście, które pozwala jej podróżować w czasie. Dziewczynka przechodzi „na drugą stronę lustra”, odkrywając świat istniejący równolegle z naszym, ale magiczny i niepokojący. Jeśli chodzi o rodzaj literatury, jest to coś między bajką Lewisa Carrolla a filmem SF *Powrót do przyszłości*. Książkę mogą czytać już dziesięciolatki, ale jesteśmy pewni, że nawet młodzież i dorośli wciągną się w tę powieść inicjacyjną.

Arthur Costello urodził się w 1966 roku i zaczął pisać bardzo wcześnie, głównie żeby móc opłacić studia medyczne. W latach 1986–1989 napisał dwa kryminały i jedno opowiadanie science fiction. W roku 1991, kiedy jako stażysta pracuje w pogotowiu, wydaje pierwszy tom trylogii zatytułowanej *Skok*, która stanie się światowym bestsellerem. Costello zarzuca wówczas praktykowanie medycyny na rzecz pisarstwa. Od dwudziestu lat odnosił sukcesy w różnych rodzajach literatury: pisał powieści

fantastyczne, horrory, kryminały i technothrillery. Wśród jego najbardziej znanych powieści są: *Lost & Found* (Edgar Award dla najlepszej powieści 2001), *Obsesja* (prix Locus 2003), *Miasto, które nigdy nie śpi* oraz *Bliźniaki*, napisane wspólnie z przyjacielem, Tomem Boydem.

Tłumaczony w czterdziestu krajach, sprzedał ponad siedemdziesiąt milionów książek na świecie, przy tym często pracował jako scenarzysta przy adaptacji swoich powieści dla ekranizacji kinowych lub telewizyjnych.

□

**Arthur Costello laureatem Nagrody Hugo
za powieść
*Dziewczynka z Mulberry Street***

(„Kirkus Reviews” – 9 sierpnia 2013)

Arthur Costello, laureat Nagrody Brama Stokera za najlepszą powieść młodzieżową, otrzymał kolejną nagrodę za książkę, która od wielu tygodni utrzymuje się na szczycie list bestsellerów.

Zapytany o to, czy jest to przypadek, czy też ma zamiar dalej iść w tym kierunku, autor odpowiedział: „Napisałem tę powieść dla mojego synka na jego dziesiąte urodziny, gdy zdałem sobie sprawę, że moje dotychczasowe powieści są dla niego zbyt okrutne i straszne. Moja pięcioletnia córeczka Sophia zaczyna uczyć się czytać i jest bardzo zazdrosna o brata. Już teraz poprosiła mnie, żebym napisał książkę specjalnie dla niej. Boję się więc, że jeszcze się mnie nie pozbędziecie!”.

□

**Słynny pisarz Arthur Costello
przygotowuje serial telewizyjny dla AMC**

(Variety.com – 9 listopada 2013)

Arthur Costello podpisał umowę z telewizją kablową na serial, którego będzie producentem i showrunnerem.

Telewizja AMC podała w piątek do wiadomości, że kierownictwo AMC podpisało z Arthurem Costellem umowę na scenariusz serialu kryminalno-fantastycznego. Pisarz pracuje już nad tym serialem od lat. Serial zatytułowany jest *Past Forward* i opowiada o walce toczonej przez kilka pokoleń rodziny nowojorskiego policjanta z seryjnym mordercą zdolnym przemieszczać się w czasie.

Nie znamy jeszcze obsady ani reżysera, ale kierownictwo AMC, nastawione entuzjastycznie do projektu, podpisało już umowę na osiem odcinków pierwszego sezonu i pragnie jak najszybciej przedstawić serial publiczności.



Lisa Ames dołącza do obsady *Past Forward*

(Deadline.com - 2 marca 2014)

Po Willemie Dafoe i Brysie Dallasie Howardzie do obsady serialu produkowanego przez telewizję AMC dołącza Lisa Ames. Jeszcze nie podano do wiadomości, w jakiej roli.

Absolwentka Juilliard School, która współpracowała przez dłuższy czas z Calvinem Kleinem, znana jest głównie dzięki występom teatralnym i w musicalach na Broadwayu. Lisa Ames jest żoną pisarza, Arthura Costella, showrunnera serialu.



Dramatyczny wypadek na Sagamore Bridge

(wydanie internetowe

„Bourne Daily News” - 11 czerwca 2014)

Wypadek miał miejsce dziś, we środę, tuż przed trzecią po południu. Samochód jadący w stronę Cape Cod nagle zjechał z drogi, sforsował balustradę Sagamore Bridge i spadł do kanału. Na miejscu katastrofy od razu zjawili się przedstawiciele szeryfa, strażacy i ekipa nurków, żeby stwierdzić zgon około dziesięcioletniego chłopca i małej dziewczynki. Z samochodu udało się wydobyć żywą czterdziestoletnią kobietę, która siedziała za kierownicą. Nieprzytomną odwieziono do szpitala w Bourne.

16.00. Według informacji udzielonych przez policję samochód prowadziła Lisa Ames, żona autora bestsellerów, Arthura Costella.

Aktorka i pisarz są stałymi bywalcami Cape Cod, gdzie wycieczkowo spędzają każde wakacje.

Ciała wydobyte wcześniej przez nurków to prawdopodobnie ciała ich dzieci, dwunastoletniego Benjamina i sześciolatniej Sophii.

Według naszych informacji pisarza nie było w samochodzie w momencie wypadku.

23.30. Według ostatnich wiadomości ze szpitala życiu Lisy Ames nie zagraża niebezpieczeństwo.

□

Aktorka Lisa Ames ociera się kolejny raz o śmierć po próbie samobójstwa

(ABC News - 3 lipca 2014)

Trzy tygodnie po tragicznej śmierci jej dwojga dzieci w wypadku samochodowym aktorka i była modelka próbowała tej nocy targnąć się na swoje życie, przecinając sobie żyły po spożyciu dużej ilości leków.

Jej mąż, Arthur Costello, odkrył ją leżącą bez przytomności w wannie w ich rodzinnym domu w Greenwich Village. Były lekarz, autor bestsellerów, udzielił swojej żonie pierwszej pomocy. Lisa Ames została następnie przewieziona do Bellevue Hospital na Manhattanie.

Według lekarzy stan zdrowia aktorki jest ciężki, ale już nie zagraża jej śmierć.

Arthur Costello zatrzymany przez policję po ulicznej bijatyce

(„New York Post” - 17 listopada 2014)

Incydent miał miejsce wczoraj wieczorem na peronie stacji metra West Fourth Street - Washington Square. Najwyraźniej pod wpływem alkoholu Arthur Costello pobił pracownika MTA¹¹. Według nagrań z kamer przemysłowych można wnioskować, że słynny pisarz zamierzał rzucić się pod skład metra, ale Mark Irving, młody konduktor, w ostatniej chwili wyciągnął go spod nadjeżdżającego pociągu. Costello, niezadowolony, rzucił się wówczas na swego wybawcę i pobił go, zanim zdążyła interweniować policja.

Mimo nacisków ze strony związku zawodowego transportowców pracownik MTA nie wniósł skargi przeciw pisarzowi.

□

Pisarz Arthur Costello trafia do szpitala

(„New York Post” - 21 listopada 2014)

Po próbie samobójczej z zeszłego tygodnia słynny pisarz został na własną prośbę zamknięty na oddziale psychiatrycznym Blackwell

Hospital na Staten Island, jak dziś zawiadomiła jego menedżerka, Kate Wood.

„Po tragicznej śmierci jego dzieci i separacji z żoną Arthur przechodzi bardzo ciężki okres” – stwierdziła panna Wood. – „Ale nie wątpię, że znajdzie siły, aby stawić czoło tej tragedii i wrócić do normalnego życia”.

□

Pisarz Arthur Costello wychodzi ze szpitala

(„Metro New York” – 5 stycznia 2015)

Słynny pisarz opuścił tego ranka Blackwell Hospital, w którym przebywał od ponad miesiąca wskutek narastającej depresji zakończonej próbą targnięcia się na swoje życie, co nastąpiło po śmierci jego dwojga dzieci w wypadku samochodowym.

Jego menedżerka, Kate Wood, oznajmiła, że pisarz ma zamiar rozpocząć pracę nad nową powieścią, co jednak nie zostało przez niego potwierdzone.

□

KateWoodAgency@Kwood_agency. 12 lutego.

Nowa powieść Arthura Costella pojawi się na wiosnę!

Tytuł: *Znikający człowiek*.

Dobra wiadomość! # Czekamy!

□

Nowa powieść Arthura Costella wkrótce w księgarniach?

(„The New York Times Book Review” – 12 lutego 2015)

Od jakiegoś czasu na portalach społecznościowych zaczęły pojawiać się pogłoski, potwierdzone obecnie przez wydawnictwo Doubleday oraz menedżerkę pisarza, Kate Wood: nowa powieść Arthura Costella powinna ukazać się wiosną. Będzie to pierwsza książka napisana po tragicznej śmierci jego dzieci. „Będzie nosiła tytuł: *Znikający człowiek*” – potwierdziła panna Wood, nie zdradzając jej treści i dodając, że „historia zaczyna się na Cape Cod, na wystającej skale, na której stoi tajemnicza latarnia morska”.

Tego samego wieczoru najlepszy przyjaciel Costella, pisarz Tom Boyd, zaprzeczył tej informacji. „Dziś po południu rozmawiałem przez telefon z Arthurem, który poprosił mnie, abym to wszystko odwołał! - oznajmił Boyd. - To prawda, że wrócił do pisania, ale jest stanowczo zbyt wcześnie, żeby mówić o gotowej powieści. Arthur nie zobowiązał się do niczego. Jeśli chcą Państwo znać moje zdanie, to przez wywieranie nacisku na niego menedżerka i wydawca działają wbrew swoim własnym interesom!” - dodał tajemniczo autor *Trylogii Aniołów*.

Lekarstwo i choroba

Być może najlepsza część naszego życia wciąż należy do przeszłości...

James Sallis

Blackwell Hospital, Staten Island
29 grudnia 2014

Drzwi windy otworzyły się na siódmym piętrze.

Doktor Esther Haziel w białym fartuchu wyszła z kabiny. Była to niska energiczna kobieta o krótkich popielatoblond włosach. Miała na nosie okrągłe okulary w szylkretowej oprawie, które podkreślały jej zielone skrzące się inteligencją i pełne ciekawości oczy. Z grubą teczką pod pachą poszła na koniec korytarza, gdzie znajdował się pokój numer 712.

Tam spotkała pielęgniarkę odpowiedzialną za piętro. Był to wysportowany kolos, którego niektórzy nazywali Dwie Twarze ze względu na to, że od oczu po brodę pokryty był bliznami oparzeniowymi.

– Może mi pan otworzyć?

– Okay, pani doktor! – odrzekł pielęgniarka. – Ten pacjent jest łagodny jak baranek, ale pani doktor wie lepiej ode mnie, że z takimi typami nie ma reguł. A poza tym muszę panią ostrzec: guzik alarmowy w pokoju nie działa. Tak więc przy najmniejszym problemie proszę krzyczeć, nawet jeśli nie wiadomo, czy to poskutkuje, nie zatrudniacie przecież wystarczającej liczby personelu!

Esther zabiła go spojrzeniem. Dwie Twarze zaczerwienił się.

– Nie można już nawet sobie pozartować... – mruknął pod nosem.

Otworzył drzwi pokoju i zamknął je za Esther, która podeszła do pacjenta. Był to mały pokój, spartańska cela, w której stało tylko żelazne łóżko, koślawe plastikowe krzesło i stół przyśrubowany do podłogi.

Arthur Costello leżał na posłaniu oparty o poduszkę. Przekroczył czterdziestkę, ale wciąż był przystojnym mężczyzną. Wysoki brunet o melancholijnym spojrzeniu i ostrych rysach twarzy, w za dużych spodniach i dżersejowym T-shircie.

Nieruchomy, ze szklistym spojrzeniem, wydawał się nieobecny, zatopiony w odległych marzeniach.

– Dzień dobry, panie Costello! Nazywam się Esther Haziel. Jestem szefem oddziału psychiatrycznego w tym szpitalu.

Costello nie drgnął, wydawał się w ogóle nie zauważać obecności lekarki.

– To ja mam podpisać zgodę na pański wypis ze szpitala. Zanim jednak pan nas opuści, chciałabym się upewnić, że nie stanowi pan już zagrożenia ani dla siebie, ani dla

innych.

Arthur otrząsnął się nagle z letargu.

– Ależ proszę pani, nie mam najmniejszej ochoty stąd wychodzić.

Esther przyciągnęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku.

– Ja pana nie znam, panie Costello. Nie czytałam również pańskich książek.

Natomiast zaznajomiłam się z dokumentacją medyczną – rzekła, kładąc na stole, który ich rozdzielał, tekturową teczkę. Przez kilka chwil milczała. – Chciałabym usłyszeć z pana ust, jak to się wszystko stało – rzekła.

Arthur spojrzał na nią po raz pierwszy.

– Ma pani może papierosa?

– Dobrze pan wie, że tutaj nie wolno palić! – odrzekła, wskazując czujnik dymu.

– W takim razie niech pani spada!

Esther westchnęła, ale się poddała. Poszukała w kieszeni fartucha i wręczyła mu własną zapalniczkę i paczkę cienkich mentolowych papierosów.

– Proszę mi opowiedzieć całą historię, panie Costello! – powtórzyła. – Co się stało w dniu śmierci pańskich dzieci?

Arthur wsadził papierosa za ucho.

– Już tysiąc razy opowiadałem to pani kolegom.

– Wiem, panie Costello, ale chciałabym, żeby pan opowiedział to mnie.

Arthur długo przecierał sobie powieki, po czym westchnął głęboko i zaczął mówić:

– Benjamin i Sophia stracili życie jedenastego czerwca dwa tysiące czternastego roku. Był to dla mnie trudny okres. Od miesięcy nie napisałem ani linijki. Na początku roku zmarł mój dziadek, co było dla mnie prawdziwą tragedią. To dzięki niemu polubiłem czytanie, to on podarował mi moją pierwszą maszynę do pisania, on pomagał mi w moich pierwszych próbach literackich. Z ojcem nigdy się nie dogadywałem. Sullivan był jedynym człowiekiem, który mnie zawsze wspierał. Jedynym, który mnie nigdy nie zdradził.

– W jakich był pan stosunkach z żoną? – spytała Esther.

– Tak jak każda para mieliśmy okresy lepsze i gorsze. Jak wszystkie żony pisarzy, Lisa często zarzucała mi, że zbyt odcinam się od świata i że nie spędzam wystarczająco dużo czasu z dziećmi. Uważała, że pracuję za dużo, że świat wyobraźni zjada moje prawdziwe życie. Dlatego nazwała mnie „znikającym człowiekiem”.

– Dlaczego „znikającym”?

– Bo zbyt często znikalem w swoim gabinecie, żeby spotkać się z moimi wyimaginowanymi bohaterami. Lisa mówiła wówczas, że jestem dezserterem, że zaniedbuję rodzinę. To prawda, nie wiem, na ilu zebraniach rodzicielskich w szkole mnie nie było, ile meczów piłki nożnej przegapiłem, podobnie jak uczniowskich przedstawień na koniec roku szkolnego. W tym momencie, gdy coś takiego się działo, nie wydawało mi się to aż takie ważne. Zawsze się wydaje, że jeszcze mamy czas, że nadrobimy te stracone chwile, ale to nieprawda.

Arthur zamyślił się.

– Więc w momencie, gdy wydarzył się ten wypadek, byliście nieco od siebie oddaleni? – spytała Esther.

– To było dużo poważniejsze, byłem przekonany, że Lisa mnie zdradza.

– Dlaczego pan tak uważał?

Arthur machnął ręką.

– Rozmowy telefoniczne, które przerywała, kiedy wchodziłem do pokoju, regularne nieuzasadnione nieobecności... Zmieniła PIN w swojej komórce...

– To wszystko?

– To wydawało mi się wystarczające, żeby wynająć detektywa.

– I to właśnie pan uczynił?

– Tak. Skontaktowałem się z Zacharym Duncanem, zwanym Prymką, byłym policjantem. Duncan zaczął pracować jako prywatny detektyw i korzystałem z jego pomocy, kiedy pisałem kryminały. W tej kurtce Czerwonego Krzyża z futrzanym kołnierzem i w stetsonie na głowie wygląda tak, że nikt by za niego nie dał złamanego centa, ale to jeden z najlepszych nowojorskich detektywów. Zaczął śledzić Lisę i tydzień po naszym pierwszym spotkaniu pokazał mi dowody, które wydały mi się przytłaczające.

– Na przykład?

– Głównie były to zdjęcia mojej żony w towarzystwie mężczyzny, niejakiego Nicolasa Horowitza, w wejściu do jakiegoś hotelu w centrum Bostonu. Trzy spotkania w ciągu tygodnia! Nigdy nieprzekraczające dwóch godzin... Zachary powiedział, że powinienem poczekać, aż skończy śledztwo, żeby porozmawiać z moją żoną, ale dla mnie nie było wątpliwości, że ten typ był jej kochankiem. – Arthur wstał z łóżka i podszedł do okna. Wełniane chmury płynęły niebem w kierunku Astorii. – Powiedziałem wszystko Lisie już następnego dnia – ciągnął. – To była sobota. Planowaliśmy wyjazd na wakacje do miejsca, które uwielbiałem, do Latarni Dwudziestu Czterech Wiatrów na Cape Cod. Wynajmowaliśmy ją prawie każdego roku. To taka piękna stara budowla, emanuje z niej dobra energia! Często, gdy tam przebywałem, czułem natchnienie i dobrze mi się tam pisało. Ale tamtego ranka, zanim jeszcze wyruszyliśmy w drogę, zrobiłem żonie awanturę. Już przy śniadaniu pokazałem jej zdjęcia i kazałem się wytłumaczyć.

– I jak ona zareagowała?

– Oburzona, że zaangażowałem prywatnego detektywa, odmówiła wszelkich wyjaśnień. Nigdy nie widziałem jej tak zezłoszczonej. W końcu kazała dzieciom wsiąść do samochodu i pojechała na Cape Cod beze mnie. W drodze miała ten wypadek.

Głos Costella załamał się. Zaczął kaszleć, a w oczach pojawiły mu się łzy. Zamilkł.

Po dłuższej chwili ciszy lekarka spytała:

– Co pan zrobił, kiedy żona wyjechała?

– Nic. Byłem jak sparaliżowany, niezdolny do żadnej reakcji. Wszędzie czułem jej perfumy, kwiat pomarańczy.

– Pańska żona wcale pana nie zdradzała, prawda? – spytała Esther.

– Nie, absolutnie nie, chciała mi zrobić niespodziankę. Zarobiła dużo pieniędzy za rolę w serialu. Dowiedziałem się tego potem. Za te pieniądze kupiła Latarnię Dwudziestu Czterech Wiatrów.

– Kupiła panu w prezencie tę latarnię?

Arthur kiwnął głową twierdząco.

– Wiedziała, jak bardzo jestem przywiązany do tego miejsca. Myślała, że po śmierci mego dziadka wróci mi tam chęć do pracy.

– A ten mężczyzna, Nicolas Horowitz?

– On nie był jej kochankiem. To biznesmen z Bostonu, właściciel sieci hoteli i wielu pensjonatów w Nowej Anglii. Przede wszystkim zaś był spadkobiercą rodziny, do której należała latarnia. Stara rodzina bostońska, która nie miała specjalnie ochoty rozstawać się z tym zabytkiem... Właśnie, żeby ich przekonać, przez ostatnie tygodnie Lisa wciąż się z nim spotykała i do niego dzwoniła.

Arthur zamilkł i zapalił papierosa. Esther Hazieli również milczała. Po pewnym czasie zaczęła sobie rozmasowywać ramiona, żeby się rozgrzać. Był środek zimy i w pokoju wiało chłodem od okna. Słychać było szmer przepływającej w żeliwnych kaloryferach wody, ale nie wydzielają one zbyt dużo ciepła.

– Co planuje pan zrobić w nadchodzącej przyszłości? – zapytała Esther, szukając wzrokiem spojrzenia Arthura.

– W przyszłości? W jakiej przyszłości?! – zirytował się. – Myśli pani, że ma się jakąś przyszłość, gdy zabiło się własne dzieci? Myśli pani, że...

Lekarka przerwała mu.

– Nie wolno panu w ten sposób do tego podchodzić. Nie zabił pan swoich dzieci i dobrze pan o tym wie! – Arthur jakby jej nie słyszał. Zaciągnął się nerwowo, cały czas patrząc w okno. – Panie Costello, to nie jest hotel, jest pan w szpitalu! – Urażony Arthur odwrócił się i spojrzał na nią. – Wielu naszych pacjentów cierpi na ciężkie zaburzenia psychiczne, z którymi nie są w stanie walczyć! – rzekła lekarka. – Z panem tak nie jest. Pan ma skąd czerpać siły. Nie wolno panu się poddać, ulec poczuciu winy i cierpieniu! Proszę to raczej wykorzystać!

Arthur, zaskoczony, zaczął protestować.

– Mój Boże, a cóż pani chce, żebym z tym zrobił?!

– To, co umie pan najlepiej. Musi pan to wykorzystać w pracy, musi pan zacząć pisać.

– A o czym?

– O wszystkim, co pana nęka. Niech pan jeszcze raz zbada w myślach to całe wydarzenie, niech pan ubierze w słowa swój ból, niech pan wyrzuci z siebie ten ciężar. W tym przypadku pisanie będzie jednocześnie analizą choroby i lekarstwem na nią.

Arthur potrząsnął głową.

– To nie jest moja koncepcja pisania. Nie mogę narzucać czytelnikom swoich nastrojów. Pisanie to nie jest terapia. Pisanie to co innego.

– Ach tak? Co innego? Co?

Arthur ożywił się.

– To najpierw praca wyobraźni. Trzeba żyć życiem innych, tworzyć różne rzeczywistości, różnych bohaterów, wyimaginowane światy. To praca nad poszukiwaniem słów, wygładzaniem zdań, znalezieniem właściwego rytmu, oddechu, muzyki. Pisanie nie jest procesem leczniczym. Przy pisaniu się cierpi, pisanie dręczy, jest obsesją. Przykro mi, ale pani i ja wykonujemy zupełnie niepodobne do siebie profesje.

Esther prawie natychmiast wpadła mu w zdanie.

– Przeciwnie, uważam, że oboje pracujemy z tym samym materiałem, panie Costello. Bazujemy na uczuciach tłumionych, na strachu, bólu, na urojeniach.

– Więc pani myśli, że można przewrócić stronę ot tak, po prostu zapisując ją?

– Kto mówi o przewracaniu stron? Ja tylko panu poradziłam, żeby pan przekształcił cierpienie, krystalizując je w jakiejś fikcji. Żeby pan uczynił możliwym do zaakceptowania w powieści to, czego nie można zaakceptować w życiu.

– Przykro mi, ale nie czuję się na siłach uczynić czegoś takiego.

Energicznym gestem Esther Hazieli chwyciła kartonową teczkę leżącą na stoliku i wyjęła z niej kilka skserowanych stron.

– Odnalazłam wywiad, którego udzielił pan „Daily Telegraph” w dwa tysiące jedenastym roku z okazji wydania jednej z pańskich powieści w Anglii. Pozwoli pan, że zacytuję: *Za chimeryczną stroną fikcji często kryją się fragmenty prawdy. Powieść jest prawie zawsze autobiografią, gdyż autor opowiada swoją historię widzianą przez pryzmat własnych uczuć i wrażliwości.* Nieco dalej dodaje pan: *Żeby stworzeni bohaterowie byli interesujący, muszę mieć do nich stosunek empatyczny. Wczuwam się kolejno w każdą postać z mojej powieści. Tak jak białe światło wpadające w pryzmat, ja przechodzę na wskroś każdego mojego bohatera...* Chce pan, żebym kontynuowała?

Arthur Costello odwrócił wzrok od Esther i wzruszył ramionami.

– Nie ja jeden opowiadam głupstwa w wywiadach.

– Z pewnością, ale to pańskie zdanie akurat odzwierciedla, o czym pan naprawdę myśli. To...

Esther rozpędziła się, lecz w tym momencie zawył alarm przeciwpożarowy umieszczony w czujniku dymu.

Chwilę potem do pokoju wpadł Dwie Twarze. Widok niedopałka i paczki papierosów leżących na stoliku wprowadził go we wściekłość.

– Wystarczy, pani doktor, teraz już powinna pani wyjść!

Miłość jest jak latarnia morska

*Miłość (...) to wzniesiona nad burzy bałwany latarnia morska,
gwiazda niewzruszona.*

William Szekspir

Dzisiaj

Sobota, 4 kwietnia 2015

Wstające słońce rozzarzyło niebo na horyzoncie.

Stara furgonetka chevy z zaokrągloną maską i chromowaną atrapą wjechała na drogę gruntową prowadzącą do północnego skraju Winchester Bay. Miejsce było dzikie, urokliwe i wietrzne, zatknięte między ocean a skały.

Lisa Ames zaparkowała samochód na zwirowanym pasie otaczającym posesję. Duży labrador retriever o piaskowej sierści wypadł z samochodu i otrzepał się gwałtownie.

– Spokojnie, spokojnie, Remington! – rzuciła Lisa, trzaskając drzwiczkami auta.

Podniosła wzrok i przyjrzała się solidnej sylwetce ośmiokątnej latarni morskiej, która wznosiła się obok kamiennego domu ze stromym zwieńczeniem z łupkowej dachówki.

Niepewnym krokiem Lisa wspięła się po schodkach prowadzących do domu. Wyjęła z kieszeni kurtki pęk kluczy, otworzyła drzwi i weszła do głównego pomieszczenia, którym był duży salon z belkowanym sufitem i wielkim oknem wychodzącym na ocean.

Znajdowała się tam biblioteka, szafa i mnóstwo półek z bielonego drewna. Ściany i półki zdobiły sieci i liny, latarnie sztormowe wszelkich rozmiarów, klatki na homary z lakierowanego drewna, rozgwiazdy oraz leżąca na boku butelka z makietą żaglowca w środku.

Nieopodal kominka Lisa odnalazła swego męża, rozwalonego na kanapie. Arthur głęboko spał, a obok niego leżała opróżniona w trzech czwartych butelka whisky.

Łzy podeszły Lisie do oczu. Nie widziała się z mężem od śmierci Benjamina i Sophii. Schudł o co najmniej dziesięć kilogramów. Z długimi potarganymi włosami, twarzą zasłoniętą brodą i cieniami pod oczyma bardzo się zmienił.

Na biurku z surowego drewna zobaczyła starą maszynę do pisania, którą Sullivan dał w prezencie swemu wnukowi na piętnaste urodziny: Olivetti Lettera z błękitnego aluminium.

To zaintrygowało Lisę, bo już od dawna Arthur nie pisał swoich powieści na maszynie. Przekręciła wałek i wyciągnęła tkwiącą w niej kartkę.

Dzień dwudziesty czwarty

Noc. Nic. To był jego horyzont.

Był sam.

„Sam” ma synonim: „śmierć”.

Victor Hugo

0

Otwieram oczy.

Ja...

Tutaj tekst się kończył. Lisa nie zrozumiała sensu. Potem obok maszyny ujrzała grubą stertę kartek. Drżącymi rękami wzięła maszynopis i przebiegła wzrokiem pierwsze zdania.

Historia naszych lęków

1971

- Nie bój się, Arthurze, skacz! Tata cię złapie!

- Złapiesz mnie? Na pewno?!

Mam pięć lat. Siedzę na piętrowym łóżku, które dzielę z bratem. Nogi wiszą mi w powietrzu. Ojciec z rozłożonymi ramionami patrzy na mnie zachęcająco.

- Skacz, synku!

- Boję się!

Po przeczytaniu niecałych dziesięciu linijek Lisa się rozplakała. Usiadła w rattanowym fotelu za biurkiem i zaczęła czytać dalej.

□

Dwie godziny później, gdy doszła do ostatniego zdania, miała czerwone oczy i ściśnięte gardło. Powieść stanowiła metaforę ich historii. Te trzysta stron było jak film z jej życia. Najpierw spotkanie z Arthurem w Nowym Jorku, na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy jako młoda studentka Juilliard School pracowała w jakimś szemranym barze, żeby zarobić na studia. Potem – zmienione, ucharakteryzowane, wplecione w świat wyobraźni – radości i smutki ich wspólnego życia, podróż poślubna do Paryża, narodziny Benjamina i Sophii, prawdziwa, ale pełna komplikacji miłość, która łączyła ich czwórkę, nostalgiczny upływ czasu.

Lisa wytarła łzę z policzka. Przez cały czas lektury rozumiała poczucie winy i wyrzuty sumienia Arthura, odkrywając, że były one tak samo żywe i nie do wytrzymania jak jej własne. W miarę jak przewracała strony, wróciła więź, która ich przedtem łączyła, i teraz Lisa żałowała, że tak bardzo obciążyła Arthura, zrzucając na niego odpowiedzialność za wypadek.

Uniosła głowę znad ostatniej strony. Promienie słońca wpadające przez ogromne okno zatopiły salon w bursztynowym świetle. Wciąż leżący bezwładnie na kanapie Arthur westchnął i otworzył oczy.

Wstał i kiedy zauważył żonę za swoim biurkiem, zamarł na moment, oszołomiony, zamroczony, jakby zobaczył zjawę z innego świata.

– Cześć! – rzuciła Lisa.

– Jesteś tu od dawna?

– Mniej więcej od dwóch godzin.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Bo czytałam twoją powieść.

Kiedy potrząsnął głową, Remington podbiegł do niego, radośnie szcękając, i zaczął oblizywać mu dłoń.

– Brakuje zakończenia – stwierdziła Lisa.

Arthur rozłożył bezradnie ramiona.

– Znasz koniec. Nie można walczyć z przeznaczeniem. Nie można naprawić nienaprawialnego. Nie można cofnąć czasu.

Lisa zrobiła krok w jego kierunku.

– Nie kończ tej powieści, Arthurze! – poprosiła z naciskiem. – Nie pozwól zginąć dzieciom po raz drugi, błagam cię!

– To tylko fikcja – zaprotestował słabo.

– Lepiej niż wszyscy znasz siłę fikcji! Na wszystkich stronach tej opowieści Ben i Sophia żyją! Cała nasza czwórka żyje! Każesz nam walczyć – nie niszc nas po raz wtóry! Nie psuj wszystkiego w kilku zdaniach. Jeśli zakończysz tę powieść, stracisz nas definitywnie. Nie odnawiaj swojego poczucia winy, nie oskarżaj się po raz drugi za dramat naszego życia... – Podeszła jeszcze bliżej niego, pod wielkie okno. – Ta książka to nasze cierpienie, nasze sekrety. Nie pokazuj tego światu. Oni tylko na to czekają. Wszyscy. Dla nich to nie fikcja literacka. Będą ją czytać jak żądni ponurych szczegółów podglądacze, starając się znaleźć sens dla każdego drobiazgu. Będą czytać naszą historię na skróty. A nasza historia zasługuje na znacznie więcej.

Arthur otworzył wielkie okno i wyszedł na wysunięty w ocean kamienny taras. Lisa podeszła do niego z powieścią pod pachą, a za nią podreptał labrador, który zaraz szybko zbiegł po kamiennych schodach na plażę.

Lisa położyła maszynopis na drewnianym stoliku, którego farba, sfatygowana przez niepogodę, była całkiem popękana.

– Chodź! – odezwała się do męża, wyciągając do niego rękę.

Arthur złapał jej dłoń i ścisnął mocno. Ciepło jej skóry, fakt, że jej palce kompletnie się mu poddały, to wszystko napełniło go świeżą siłą, o której myślał, że jest na zawsze stracona.

Kiedy zbliżali się do oceanu, Lisa powiedziała:

– Nigdy już nie będziemy we czworo, Arthurze, ale możemy jeszcze wybrać, żeby być parą. Wycierpieliśmy bardzo dużo. Ostatnie cierpienie jest najstraszniejsze, ale wciąż jesteśmy tu oboje, razem. Może będziemy mogli mieć jeszcze nowe dziecko? Zawsze tego pragnęliśmy, prawda?

Arthur milczał. Szedł obok żony pustą plażą, która ciągnęła się przez wiele kilometrów. Zerwał się wiatr, świeży powiew orzeźwiał im twarze, srebrzysta piana fal lizła im stopy. Oboje uwielbiali ten ostry, wietrzny klimat, jego dziki i ponadczasowy wymiar, który dziś bardziej niż kiedykolwiek uświadomił im, że żyją.

Potem silniejszy powiew uniósł falę piasku. Arthur odwrócił się i przysłonił oczy dłonią, patrząc na taras wsparty o skały.

Strony maszynopisu porwane przez wiatr bujały w powietrzu. Dziesiątki białych kartek frunęły we wszystkich kierunkach, przez chwilę wirowały pośród mew, potem zaś niektóre wiatr porywał w kierunku otwartego oceanu, a inne kręciły się w kółko nad mokrym piaskiem.

Arthur i Lisa popatrzyli na siebie.

Legenda latarni mówiła prawdę: dwadzieścia cztery wiatry nie zostawiają po sobie nic, ale może tak jest lepiej.

Bo w końcu ważny jest dalszy ciąg.

A oboje chcieli napisać go razem.

Podziękowania

Oto lista osób, którym chciałbym podziękować:

Ingrid,
Édith Leblond, Bernard Fixot, Alain Kouck,
Sylvie Angel i Alexandre Labrosse.

Bruno Barbette, Jean-Paul Campos, Isabelle de Charon, Catherine de Larouzière, Stéphanie Le Foll,
Caroline Ripoll, Virginie Plantard, Valérie Taillefer.

Jacques Bartoletti, Pierre Collange, Nadia Volf, Julien Musso i Caroline Lépée.

- [1](#) Po wichurze, w której zawieją dwadzieścia cztery wiatry, nic się nie ostanie.
- [2](#) *Mugshot* (ang.) – zdjęcie policyjne.
- [3](#) Dziedziniec Cudów (fr. *La Cour des Miracles*) – dzielnica w średniowiecznym Paryżu zamieszkała przez ludzi z marginesu społecznego. Skrzyżowaniem światów (ang. *Crossroads of the World*) nazywa się Times Square.
- [4](#) Tytuł kryminału z 1907 r. autorstwa Gastona Leroux (tyt. oryg. fr.: *Le Mystère de la chambre jaune*).
- [5](#) Rosa Louise Parks (1913–2005) – afroamerykańska działaczka ruchu na rzecz praw człowieka w USA. W grudniu 1955 r. w Montgomery (Alabama) odmówiła ustąpienia w autobusie miejsca białemu mężczyźnie, za co została aresztowana zgodnie z obowiązującym wówczas prawem segregacji rasowej. Incydent ten zapoczątkował falę protestów społecznych.
- [6](#) Chimena – ukochana Rodryga z dramatu Pierre’a Corneille’a *Cyd*.
- [7](#) *Sunny side up* (ang.) – jajka sadzone.
- [8](#) Pluskwa milenijna (ang. *millennium bug*) – potencjalnie katastroficzne skutki, jakie miał z nastaniem roku 2000 wywołać przyjęty kilkadziesiąt lat wcześniej sposób zapisu daty w programach komputerowych (rok był oznaczany tylko dwiema ostatnimi cyframi, więc dla komputerów to miał być rok 00).
- [9](#) *Showrunner* – twórca koncepcji serialu, osoba nadzorująca cały proces tworzenia serii, koordynująca pracę reżyserów, scenarzystów, script editorów i producenta.
- [10](#) Jenga – gra zręcznościowa, w której każdy gracz wyjmuje drewniany klocek z konstrukcji wieży i przekłada go na szczyt, dopóki konstrukcja się nie przewróci.
- [11](#) MTA – *Metropolitan Transportation Authority* – operator publicznego transportu zbiorowego.

GUILLAUME MUSSO

TA CHWILA

